



RUDYARD KIPLING

---

**Druga księga  
dżungli**

RUDYARD KIPLING

# Druga księga dżungli

TŁUM. JÓZEF BIRKENMAJER

SKĄD SIĘ WZIAŁ STRACH

Kałuże wyschły — stan wody spadł —  
więc żyjem z sobą za pan brat!  
Z pyłem na sierści i z ogniem w paszczy  
tłoczmy się wśród nadbrzeżnych chaszczki.  
Wśród lęku, spieki, ani nam w głowach  
choćby przelotna myśl o łowach!  
Sarniąt nie płoszy burymi kudły  
wilk — jako one trwożny, wychudły;  
łania też śmiało spogląda nań,  
choć on jej ojcu przegryzł krtań!...  
Kałuże wyschły — stan wody spadł  
bawmyż się z sobą za pan brat!  
O łowach nawet marzyć nie śmiejmy,  
zanim deszcz splucze wszelkie rozejmy!

Prawo Dżungli — które jest chyba najstarszym prawem w świecie — uwzględnia i przewiduje niemal wszystkie przypadki, jakie się zdarzyć mogą Plemionom Leśnym, a czas i praktyka uczyniły zeń wprost wzór doskonałości, prawdziwe zwierciadło ustawodawstwa. Kto czytał poprzednie opowieści o Mowglim, ten wie, że chłopak spędził znaczną część życia w Wilczej Gromadzie Seeoneeńskiej, pobierając od brunatnego niedźwiedzia Baloo naukę Prawa. Otóż ilekroć Mowgli niecierpliwił się i nudził słuchaniem ciągłych nakazów, Baloo wyjaśniał mu, że Prawo jest podobne do olbrzymiego pnącza, gdyż okręca się każdemu dokoła grzbietu i nikt nie potrafi zeń się wywikłać.

— Gdy pożyjesz tak długo jak ja, Mały Braciszku, przekonasz się ku wielkiej swej zgrzyzocie, że cała dżungla podlega jednemu Prawu. Nie wiem, jak ci się wówczas spodoba ten widok.

Tak mawiał Baloo — ale te słowa wchodziły jednym uchem, a wychodziły drugim, boć młokos, którego całą troską jest myśl o jedzeniu i spaniu, nie zwykł przejmować się niczym, chyba że mu już bieda całkiem otwarcie zajrzy w oczy. Nadszedł jednakże w końcu taki rok, kiedy sprawdziły się co do joty przepowiednie starego Baloo — i oto Mowgli obaczył, że cała dżungla we wszystkim, co czyni, trzyma się jednego Prawa.

Zaczęło się od tego, że zimowe deszcze zawiodły niemal zupełnie, a jeżozwierz Ikki, spostrzegłszy się z Mowglim w bambusowych zaroślach<sup>1</sup>, zwierzył mu się, iż dzikie yamy<sup>2</sup> wyschły już do cna. Wiadomo powszechnie, że Ikki jest do śmieszności wybredny w jedzeniu i że bierze do pyska tylko rzeczy co najlepsze i najdojrzalsze. Roześmiał się więc Mowgli, słysząc jego zrzędzenie, i odburknął:

— A cóż to mnie może obchodzić?

<sup>1</sup>spozstrzegłszy się z Mowglim w bambusowych zaroślach — zobaczywszy, że jest z Mowglim w bambusowych zaroślach.

<sup>2</sup>yam — słodki ziemniak o białym, różowym lub pomarańczowym miąższu; patat a. batat.

— Na razie wolno ci drwić sobie z tego — odpowiedział Ikki, szeleszcząc kolcami oschle i nieprzyjemnie — ale zobaczymy, jaką minę będziesz miał niezadługo. A zresztą, gdy chodzi i o chwilę obecna... czy potrafiłbyś, Mały Bracie, dać nura w głęboką roztokę koło siedliska pszczół skalnych?

— Skądże znowu? Głupia woda kędyś<sup>3</sup> wyciekła, a ja nie pragnę rozbijać sobie głowy o kamienie na dzień! — odhuknął Mowgli przekonany, że ma w tej głowie więcej oleju niż pięciu razem wziętych mieszkańców puszczy.

— Szkoda! Przydałby ci się w łepiecie mały otwór, by przezeń naciekła choć odrobina mądrości! — dociął mu Ikki i czym prędzej zaszył się w gęstwinie, nie chcąc, by go chłopak wytarł za szczeciniaste wąsy.

Mowgli natychmiast powtórzył swemu nauczycielowi wszystko, co był opowiadał<sup>4</sup> jeżozwierz. Baloo sposepniał i mruknął jakby sam do siebie:

— Gdyby tu szło tylko o mnie, już bym teraz zmienił łowisko, zanim inni o tym samym pomyślą. Atoli<sup>5</sup> łowy wśród obcych zawsze kończą się zwadą... a moje Człowieczątka mogłoby przy tym oberwać jakiego guza. Zaczekajmy jeszcze trochę i zobaczymy, jakim kwiatem zakwitnie mohwa<sup>6</sup>.

Wkrótce nastąpiła wiosna — atoli drzewo mohwa, które Baloo tak ukochał, nie zakwitło wcale. Zielonawe, żółto nakrapiane woszczyste pąki powiędły od gorąca, a gdy Baloo, stanawszy na dwóch łapach, potrząsnął drzewem, na ziemię spadło zaledwie parę płatków o niemilej woni.

Ale to był dopiero początek. Później było znacznie gorzej. Skwar niepohamowany jął wdziarać się piędź za piędź w sam matecznik dżungli, zmieniając jej zielen w barwę żółtą, następnie brunatną, wreszcie czarną. Ziola i krzewy, rosnące na zboczach parowów, wypaliły się doszczętnie, przeobraziwszy się w kłębowisko połamanych badyli i obwisającego martwo prętowia. Jeziorka ukryte w leśnej gąszczy skurczyły się i zgęstniały, a najlżejszy ślad stopy na ich brzegu utrwalał się tak wyraziście, jak gdyby był odlany w żelazie. Dzikie pnącza, zazwyczaj jędrne i soczyste, teraz traciły swą giętkość i prężność, sztywniały i odrywały się od pni drzewnych, zamierając na ścielisku leśnego podszycia; poschnięte bambusy sterczały beznadziejnie, chrzęszcząc za każdym podmuchem gorącego wiatru, a mech odpadał ze skał utajonych w głębi puszczy, tak iż stały огоłocone i rozpalone jak migotliwe, sinawe głazy w łożysku rzeki.

Ptactwo oraz Małpie Plemię, widząc, na co się zanosi, z początkiem roku powędrowały na północ; zaś jelenie i dziki zapędzały się daleko na zniszczone posuchą niwy wiejskie, ginąc częstokroć przed oczyma ludzi, którzy byli tak wycieńczeni, iż nie myśleli wcale o urządzaniu polowań. Ścierwnik Chil trzymał się tego, a nawet utył, bo miał pod dostatkiem padliny; co wieczór znosił zwierzętom zbyt osłabionym, by mogły wyprawić się na nowe łowiska, wieści o tym, że słońce szerzy rzeź w całej dżungli na obszarze, jaki zasięgnąć można przez trzy dni lotu.

Mowgli, który dotąd nie zaznał prawdziwego głodu, musiał teraz poprzestać na starym trzyletnim miodzie, wyskrobanym z opuszczonych ulów skalnych — czarnym jak owoce tarniny i okrytym warstwą skruszałej patoki<sup>7</sup>. Łowił też czerwie owadów ryjących korę drzewną i zabierał osom ich gąsieniczki. Na zwierzyńnię w kniei pozostała jedynie skóra i kości, tak iż pantera Bagheera nigdy nie była syta, choćby jej się udało trzy razy w ciągu nocy upolować zdobycz. Najwięcej jednak dawał się we znaki brak wody, bo Plemiona Dżungli piją wprawdzie rzadko, ale gdy piją — muszą się ożłopać obficie.

A posucha posuwała się wciąż dalej i dalej, spijając wszelką wilgoć, aż w końcu macierzysty nurt Wajngangi zamienił się w strumień przeciekający nikłym pasemkiem wody przez zamarłe wydmy piaszczyste. Gdy dziki słoń Hathi, który żyje sto lat i więcej, ujrzał długi, wąski pas senej opoki<sup>8</sup>, wylaniający się na samym środku rzecznej koryta, pojął od razu, że spogląda na Skałę Pokoju. Wówczas zadarł do góry trąbę i ogłosił hasło

<sup>3</sup>kędyś — gdzieś.

<sup>4</sup>co był opowiadał — daw. czas zaprzeszyły; dziś tylko: opowiadał (wcześniej).

<sup>5</sup>atoli — chociaż, a jednak; daw. spójnik wyrażający przeciwieństwo, kontrast.

<sup>6</sup>mohwa — rodzaj drzewa wiecznie zielonego, rosnącego na obszarach subtropikalnej Azji (Indie, Nepal, Birma, Sri Lanka), o jadalnych kwiatach i owocach oraz nasionach wykorzystywanych do produkcji oleju; także: *madhuca longifolia*.

<sup>7</sup>patoka — płynny miód pszczeli.

<sup>8</sup>opoka — skała.

Wodnego Rozejmu, podobnie jak to przed pół wiekiem uczynił jego ojciec. Hasło to niezwłocznie podjęły jelenie, dziki i bawoły, grzmiąc chrapliwymi głosy<sup>9</sup>, a ścierwnik<sup>10</sup> Chil jął<sup>11</sup> zataczać w powietrzu olbrzymie kręgi, pogwizdując i rzucając ostrzegawcze krzyki.

Prawo Dżungli karze śmiercią każdego, kto by ośmielił się polować koło wodopójów z chwilą ogłoszenia Wodnego Rozejmu. Powód leży w tym, że picie jest ważniejszą rzeczą niż jedło. Gdy zabraknie zwierzyny, każdy z mieszkańców dżungli potrafi jeszcze jakoś przetrzymać biedę; ale co woda, to woda, obejść się bez niej niepodobna! Więc gdy pozostanie jedno tylko jej źródłisko, ustają wszelkie łowy i wszystko, co żyje w dżungli, śpieszy tam, by ugasić pragnienie. Za lat szczęśliwych, gdy wody było pod dostatkiem, zwierzęta nieraz na szwank wystawiały<sup>12</sup> swe życie, śpiesząc po ten napój ku brzegom Wajngangi lub ku innym strumieniom; jednakże to niebezpieczeństwo jeno<sup>13</sup> dodawało uroku nocnym przedsięwzięciom. Rozkosz to była prawdziwa skradać się tak zręcznie, by nie potraćić nawet najdrobniejszego listka — brnąć po kolana w huczących wodnych odmiałach, przygłuszających wszelkie szmery na tyłach — pić, oglądając się poza siebie i trzymając każdy muskuł w gotowości rozpaczliwej do skoku za pierwszym odruchem trwogi — tarzać się po piaskowych usypiskach i powracać z mokrym pyskiem i napęczniałym od wody bandziochem do stada stojącego opodal w niemym podziwieniu. Szczególnie upodobanie w tym znajdowały młode kozły o rogach błyszczących — i to właśnie dlatego, że wiedziały, iż lada chwila może im skoczyć na kark Shere Khan lub Bagheera i rozszarpać je w kawałki. Teraz jednak skończyła się ta gra na śmierć i życie, a wygłodniałe i trudem zmożone Plemiona Dżungli — tygrysy, niedźwiedzie, jelenie, dziki i bawoły — wlokły się wspólnie ku zmaląej rzece, piły stęchlą wodę i sterczały ponad nią, zbyt osłabione, by odejść w inne miejsce.

Jelenie i dziki dreptały bezradnie przez dzień cały, szukając pożywienia, które by było strawniejsze niż zeschnięta kora i zeschnięte liście. Bawołom zabrakło bajor, w których dawniej się chłodziły, nie miały też gdzie spasać zielonych zasiewów. Wężę wypełzły z gąszczy leśnej i wlokły się ku rzece, łudząc się nadzieją, że uda się im pochwycić choćby zbłąkaną żabę; okręcały się dokoła wilgotnych kamieni i leżały w bezruchu, nie gotując się do ciosu nawet wtedy, gdy poszukujący korzonków odyniec wyrzucał je bezceremonialnie z miejsca swym ryjem. Żółwie rzeczne dawno już wymordowała mistrzyni łowów, pantera Bagheera, a ryby pochowały się głęboko w splekanym mule. Wśród płytkich odmiałów widniała jedynie Skala Pokoju, podobna do długiego węża, a drobne, ociężałe wodne rozbryzgi syczały za każdym muśnięciem jej rozpalonych boków.

Tam to przebywał nocą Mowgli, szukając towarzystwa i ochłody. Nawet najbardziej wygłodniałe jego nieprzyjaciele nie zwróciliby nań w taką chwilę najmniejszej uwagi; nieowłosiona skóra sprawiała, że wyglądał nędzniej i mizerniej od wszystkich towarzyszy niedoli. Włos mu wyblakł od słońca jak lniane paczesie<sup>14</sup>, żebra uwydatniały się silnie jak pręty koszyka, a zgrubienia na kolanach i łokciach, powstałe wskutek czołgania się na czworakach, nadawały jego kończynom wygląd kłaczastych badyli; jedynie oczy spod zwichrzzonej czupryny spoglądały chłodno i spokojnie, gdyż pantera Bagheera, jako jego przyboczny doradca w onych ciężkich chwilach, zaleciła mu, by poruszał się spokojnie, polował bez pośpiechu, przede wszystkim zaś nie unosił się gniewem, choćby nie wiedzieć z jak słusznego powodu.

— Złe nastały czasy — odezwała się Czarna Pantera w pewien wieczór, gdy na całym świecie było gorąco jak w piecu piekarskim. — Ale kiedyś to przemienie... bylebyśmy tylko dotrwali do końca. Czy aby masz pełny żołądek, moje Człeczątko?

— Mam coś niecoś w żołądku, ale niewielki mi z tego pożytek. Jak myślisz, Bagheero, czy deszcze zapomniły o nas i nigdy już do nas nie przyjdą?

— Nie mam tak czarnych myśli. Zobaczymy jeszcze mohwę obsypaną kwieciami oraz młode sarniuki wypasione świeżą trawą. Zejdźmy ku Skale Pokoju i posłuchajmy nowin. Hops, na mój grzbiet, Mały Bracie!

<sup>9</sup>grzmiąc chrapliwymi głosy — dziś: grzmiąc chrapliwymi głosami.

<sup>10</sup>ścierwnik — rodzaj ptaka padlinożernego zamieszkującego Azję i Afrykę; w innym tłumaczeniu: sęp.

<sup>11</sup>jął — zacząć; jął zataczać: zaczął zataczać.

<sup>12</sup>wystawiać na szwank — narażać.

<sup>13</sup>jeno — tylko.

<sup>14</sup>paczesie — delikatne włókna lnu a. konopi.

— E, teraz nie czas na noszenie ciężarów. Potrafię jeszcze stać o własnej sile, ale... dalibóg, że oboje jesteście nie bardzo podobni do tuczonych bawołów.

Bagheera obejrzała swe wyszargane, kurzem pokryte boki i szepnęła:

— Zeszłej nocy ubiłam wołu w jarzmie. Tak już nisko upadłam, że nie odważyłabym się skoczyć na niego, gdyby był wolny. Hu-u!

Mowgli roześmiał się.

— Nie ma co mówić, tędy z nas teraz myśliwi! Ja zdobywam się na tę odwagę... iż zjadam gąsienice!

Przedzierając się przez trzeszczące, suche krzaki, dowlekli się we dwójkę do brzegu rzeki, od którego, na kształt koronkowej robótki, snuły się na wszystkie strony pasmami łachy wodne i wstążki nędznych poników<sup>15</sup>.

— Nie na długo starczy tej wody! — odezwał się Baloo, który spotkał ich w drodze.

— Patrzcie no tylko! Ot tam widać całe szlaki, podobne do ludzkich gościńców.

Na płaskim brzegu przeciwnym twarzą trawa leśna już dawno wyschła i stężała w martwym bezruchu. Tę bezbarwną równinę przerzynały w pewnych odstępach szerokie szlaki, wydeptane i ubite racicami dzików i jeleni, a zmierzające zawsze w stronę rzeki; wśród wysokiego na dziesięć stóp łąnu oczeretów<sup>16</sup> wydawały się jakby przekopami sączącymi nie wodę, lecz kurzawę. Godzina była wczesna — mimo to każdy z tych gościńców roił się od rychłych przechodniów śpieszących ku rzece. Już z dala słychać było pokaszliwanie łań i jelonków, krztuszących się kłębami lotnego pyłu.

W górze rzeki, gdzie gnuśna łacha skrzętem swym oplukiwała strażniczkę zgody — Skalę Wodnego Rozejmu — stał ze swymi trzema synami dziki słoń Hathi: wychudły, osędziały w księżycowej poświatli<sup>17</sup> — i kołysał się wciąż to w jedną, to w drugą stronę. Nieco poniżej stała przednia straż jeleni; jeszcze poniżej biwakowały dzikie świnie i bawoły; na przeciwnym zaś brzegu, gdzie gonne śniatek drzew podchodziły niemal do samego skraju wody, było ustronie przeznaczone dla tygrysów, wilków, lampartów, niedźwiedzi i innych mięsożerców.

— Tak jest! Teraz wszyscy podlegamy jednemu Prawu! — mówiła Bagheera, brodząc po wodzie i spoglądając ku szeregom dzików i jeleni popychających się wzajem, zderzających się rogami i wybałuszających przerażone ślepie. — Szczęśliwych łowów, krewniacy — dodała, wyciągając się całą długością ciała, przy czym jednak jeden bok wynurzał się z płytkiej wody. — Gdyby nie przepisy Prawa, można by tu mieć doprawdy łowy bardzo szczęśliwe!

Słowa te wypowiedziała przez zaciśnięte zęby, jednakże strzygące uchem jelenie podchwyciły końcowe zdanie — i przez ich zastępy przeleciał szmer trwogi:

— Rozejm! Rozejm! Pamiętaj o rozejmie!

— Spokój tam, spokój! — wybełkotał dziki słoń Hathi. — Dziś mamy rozejm, Bagheero; nie pora gawędzić o łowach!

— Któż o tym wie lepiej ode mnie? — odpowiedziała Bagheera, lypiąc żółtawymi ślepiami w stronę, gdzie stał Hathi. — Przecież żywię się żółwiami... i poławiam żaby. Ngaayah! O, gdybym jeszcze mogła głód zaspokoić przeżuwaniami gałązek.

— O, my byśmy sobie tego bardzo życzyły! — zabeczła młody jelonek, który właśnie na wiosnę przyszedł na świat i był mocno z tego niezadowolony.

Pomimo całej biedy, jaka nawiedziła dżunglę, zwierzęta — nie wyłączając Hathiego — nie mogły powstrzymać się od rześkiego śmiechu, posłyszawszy te słowa. Mowgli, leżąc na brzuchu w ciepłej wodzie, śmiał się najgłośniej i bił stopami wodę, rozbryzgując kłęb piany.

— Dowcipny jesteś, roczniaku! — mruknęła Bagheera. — Mieć będę w pamięci twe słowa, gdy skończy się okres rozejmu.

I rzuciła bystre spojrzenie w pomroc<sup>18</sup> przedświtową, by w razie potrzeby móc kiedyś rozpoznać owego jelonka.

Od słowa do słowa — i po całej rzece, tak w górnym, jak i w dolnym biegu, rozgwarzono się w najlepsze. Słychać było, jak szamotał się i pochrząkiwał odyniec, rozpychając

<sup>15</sup>ponik — strumyk.

<sup>16</sup>oczeret — kłączowe rośliny przybrzeżne, tworzące rodzaj szuwaru.

<sup>17</sup>poświatla — dziś: poświata.

<sup>18</sup>pomroc — dziś: pomroka.

się, by zdobyć sobie więcej miejsca; jak postękiwały bawoły, brnąc z trudem przez ławice piaskowe; jak jelenie skarżyły się, iż okrwawiły sobie nogi w bezskutecznych poszukiwaniach paszy. Od czasu do czasu rzucano jakieś pytanie mięsożercom obozującym za rzeką — atoli<sup>19</sup> wszystkie wieści brzmiały smętnie. Od strony dżungli, wśród skał i chrzęszczących gałęzi z hukiem przeciągał gorący dech wiatru, syjąc na wodę kurz i ułamki badyli.

— Ludzie też giną — ogłaszał młody sambhur. — Padają przy orce. Wczoraj po zachodzie słońca natknąłem się na trzy ludzkie trupy. Leżały bez ruchu, a przy nich nieżywe woły. Małuczko, małuczko, a i nas czeka los podobny.

— Rzeka bardzo opadła od nocy ubiegłej! — stwierdził Baloo. — Hathi, czy widziałeś kiedy taką suszę?

— E, to przejdzie, to przejdzie! — odparł Hathi, spryskując sobie wodą grzbiet i boki.

— W naszym gronie jest stworzenie, które nie potrafi długo znosić tej spiekoty — rzekł Baloo, spoglądając na ukochanego chłopaka.

— Może ja? — obruszył się Mowgli, siadając w wodzie. — Prawda, że nie mam futra, by okryć gnaty, ale... gdyby z ciebie, Baloo, ściągnąć skórę...

Hathi drgnął na samą myśl o czymś podobnym, a Baloo odezwał się tonem surowym:

— Szczeniaku Ludzki! Nie godzi się mówić w ten sposób o swym nauczycielu Prawa. Odkąd żyję na tym świecie, jeszcze mnie nie widziano bez sierści.

— Dalibóg, nie chciałem cię urazić, mój Baloo. Przyszło mi tylko na myśl, że ty jesteś podobny do orzecha kokosowego w łupinie, ja zaś do takiego orzecha już wyluskanego. Otóż ta twoja brunatna łupina...

Mówiąc to, Mowgli siedział w kukki i według swego obyczaju podkreślał gestami palca wskazującego rzecz każdą. Naraz w powietrzu śmignęła puszysta łapa Bagheery i przewróciła go na wznak w wodę.

— Coraz to gorzej! — odezwała się Czarna Pantera, gdy chłopak wstał, mamrocząc coś pod nosem. — Najpierw chciałeś swojego mistrza obłupić ze skóry, a teraz jeszcze wymyślasz mu od kokosów! Uważaj jednak, bo on może z tobą postąpić tak jak kokos, gdy dojrzeje!

— Cóż on może mi zrobić? — zapytał Mowgli, zapominając na chwilę o wszelkich środkach ostrożności, mimo że miał do czynienia z jednym z najbardziej oklepanych żartów spotykanych w dżungli.

— Nabije ci guza! — odpowiedziała spokojnie Bagheera, strącając go powtórnie w wodę.

— Nie powinienesz stroić żartów ze swego nauczyciela! — odezwał się niedźwiedź, gdy Mowgli dał nurka po raz trzeci.

— Nie powinien! — odezwał się naraz głos jakiś groźny. — I cóż! Ten nagus hasa sobie, gdzie mu się podoba, płata małpie psoty tym, którzy niegdyś byli tęgimi myśliwcami i pozwala sobie dla płochej zabawy targać najlepszych z nas za wąsy!

Był to Shere Khan, Tygrys Kuternoga, który właśnie ociężałym krokiem przywłókł się nad rzekę. Przystanął na chwilę, by napawać się wrażeniem sprawionym pomiędzy stadem jeleni na przeciwnym brzegu, potem zaś spuścił kanciasty, nastroszony łeb i zaczął żłopać wodę, mrużąc przy tym:

— Dżungla zamieniła się w wylegarnię nieowłosionych szczeniąt... Spójrz no na mnie, Ludzki Szczeniaku!

Mowgli spojrział — a raczej wytrzeszczył oczy z całą zuchwałością, na jaką stać go było. Po niedługiej chwili Shere Khan odwrócił się z niechęcią.

— Ludzkie Szczenię tu, Ludzkie Szczenię tam! — zrzędził pod nosem, zabierając się znów do picia. — Ani to człowiek, ani szczenię... nie boi się wcale! Jeżeli tak pójdzie dalej, to za parę miesięcy będę musiał prosić tego berbecia, żeby pozwolił mi się napić. Uu-a!

— Może dojść i do tego! — potwierdziła Bagheera, patrząc nań uporczywie spod oka. — Tak, może dojść i do tego!... A fe, Shere Khanie! Jakąż to nową zakałą zawlokłeś w nasze grono?

<sup>19</sup>atoli — lecz, jednak; daw. spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

Z zanurzonej w wodę szczęki Kulasa spływała jakaś czarna maź, snująca się pasmami po powierzchni rzeki.

— To krew Człowieka! — odrzekł Shere Khan najspokojniej w świecie. — Zabiłem go przed godziną.

I zaczął znów mruczeć i zrzędzić pod nosem.

Drgnęły i zakołysały się zwierzęce zastępy; przebiegł po nich szept, który spotężniał w ogromne wołanie:

— Krew Człowieka! Krew Człowieka! Kulas zabił Człowieka!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę, gdzie się znajdował dziki słoń Hathi — ale on stał nieporuszony, jakby nic nie słyszał. Hathi nigdy niczego nie przedsięwzię, póki nie nadejdzie odpowiednia pora; jest to jeden z powodów jego długowieczności.

— Jakże można zabijać Człowieka w czasach tak strasznych jak obecne! Czyż nie miałaś innej zwierzyny? — zadrwiła Bagheera, wylażąc ze splugawionej wody i otrzepując, wedle kociego obyczaju, każdą łapę z osobna.

— Polowałem dla przyjemności, nie z głodu! — odburknął Kulas.

Znów się podniósł szept zgrozy, a Hathi lypnął w stronę Shere Khana białkami swych małych, czujnych oczu.

— Dla przyjemności — wycedził Shere Khan. — A teraz przychodzę napić się i umyć. Któż może mi tego zabronić?

Grzbiet Bagheery zaczął giąć się i przeżyć jak trzcina bambusowa na silnym wicherze, w teje jednak chwili Hathi wzniósł trąbę i przemówił spokojnie:

— Polowałeś dla przyjemności?

Gdy Hathi zapytuje, nie ma co zwlekać z odpowiedzią, toteż Shere Khan odezwał się tonem ugrzecznionym:

— Nie inaczej. Moja to była noc i mój przywilej. Wiesz przecież o tym, Hathi.

— Owszem, wiem — odpowiedział Hathi, a po chwili dodał: — Czy napiłeś się do syta?

— Tak, na dziś mi wystarczy.

— W takim razie oddał się stąd. Rzeka jest na to, by z niej pić, a nie na to, by ją brudzić. Prócz Kulawego Tygrysa nikt nie zdobyłby się na to, by przechwalać się swym przywilejem, gdy ludzie na równi z Plemionami Dżungli cierpią biedę. Ale czyś czysty, czy nieczysty — wracaj na swe leże<sup>20</sup>, Shere Khanie!

Ostatnie słowa brzmiały jak głos srebrnych trąb. Na to hasło trzech synowie Hathiego postąpili pół kroku naprzód — zgoła bez potrzeby zresztą; w teje bowiem chwili Shere Khan dał drapaką, nie śmiejąc choćby jednym mruknięciem wyrazić swego niezadowolenia. Wiedział dobrze — i nie on tylko jeden że ostatecznie Hathi jest przecież najwyższym dygnitarzem całej dżungli.

— O jakim to przywileju wspominał Shere Khan? — szepnął Mowgli w ucho Bagheerze. — Wszak Prawo Dżungli głosi, że zabijanie Człowieka jest zawsze czynem hańbiącym. A jednak Hathi powiada...

— Spytaj go sam o to, Mały Bracie! Ja nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Zresztą cóż mnie obchodzą jego przywileje! Gdyby Hathi nie wdał się w tę sprawę, dałabym ja temu kulawemu rzeźnikowi tęgą nauczkę! Przychodzić do Skały Pokoju tuż po zamordowaniu Człowieka... i jeszcze przechwalać się tym zabójstwem... to zaiste postępek godny szakala! Nie mówię już o tym, że nam ten łotr zanieczyścił wodę!

Ponieważ nikt jakoś nie zwracał się wprost do Hathiego z owym pytaniem, przeto Mowgli po chwili namysłu zdobył się w końcu na odwagę i zawołał:

— Jakimże to przywilejem szczyci się Shere Khan? Powiedz nam, o Hathi!

Oba brzegi odkrzyknęły te słowa, boć wszystkie<sup>21</sup> Plemiona Dżungli są niebywale ciekawe — a oto były świadkami czegoś takiego, czego nikt nie rozumiał... co najwyższej tylko jeden Baloo, który właśnie zamyślił się głęboko.

— Stare to dzieje — odrzekł Hathi — starsze niżli sama dżungla. Uciszyć mi się tam na brzegach, to wam opowiem!

<sup>20</sup>leże — legowisko, schronienie.

<sup>21</sup>boć wszystkie (daw.) — bo choć wszystkie.

Dziki i bawoły szturchały się jeszcze i trykały przez dłuższą chwilę, ale już się w tę sprawę wmieszali przodownicy trzód, oznajmiając kolejno:

— Czekamy! Czekamy!

Hathi ruszył naprzód, stanął po kolana w wodzie przed samą Skalą Pokoju. Był chudy, pomarszczony, a kły dawno mu pożółkły — mimo to wyglądał istotnie na Władcę Dżungli.

— Wiadomo wam, moje dzieci — przemówił — że ze wszystkiego, co żyje na ziemi, największym strachem przejmuje was Człowiek.

Szmer potakiwania był odpowiedzią na jego słowa.

— Ta opowieść ciebie dotyczy, Mały Bracie — rzekła półgębkiem do Mowgliego Bagheera.

— Mnie? — zachnął się Mowgli. — Należę przecież do wilczej drużyny... jestem myśliwcem Wolnego Plemienia! Cóż łączy mnie z ludźmi?

— Ale pewno nie wiecie, co jest przyczyną waszej bojaźni? — ciągnął dalej Hathi. — Oto jaka jest przyczyna. W początkach istnienia dżungli (nikt nie wie, jak dawno to było) Plemiona Dżungli chodziły pospołu, nie żywiąc obaw wzajemnych. W owych to czasach nie bywało posuchy; na drzewach nigdy nie brakło liści, kwiatów i owoców, a zwierzęta nie żywiły się niczym, jak tylko liśćmi, kwiatami, trawą, korą i owocami.

— Jakże się cieszę, że nie było mnie wówczas na świecie — zauważyła Bagheera. — Kora to rzecz dobra jedynie do ostrzenia pazurów.

— Władcą Dżungli był naówczas Tha, praojciec Słoni. On to trąbą swą wydobyl dżunglę z wód głębokich; tam, gdzie kłami swymi poczynił bruzdy w ziemi, popłynęły rzeki, gdzie zasię<sup>22</sup> stąpił<sup>23</sup> nogą, tworzyły się stawy pełne wybornej wody, a gdy zaryczał na trąbie — o tak, jak ja w tej chwili — drzewa waliły się pokotem. W ten sposób Tha stworzył dżunglę i w ten sposób opowiedziano mi tę legendę.

— Nie schudła ona na pewno w opowiadaniu — szepnęła Bagheera, a Mowgli począł się śmiać, zakrywszy twarz dłonią.

— W owym to czasie nie było ani zboża, ani melonów, ani pieprzu, ani trzciny cukrowej, nie było też owych małych chatynek, które nam wszystkim tak dobrze są znane. Plemiona Dżungli wcale nie wiedziały o istnieniu Człowieka i żyły spolem<sup>24</sup>, tworząc jedną gromadę.

Ale w czas jakiś zaczęły kłócić się o jadlo, mimo że paszy było w bród dla wszystkich. Ot, po prostu rozleniwiły się; każdy chciał mieć żer tuż pod nosem, nie ruszając się z miejsca, jak to czasem i nam się przytrafia, gdy na wiosnę spadną obfite deszcze. Tha, praojciec Słoni, był naówczas zajęty tworzeniem nowych dżungli i wprowadzaniem strumieni w łożyska. Ponieważ nie mógł przebywać wszędzie, przeto mianował Pierwszego z Tygrysów wielkorządcą i sędzią dżungli i zalecił, by Plemiona Dżungli zwracały się do niego ze swymi sprawami spornymi i zażaleniami. W owych błogich czasach praojciec Tygrysów żywił się, jak inne stworzenia, trawą i owocami. Był on tego wzrostu co ja, odznaczał się wielką urodą, a barwa jego sierści przypominała kwiat żółtych powojów. Na całym jego ciele nie było ani jednego pasma, ani pręgi. Wszystkie Plemiona Dżungli stawały przed nim bez trwogi, a jego słowo było Prawem dla całej dżungli. Pamiętajcie, że byliśmy wówczas jednym plemieniem. Atoli pewnej nocy powstała pomiędzy dwoma kozłami zwada — ot, taki sam spór o paszę, jaki teraz zwykliśmy rozstrzygać za pomocą przednich odnóży i rogów — a gdy się prawowały z sobą wobec tygrysa, wylegującego się na kwiecistej łące, zdarzyło się (jak opowiadają), że jeden z nich trącił go nieostrożnie rogami. Wówczas Pierwszy z Tygrysów zapomniawszy, że jest namiestnikiem i sędzią dżungli, rzucił się na winowajcę i położył go trupem.

Do owej nocy nie wiedzieliśmy jeszcze, co to śmierć, przeto Pierwszy z Tygrysów widząc, co uczynił, i odurzony zapachem krwi, zbiegł na trzęsawiska w kraju północnym, a Plemiona Dżungli, zdane na własny rozsądek (czy nierozsądek), jęły żreć się i walczyć między sobą. Posłyszał Tha wrzawę tej walki i wrócił do rychlej. Zwierzęta starały się go zagadać, mówiąc o tym i o wym, atoli on dostrzegł nieżywego kozła, leżącego w trawie,

<sup>22</sup>zasię (daw.) — dziś: zaś.

<sup>23</sup>stąpić (daw.) — dziś: postąpić a. stąpnąć.

<sup>24</sup>spolem — razem.



i nuże pytać o zabójcę. Nikt jednak nie odpowiedział, bo zapach krwi oszołomił i oszale-  
nił<sup>25</sup> wszystkie zwierzęta, jak to się dzieje i dzisiaj w podobnym wypadku; kto żyw, biegł  
tam i sam, jak w kołowaciźnie, potrząsał łbem, fikał kozły i krzyczał przeraźliwie. Tha,  
nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wydał rozkaz obwisłym krzewom i przyziemnym  
pnączom, by napiętnowały onego kozłobójcę, tak iżby mógł go rozpoznać. I spytał wielki  
Tha: „Kto będzie teraz władcą Plemion Dżungli?”. Szara Małpa, żyjąca wśród konarów,  
skoczyła ku niemu i zawołała: „Ja teraz będę panią dżungli!”. Tha ryknął śmiechem, ale  
odrzekł: „Niech się stanie zadość twej woli!” — i odszedł, wielce zagniewany.

Dzieci, wszak wszystkie znacie Szarą Małpę. W owym czasie była ona taka sama jak  
dzisiaj. Zrazu stroiła mądre miny, ale niebawem zaczęła się iskać, hasać po drzewach,  
skakać to w dół, to do góry — a gdy Tha powrócił, ujrzał Szarą Małpę wiszącą łbem w dół  
na gałęzi i wykrzywiającą się do stojących w dole swych podwładnych; ma się rozumieć,  
że i podwładni nie zostawali jej dłużni, toteż w dżungli nie było ładu ani Prawa. Jeden  
w drugiego plótl same androny; niedorzecznościom i głupocie nie było końca.

Wówczas Tha zawołał wszystkie stworzenia i rzekł: „Pierwszy z waszych rządców  
ściągnął na dżunglę Śmierć, drugi zaś Sromotę<sup>26</sup>. Czas, byście otrzymali Prawo — i to  
takie Prawo, którego nikt z was nie zdoła przełamać. Przeto poznacie Strach, gdy zaś go  
obaczycie, poznacie, iż on jest waszym panem... Reszta już nie od was zależy”. Zwierzęta  
jęły pytać: „Co to jest Strach?”. A Tha odrzekł: „Szukajcie, a znajdziecie”. Poszły więc  
zwierzęta i jęły przetrząsać całą dżunglę, nie mogły jednak znaleźć Strachu. Aż dopiero  
bawoły...

— My-y — zaryczał Mysa, stadnik bawołów, podnosząc łeb znad ławicy piaskowej.

— Tak, Myso, bawoły! — potwierdził Hathi. — Przybyły z wiadomością, że w jednej  
jaskini wśród puszczy mieszka Strach... tak, Strach, straszidło nieowłosione, chodzące  
na dwóch nogach! Plemiona Dżungli, poruszone tą wieścią, poszły za stadem bawolim  
i dotarły do owej jaskini. U wniścia jaskini stał istotnie Strach... Był nieowłosiony —  
jak go opisały bawoły — i chodził na dwóch nogach. Gdy ujrzał zwierzęta, krzyknął prze-  
rażliwie, a głos jego napełnił nas strachem, który nam pozostał po dziś dzień. Zwierzęta  
poczęły uciekać, tratując się i rozdzierając wzajemnie w popłochu. W ową noc, jak mi  
opowiadano, mieszkańcy dżungli nie leżeli pospołu, jak to było dotąd ich obyczajem, ale  
każdy szczep obrał sobie oddzielne legowisko: dziki z dzikami, jelenie z jeleniami — rogi  
przy rogach — racica przy racicy słowem: swój do swego.

Tak drząc i dygocąc ze strachu, zwierzęta przeleżały noc całą. Jedynie praojca Tygry-  
sów nie było pomiędzy nimi; wciąż bowiem ukrywał się wśród trzęsawisk na północy.  
Gdy dotarła do niego wieść o Istocie, którą zwierzęta widziały w jaskini, powiedział sobie:  
„Pójdę tam i ukręcę kark tej Istocie”. Biegł więc przez całą noc, póki nie dotarł do jaski-  
ni. Atoli znajdujące się po drodze krzewy i pnącza, pomne rozkazu wydanego przez Tha,  
zniżyły swe gałęzie i zaczęły piętnować przebiegającego winowajcę, smagając go swymi  
prątkami po grzbiecie, bokach, czole i szczękach. Gdziekolwiek go dotknęły, tam po-  
zostawał odcisk lub pręga na jego złotej skórze. *Takie pręgi są po dziś dzień znamięm  
jego dzieci.* A gdy podszedł do jaskini, wówczas Bezwłosa Istota — Strach wyciągnął rę-  
kę i przezwiał go pręgatym<sup>27</sup> nocnym włóczęgą; zaś Pierwszy z Tygrysów przeraził się  
Bezwłosej Istoty i wśród przeraźliwego wycia zbiegł z powrotem na trzęsawiska.

W tym miejscu Mowgli zachichotał z cicha, pogrążywszy podbródek w wodzie. Tym-  
czasem Hathi mówił dalej:

— A wył tak głośno i przeraźliwie, iż usłyszał go Tha i zapytał: „Cóż to cię boli?”.  
A Pierwszy z Tygrysów, podnosząc pysk w stronę świeżo stworzonego nieba, które dziś  
już tak jest wiekowe, odrzekł: „Przywróć mi moc dawną, o Tha! Stałem się pośmiewi-  
skim całej dżungli! Uciekłem przed Bezwłosą Istotą, a ona obdarzyła mnie hańbiącym  
przewiskiem”. „Czemuż to?” — zapytał Tha. „Dlatego, że jestem umazany błotem trzę-  
sawisk” — odrzekł Pierwszy z Tygrysów. „Wykąp się więc i wytarżaj w mokrej trawie,  
a na pewno pozbędziesz się błota” — poradził mu Tha. Pierwszy z Tygrysów począł  
pływać po rzece i tarzać się po trawie, aż mu cała puszcza zawirowała przed oczyma,

<sup>25</sup>oszalenić — doprowadzić do szaleństwa.

<sup>26</sup>sromota (daw.) — wstyd, hańba.

<sup>27</sup>pręgaty — dziś: pręgowany.

jednakże ani jedna pręga nie znikła z jego sierści. Widząc to, Tha śmiał się serdecznie. Wówczas Pierwszy z Tygrysów zapytał: „Cóż ja złego uczyniłem, iż padło na mnie takie nieszczęście?”. Tha odpowiedział: „Zabiłeś kozła i wprowadziłeś do puszczy Śmierć; wraz ze Śmiercią zaś wtargnął tu Strach, a Plemiona Dżungli boją się jedne drugich, podobnie jak ty boisz się Bezwłosej Istoty”. Pierwszy z Tygrysów rzekł na to: „One mnie nie będą się bały, boć znam się<sup>28</sup> z nimi od dawien dawna”. Odrzekł mu Tha: „Idź, przekonaj się”. Wówczas Pierwszy z Tygrysów jął biegać na wszystkie strony, przywołując głośno to jelenie, to dziki, to sambhury, to jeżozwierze, to inne jeszcze Plemiona Dżungli. One jednak uciekały przed swoim byłym sędzią, bo przejmował je strach wielki.

Pierwszy z Tygrysów wrócił jak niepyszny. Bijąc pokornie łbem o ziemię i drapiąc się pazurami, przemówił: „Pamiętaj, że byłem niegdyś zwierzchnikiem dżungli! Nie zapominaj o mnie, o Tha! Niechaj dzieci moje pamiętają, że w swoim czasie byłem bez skazy i trwogi!” A Tha odpowiedział: „Uczynię zadość twjej prośbie przez wzgląd na to, że obaj jednocześnie byliśmy świadkami powstawania dżungli. Przez jedną noc każdego roku tobie i twoim dzieciom przysługiwać będą te przywileje, jakimi cieszyłeś się przed zabiciem kozła. Jeżeli w tę noc spotkasz Bezwłosą Istotę (a jej imię jest Człowiek), nie będziesz się jej lękał, owszem, ona będzie bała się ciebie i twoich potomków, jak gdybyście to wy byli sędziami dżungli i panami wszechrzeczy. Okaż się dla niej wspaniałomyślnym w ową noc strachu, boć sam doświadczyłeś<sup>29</sup> na własnej skórze, czym jest Strach”.

Na to odrzekł Pierwszy z Tygrysów: „Zgadzam się na to!”. Atoli wkrótce potem, gdy stanął nad rzeką, by napić się wody, obaczył czarne pręgi na swym grzbiecie i bokach, a przypomniawszy sobie przyzwisko, nadane mu przez Bezwłosą Istotę, wpadł w gniew wielki. Rok cały spędził wśród oczeretów, czekając chwili, w której Tha ziści swą obietnicę. I oto pewnej nocy, gdy Szakal Księżycy (Gwiazda Wieczorna) jaśniał nad dżunglą, Tygrys wyczuł, że nadeszła noc upragniona. Ruszył więc ku wiadomej pieczarze, by spotkać się z Bezwłosą Istotą. Wówczas ziściło się to, co był przyrzekł Tha. Istota Bezwłosa upadła przed Tygrysem i rozciągnęła się na ziemi, zaś Pierwszy z Tygrysów jednym uderzeniem zdruzgotał jej kręgosłup. Mniemał, iż w dżungli żywie<sup>30</sup> jedna taka istota i że udało mu się zgładzić Strach. Gdy obwąchiwał trupa, naraz posłyszał stąpanie słonia Tha, nadchodzącego z lasów północnych, a wnet potem zabrzmiał mu w uszach głos Pierwszego ze Słoni, który właśnie słyszymy w tej chwili.

Po wysłuch, spēkanych wzgórzach przebiegł huk piorunu, ale nie sprowadził za sobą ulewy — jego łyskańce<sup>31</sup>, upału będące oznaką, zamigotały za sobą ich krawędzią. Hathi ciągnął dalej:

— Taki głos on wówczas posłyszał, a głos ten mówił: „Takaż to twoja wspaniałomyślność?”. Pierwszy z Tygrysów oblizal sobie wargi i odrzekł: „O cóż znowu chodzi? Przecież zabiłem Strach!”. A Tha odezwał się: „O nierozumny i ślepy! Zdjąłeś pęta z nóg Śmierci, przeto ona będzie szła twym śladem, póki nie zembrzesz. Tyżeś Człowieka nauczył zabójstwa”.

A Pierwszy z Tygrysów, przystanąwszy nad ubitym Człowiekiem, rzekł: „Toż on taki sam jak ów kozioł. Już po Strachu! Teraz ja będę ponownie sędziował Plemionom Dżungli”. Zasię Tha odpowiedział: „Już nigdy tobie podlegać nie będą Plemiona Dżungli. Nigdy nie przejdą w poprzek twjej ścieżki, nie będą spały koło ciebie, nie pójdą za tobą ani nie będą się pasły w pobliżu twego legowiska. Sam jeno<sup>32</sup> Strach chadzać będzie za tobą i niewidzialnymi ciosy będzie cię zmuszał do służenia jego zachciankom. Za jego sprawą ziemia będzie się rozstępowała pod twymi stopami, pnącza okręcać się będą dookoła twjej szyi, a pnie drzew wokoło ciebie wyrosną ścianą tak wysoką, że nie zdołasz jej przeskoczyć. Na domiar wszystkiego złupi on z ciebie skórę i będzie otulał nią swe szczenięta, by uchronić je od chłodu. Nie okazałeś mu litości — i on jej nie okaże względem ciebie”.

Pierwszy z Tygrysów czuł się wielce pewnym siebie, bo jego noc jeszcze się nie skończyła, przeto odparł: „Obietnica, którą złożył Tha, winna go obowiązywać! Chyba nie

<sup>28</sup>boć znam (daw.) — po przecież znam.

<sup>29</sup>boć sam doświadczyłeś (daw.) — bo przecież sam doświadczyłeś.

<sup>30</sup>żywie (daw.) — dziś: żyje.

<sup>31</sup>łyskańce — błyskawice.

<sup>32</sup>jeno — tylko.

odbierzesz mi prawa mej nocy?” A Tha na to: „Noc ta jedyna, jakom powiedział<sup>33</sup>, do ciebie należy — atoli<sup>34</sup> musisz złożyć za nią okup. Oto nauczyłeś Człowieka, jak się zabija, a trzeba ci wiedzieć, że znalazłeś w nim pojętnego ucznia”.

Pierwszy z Tygrysów odrzekł: „Ależ on leży u stóp moich, bom połamał mu żebra! Rozgłoś w dżungli całej, żem zgładził Strach!”. Na to roześmiał się Tha i rzecze: „Zabiłeś jednego z wielu... a wieść tę rozgłaszaj sobie sam, bo noc twoja już się skończyła”.

Zaszarzał<sup>35</sup> dzień i oto z czeluści jaskini wyszła druga Bezwłosa Istota, a ujrawszy Pierwszego Tygrysa nad zwłokami swej ofiary koło wydeptanej ścieżki, ujęła kij z ostrym końcem.

— Oni teraz rzucają czymś takim, co przecina skórę — wtrącił jeżozwierz Ikki, sunąc z chrzęstem po wybrzeżu. Gondowie, którzy zwą jeżozwierza Ho-Igoo, uważają go za wielki przysmak, przeto Ikki wiedział coś niecoś o paskudnych, choć drobnych siekierkach gondyjskich, które fruwały niby ważki poprzez leśne uroczyska.

— Był to kół zaostrowany, podobny do tych, jakie oni umieszczają na dnie pułapek — ciągnął dalej Hathi. — Kół taki, rzucony przez Istotę Bezwłosą, utkwil głęboko w boku tygrysa. Stało się zatem, jako był przepowiedział Tha. Albowiem Pierwszy z Tygrysów jął z wyciem przeraźliwym biegać po całej puszczy, póki na koniec nie udało mu się wyszarpnąć pocisku. Cała puszcza dowiedziała się, że Istota Bezwłosa umie zranić nawet na odległość, przeto zwierzęta ogarnął jeszcze większy strach niż wprzód. Tak więc doszło do tego, iż Pierwszy z Tygrysów nauczył Bezwłosą Istotę sztuki zabijania — a wiecie wszak, ile stąd spadło na nas szkód i nieszczęść... Komuż nieznane są pętlice, sidła, oklepce, latające kije, kłujące muchy wylatujące z białego dymu (Hathi miał na myśli kule myśliwskie) i Czerwone Kwiecie, które wygania nas z kryjówek? Atoli<sup>36</sup> przez jedną noc w roku Istota Bezwłosa boi się tygrysa, jako przepowiedział Tha, a trzeba przyznać, że tygrys czyni, co w jego mocy, by strach ten uzasadnić i powiększyć. Gdziekolwiek wtedy napotka Bezwłosą Istotę, zabija ją na miejscu, mając w pamięci hańbę, jaką okrył się praojciec Tygrysów. Poza tym jednak Strach krąży wciąż po całej dżungli, zarówno dniem, jak i nocą.

— Ahi! Aco! — ozwały się jelenie, rozmyślając nad nauką moralną płynącą dla nich z tej opowieści. A Hathi ciągnął dalej:

— I jedynie wtedy, gdy ponad wszystkimi zaciąży Wielki Strach, jako w obecnej chwili — jedynie wtedy my, mieszkańcy dżungli, zdolni jesteśmy pozbyć się pomniejszych strachów i zgromadzić się pospólnie, jako teraz, na jednym miejscu.

— Czy tylko przez jedną noc Człowiek boi się tygrysa? — zapytał Mowgli.

— Tak jest, tylko przez jedną noc — potwierdził Hathi.

— No, ale ja... ale i my... ale wszystkie Plemiona Dżungli wiedzą, że Shere Khan zabija ludzi po dwa i trzy razy na miesiąc.

— Prawda. Ale wówczas skacze z tyłu, a uderzając, zwraca w bok głowę, bo przepełniony jest lękiem. Uciekłyby, gdyby zetknął się ze wzrokiem Człowieka. Atoli w swojej noc zachodzi jawnie do osiedli ludzkich, przechadza się pomiędzy domami i wtyka łeb do sieni; ludzie upadają na twarz przed nim, a on wybiera sobie spośród nich zdobycz — jedną tylko zdobycz w ciągu owej nocy.

— Ho, ho! — rzekł Mowgli do siebie, staczając się w wodę. — Teraz już wiem, dlaczego Shere Khan domagał się, bym spojrział mu w oczy. Nie przyszło mu nic z tego, bo nie potrafił znieść mojego spojrzenia... a ja bynajmniej nie upadłem mu do nóg. Zresztą nie jestem Człowiekiem; zaliczam się przeto do Wolnego Plemienia.

— Umm! — mruknęła nagle Bagheera z głębi włochatej gardzieli. — Czyż tygrys potrafi rozpoznać swą noc?

— Nie potrafi, póki Szakal Księżycy nie wyłoni się jasno z wieczornej mgły. Noc ta niekiedy przypada podczas skwarów letnich, niekiedy zaś w mokrej porze deszczowej. W każdym razie, gdyby nie Pierwszy z Tygrysów, nie zdarzyłoby się to nigdy, a nikt z nas nie wiedziałby nawet, co to Strach...

Jelenie poczęły chrząkać smutnie, a wargi Bagheery wykrzywiły się złośliwym uśmiechem.

<sup>33</sup>jakom powiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; znaczenie: jak powiedziałem.

<sup>34</sup>atoli (daw.) — jednak, ale; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

<sup>35</sup>zaszarzał — dziś: zszarzał.

<sup>36</sup>atoli (daw.) — jednak; spójnik oznaczający przeciwstawienie, kontrast.

— Czy ludzie znają tę... powiastkę? — zapytała Czarna Pantera.  
— Nie zna jej nikt prócz tygrysów i prócz nas, słoni, dziatwy wielkiego Tha. Teraz posłyszeliście ją i wy, którzyście obsiedli<sup>37</sup> kałuże i bajora. Skończyłem!  
To rzekłszy, Hathi zanurzył trąbę w wodę na znak, że nie ma ochoty mówić dłużej.  
— Ale... ale... ale... — zwrócił się Mowgli do niedźwiedzia Baloo — czemuż to Pierwszy z Tygrysów nie żywił się nadal trawą, liśćmi i gałązkami? Przecież tylko połamał gnaty kozłu, ale go nie pożarł? Cóż to go przywiodło do żywienia się świeżym mięsem?  
— Drzewa i pnącza napiętnowały go i zrobiły zeń taką pręgatą stworę, jaką teraz widzisz, Mały Braciszku! — odrzekł Baloo. — Odtąd już tygrys nigdy nie chciał kosztować ich owoców, a za to wywierał zemstę na jeleniach i innych zjadaczach trawy.  
— Aha, więc ty znasz tę powiastkę? Czemuś nigdy mi jej nie powiedział?  
— Dżungla pełna jest takich opowieści, Mały Braciszku. Gdybym raz zaczął, już bym nigdy nie mógł skończyć opowiadania. Zostawisz ty wreszcie moje ucho w spokoju?

## PRAWO DŻUNGLI

Ażeby dać wam jakieś pojęcie o przeogromnej różnorodności Prawa Dżungli, przetłumaczyłem wierszem garść przepisów, odnoszących się do Gromady Wilczej (Baloo wygłaszał je zawsze jakby monotonnym półśpiewem). Przepisów tych, trzeba wam wiedzieć, jest po stokroć i jeszcze raz po stokroć więcej, może jednak wiersze poniższe wystarczą wam jako wzory prostszych prawideł.

Oto jest zbiór Praw Dżungli — jak niebo wieczyste, niemylne.  
Ginie wilk, co je łamie; wilk, co ich słucha, jest szczęśliwy i silny.  
Jak pnącza, co pień opasują, tak Prawo wkoło nas się winie<sup>38</sup>:  
Bo wilk jest siłą drużyny, a wilka siła — w drużynie.

Pij do syta, lecz w miarę. Kąp się codziennie od kity do głowy.  
A pomnij, że dzień jest od spania, a noc przeznaczona na łowy.  
Niechaj szakał się lasi tygrysom! Lecz ty, gdy wyrośniesz, o szczenię,  
Pamiętaj, że wilk jest łowcą — i sam ma zdobywać jedzenie.

Nie klóć się z knieci<sup>39</sup> władcami: Tygrysem, Niedźwiedziem, Lampartem,  
Nie drażnij Hathiego, gdy milczy, a dzika w komyszy<sup>40</sup> nie obraż złym żartem!  
Gdy się spotkają dwa stada i nie chcą sobie ustąpić uprzejmie,  
Leż spokojnie — bo może starszyzna bezkrwawo spór ten rozjejmie<sup>41</sup>.

Gdy zwaśnisz się z wilkiem z drużyny, sam na sam się bijcie we dwojkę,  
By złego przykładu nie dawać i nie osłabiać drużyny przez bójkę.  
Nora jest wilka schronieniem, a gdzie on swój dom ustanowi,  
Nie wolno tam wejść ani Radzie, nawet Drużyny Hersztowi.

Nora jest wilka schronieniem, lecz gdy ją wykopał nazbyt widocznie,  
Rada mu przysła przestrożę, ażeby się przeniósł niezwłocznie.  
Gdyś zaczął łów przed północą, milcz — nie budź lasu szczekaniem,  
Bo spłoszysz nam wszystką zwierzynę i my bez łupu zostaniemy.

Poluj dla siebie, dla szceniąt, dla druhów. Krew taka nie brudzi!  
Lecz bez potrzeby nie poluj! — Po siedemkroć wara polować na ludzi!  
Gdy porwiesz zdobycz słabszemu, nie pożryj wszystkiego w próżności.  
Nędzarz jest w Prawa opiece — więc zostaw mu skórę i kości!

Zdobycz drużyny ma służyć za jadalę całej drużynie.  
A kto by tę zdobycz chciał unieść do własnej nory — niech zginie!

<sup>37</sup>którzyscie obsiedli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: którzy obsiedliście.

<sup>38</sup>winie — dziś: wije.

<sup>39</sup>knieja — las, puszcza.

<sup>40</sup>komysz — zarośla, chaszczce, krzaki; zwykle lm: komysze.

<sup>41</sup>rozjąć spór (daw.) — załagodzić spór; por. rozjejm.

Zdobyc wilka jest jego własnością. On rządzi nią prawem wszelakiem;  
Lecz póki sam wilk nie pozwoli, drużyna musi obywać się smakiem.

Szczenie, nim rok ukończy, powinno się suto odżywiać.  
Gdy ono jadła od kogo zażąda, nie wolno się jemu sprzeciwiać.  
Wilczyca ma prawo do leża. Gdy samcom powiodą się łowy,  
Wolno jej żądać dziesięcin dla wilcząt — i nigdy nie dozna odmowy!

Wilk-ojciec jest panem w swej norze. To wolny myśliwiec — włóczęga!  
Sądzi go jeno Rada, a władza drużyny go nie dosięga.  
Gdy Prawo jest w czymś niedokładne, szukajcie pomocy w swym Herszcie:  
On starszy, mocniejszy i mędrszy — więc jego przepisów się dzierzcie<sup>42</sup>!

Takie są Prawa Puszczańskie. Wylizyc je — niepodobieństwo!  
Lecz sercem Prawa i głową, i kośćcem jest... posłuszeństwo!

#### CUD PURUN BHAGATA

Czując, że ziemia w gruz się wali,  
na pomoc jemu szliśmy tłumnie  
w noc ową — bośmy go kochali  
świadomie, chociaż nierozumnie.

A gdy z łoskotem pękły skały,  
gdy powódź rwała wszelkie tamy,  
ocalił go nasz Ludek Mały...  
Lecz dziś... ach!... czyż go odzyskamy?

Kochaliśmy go ubożuchną  
miłością, co w zwierzętach drzemie...  
Och, żal!... Nasz brat na wieki usnął,  
a dziś nas gnębi — jego plemię...

„Żałobna pieśń langurów”

Pewnego razu żył w Indiach człowiek, który był pierwszym ministrem jednego z na pół zawisłych<sup>43</sup> państweczek tubylczych w północno-zachodniej części kraju. Był on braminem kasty tak wysokiej, iż kasta po prostu przestała mieć dlań jakiegokolwiek znaczenie. Ojciec jego piastował w swoim czasie ważny urząd na pewnym dworze indyjskim, gdzie zachowywano staroświeckie obyczaje i gdzie wszystko stroiło się w pstre i jaskrawe szaty pełne frędzli, obszywek i figlasów. Purun Dass, doszedłszy lat męskich, nabrał przekonania, że stary porządek już w gruzy się wali, a wobec tego każdy, kto chce się utrzymać przy władzy, powinien żyć w przyjaźni z Anglikami i naśladować wszystko, co Anglicy uważają za dobre. Z drugiej strony nie należy zapominać i o tym, że urzędnik-krajowiec musi stale dbać o względy swego właściwego zwierzchnika i liczyć się z jego wolą. Pogodzenie tych dwóch stanowisk jest hazardem nie lada, ale młody bramin, z natury spokojny, przezorny i małomówny, przeszedłszy wyborną tresurę na uniwersytecie w Bombaju, grał z zimną krwią, posuwając się krok za krokiem naprzód, aż w końcu doszedł do stanowiska pierwszego ministra przy boku królewskim, inaczej mówiąc, zdobył sobie faktycznie władzę większą niż jego zwierzchnik maharadża.

Gdy stary król, zawsze niechętnym okiem spoglądający na Anglików, na ich koleje i telegrafy, zszedł z tego padołu płaczu, Purun Dass uzyskał przemożny wpływ na jego młodego następcę, który dotąd wychowywał się pod opieką gubernera Anglika. Dbając pilnie o to, by do jego władzy odnoszono się z pełnym szacunkiem i zaufaniem, zakładał

Kolonializm

<sup>42</sup>dzierżyć — trzymać.

<sup>43</sup>zawisły — zaleźny.

jednak do spółki z nim przeróżne szkółki dla dziewcząt, budował gościńce, urządzał wystawy narzędzi rolniczych, uruchamiał apteki publiczne, a z końcem każdego roku ogłaszał błękitną księgę *O moralnym i materialnym postępie państwa*. Angielskie ministerstwo spraw zagranicznych oraz rząd indyjski nie posiadały się z radości. Mało jest takich państw tubylczych, które przyjmują bez zastrzeżeń postęp narzucony im przez Anglików; jakoś bowiem nie bardzo chce im się wierzyć — jak wierzył Purun Dass — że to, co Anglikom bywa na rękę, musi być na rękę i Azjatam.

Nie dziwota przeto, że pierwszy minister został zaszczycony przyjaźnią wicekrólów, gubernatorów, wicegubernatorów, misyj<sup>44</sup> sanitarnych i duchownych oraz twardo w siodle siedzących oficerów angielskich, zjeżdżających co pewien czas na polowania w leśnych rezerwach państwowych — nie mówiąc już o rzeszach turystów, którzy w porze chłodnej wędrowali tam i z powrotem po całych Indiach, nie szczędząc nikomu swych cennych rad z zakresu administracyjno-gospodarczego. W chwilach zbywających mu od pracy zaprawiał młodzież do rękodziel i studiów lekarskich — idąc i w tym za przykładem Anglików; pisywał też korespondencje do „Pioniera”, największego podówczas dziennika w Indiach, wyjaśniając zapatrywania i dążności swego władcy.

W końcu wybrał się w podróż służbową aż do samej Anglii. Po powrocie musiał złożyć ogromny okup kapłanom, albowiem nawet bramin tak wysokiej kasty, jakim był Purun Dass, może utracić godność kastową, gdy przebył tak wielki szmat morskich przestworów. W Londynie spotykał się i rozmawiał z wszystkimi osobistościami sławnymi i zasługującymi na poznanie — a widział znacznie więcej, niż zwykł był w słowach wyjawić. Zdobywał honorowe stopnie akademickie na najsłynniejszych uniwersytetach, wygłaszał przemówienia na towarzyskich i publicznych zebraniach, a wieczorami bawił strojne damy wytworną i ciekawą rozmową o hinduskich reformach społecznych, aż w końcu wszystkie kobiety londyńskie poczęły wołać jak jeden mąż — a raczej jak jedna kobieta:

— Od czasu, jakeśmy po raz pierwszy włożyły długie suknie, nie zdarzyło się nam siedzieć przy stole i rozmawiać z tak czarującym mężczyzną!

Jeszcze żywszym ogniem zapłonęła jego chwała, gdy stanął znowu na ziemi indyjskiej. Oto sam wicekról wybrał się ze specjalną wizytą, by wręczyć maharadzy Wielki Krzyż Gwiazdy Indyjskiej — cały w brylantach, wstęgach i emalii; podczas tegoż obrzędu, przy huku dział, Purun Dass został mianowany Komandorem Orderu Cesarstwa Indyjskiego; odtąd pełne jego nazwisko brzmiało: Sir<sup>45</sup> Purun Dass K.C.I.E.<sup>46</sup>

Tegoż wieczoru była w wielkim namiocie wicekróla wspaniała uczta, podczas której Purun Dass powstał, mając na piersi godło i wstęgę swego orderu, i w odpowiedzi na toast ku czci swego władcy wygłosił mowę tak świetną, iż mało który z rodowitych Anglików poważałby się iść z nim w zawody.

W miesiąc później, gdy stolica kraju powróciła do dawnej, skwarnej i słonecznej ciszy, Purun Dass uczynił rzecz taką, o jakiej nawet by się nie śniło żadnemu z Anglików — ot, mówiąc po prostu, umarł dla świata... Wysadzany brylantami order komandorski powędrował z powrotem do kancelarii wicekróla, kierownictwo spraw państwowych wzięł w swe ręce nowy minister, a główna dyrekcja poczt i telegrafów wszczęła wielki ruch we wszystkich jej podległych urzędach. Kapłani wiedzieli, a gmin odgadywał, co się stało — atoli Indie są na całej kuli ziemskiej jedynym terytorium, gdzie człowiek może robić, co mu się żywnie podoba, i nikt nie zapyta go o przyczynę. Toteż nie widziano w tym nic osobliwego, że Dewan Sir Purun Dass wyrzekł się swego stanowiska, pałacu i politycznego znaczenia, by wziąć w rękę miseczkę żebracza i przywdziać ceglatego koloru strój, w jakim chodzą świątobliwi pątnicy, zwani *sanyasi*. Zgodnie z przepisami starodawnego prawa był on przez dwadzieścia lat młodzieniaszkiem, przez drugie dwadzieścia wojownikiem (aczkolwiek nigdy w życiu nie tknął oręża), a przez trzecią dwudziestkę głową rodziny. Używał swych bogactw wedle wartości, jaką umiał w nich dostrzec; przyjmował zaszczyty, gdy nań spływały; przyjrzał się wielu ludziom i ludzkim siedliskom, zarówno dalekim, jak bliskim — wszędy doznawał czci, wszędy witano go chętnie. Teraz posta-

<sup>44</sup>misyj — dziś popr. forma D.Im: misji.

<sup>45</sup>sir (ang.) — przydomek osób należących do szlachty ang.

<sup>46</sup>K.C.I.E. — skrót od: *Knight Commander of the Order of the Indian Empire*, Komandor Orderu Imperium Indyjskiego

nowił z tym zerwać — porzucić to wszystko, podobnie jak porzucamy płaszcz, który stał się już nam niepotrzebny.

Gdy bosy, samotny, z oczyma utkwionymi w ziemię szedł przez ulice stołeczne, niosąc pod pachą skórę antylopy i okuty mosiądzem kostur, a w ręku miseczkę żebracza z brunatnej, gładkiej lupiny kokosu, słyszał poza sobą wystrzały armatnie, grzmiące z bastionów na cześć jego szczęśliwego następcy. Słyszał je i kiwał głową. Całe dotychczasowe życie stało się dlań już bezpowrotną przeszłością; odnosił się do niego z taką obojętnością, z jaką człowiek, ze snu wytrzeźwiony, zwykł się odnosić do szarych, mglistych mar nocnych. Teraz był *sanyasi* — bezdomnym żebrakiem-włóczęgą, z łaski sąsiadów pożywającym<sup>47</sup> chleb powszedni; trzeba zaś wiedzieć, że póki zostanie choćby kęs do podziału, żaden kapłan ani żebrak w Indiach nie umrze z głodu. Purun nigdy w życiu nie skosztował mięsa, a nader rzadko jadał rybę. Banknotem pięciofuntowym potrafiłby opędzić wydatki osobiste na wikt przez każde z tych lat, w ciągu których był niezależnym panem milionowych sum pieniężnych. Nawet w czasie pobytu w Londynie, gdy go ugaszczano i podziwiano, marzył o spokoju i ciszy — o tym długim, białym, zakurzonym trakcie indyjskim, poznaczonym śladami bosych stóp, o płynącej z wolna, ale nieprzerwanie fali ludzkiej; i o gryzącym dymie kłód drzewnych, wijącym się o zmroku pod figowcami, gdzie wędrowcy zatrzymywali się celem spożycia wieczery.

Gdy nadszedł czas, w którym ten sen miał się ziścić, pierwszy minister „poczynił odpowiednie kroki” — a w trzy dni potem łatwiej byś odszukał bańkę piany na rozścieżach Oceanu Atlantyckiego aniżeli Purun Dassa wśród wędrujących, to skupiających się, to rozpraszających się milionów ludności indyjskiej.

Nocą rozścielał skórę antylopy w miejscu, gdzie zaskoczyła go ciemność. Miejszem tym zaś był czasem przydrożny klasztor *sanyasi*, czasem próg ceglanej, na filarach wspartej kapliczki Kala Pir, gdzie ludzie święci odrębnego, choć niezbyt wyraźnego typu, zwani jogami, przyjmowali go, jak przystało tym, co znają się na wartości kast i odrębności społecznych; czasem przysiółek jakiejś niewielkiej osady hinduskiej, gdzie przekradały się doń dzieci, niosąc warzę przygotowaną przez rodziców; czasami wzgórek pośród nagiego stepu, gdzie blask ogniska, roznieconego przezeń z suchych badyli, budził drzemiące wielbłądy. Było to zgoła obojętne Purun Dassowi — czyli raczej Purun Bhagatowi — bo takie miano przybrał obecnie. Nie dbał o ziemię, ludzi i strawę. Nogi same go niosły niepostrzeżenie na wschód i na północ od południa ku Rohtakowi, od Rohtaku do Kurnool, od Kurnool do zwalisk Samanah, a następnie w górę rzeki Gugger, której wyschnięte łożysko napełnia się wodą tylko wtedy, gdy w górach spadną obfite deszcze. Tak idąc, pewnego dnia ujrzał rysujący się w oddali wyniosły grzbiet Himalajów.

Wówczas uśmiechnął się Purun Bhagat wspomniawszy, że matka jego pochodziła z rodu braminów radżputańskich, zagnieźdżonych w okolicach Kulu — że zawsze tęskniła za śniegiem swych gór ojczystych i że najmniejsza nawet kropelka krwi góralskiej przyciąga człowieka prędzej czy później w te strony, skąd wziął początek.

— Tam osiadę i zdobywać będę wiedzę! — powiedział sobie Purun Bhagat, wdzierając się na stoki Siwaliku, zarosłe kaktusami sterczącymi na kształt świeczników siedmiornamiennych. Gdy wszedł na trakt wiodący do Szimil, zaświstał mu koło uszu rzeźwy wiatr płynący od Gór Himalajskich.

Inaczej przebywał tę drogę Purun niedawnym czasem! Jechał okazale, z przybocznym oddziałem jazdy, w odwiedziny do najszlachetniejszego i najślawniejszego z wielkorządców Indii; godzinę całą trwała ich rozmowa o wspólnych przyjaciółach w Londynie i o ustosunkowaniu się ludu indyjskiego do spraw politycznych. Obecnie Purun Bhagat nie myślał o składaniu wizyt, tylko oparł się o barierę gościńca, przyglądając się wspaniałemu widokowi na niziny, rozpościerającemu się przed nim w promieniu mil czterdziestu. Stał tak długo w zapatrzeniu, póki policjant, krajowiec-mahometanin, nie upomniał go, że tamuje ruch uliczny. Purun Bhagat czołobitnie pokłonił się przedstawicielowi władzy; wiedział bowiem, co to prawo — i teraz wszak poszukiwał prawa, co by nim kierowało.

Następnie ruszył w dalszą drogę i przenocował w pustym szałasie w Czhota Szimla. Miejsce to, która turystom wydaje się najdalszym krańcem świata, była dla Puruna Bhagata początkiem podróży. Odtąd posuwał się szlakiem himalajsko-tybetańskim, wąż-

<sup>47</sup>pożywać — dziś: spożywać; jeść.

ską, dziesięć stóp szerokości mierzącą drożyną, wylamaną dynamitem w twardej opoce lub wymoszczoną potężnymi kłodami drzewa ponad brzegiem przepaści na tysiąc stóp głębokiej — opadającej w mlacznę<sup>48</sup> i parne kotliny — to znów pnącą się po nagich poloninach, gdzie słońce przypieka jak soczewka szkła powiększającego — to wreszcie wiążącą się przez podmokłe, ciemne lasy, gdzie pnie drzewne od korzeni po gałęzie zarastają pękami paproci, a po gąszczach wabią się bazanty. Spotykał tu pasterzy tybetańskich, wiodących psy i stada owiec z woreczkami boraksu, zawieszonymi wśród wełny. Spotykał zakutanych w wełniane oponcze lamów tybetańskich, pielgrzymujących do Indii. Kiedy indziej mijali go wysłannicy małych udzielnych państw górskich, cwałując jak opętani na laciących i pręgających kucykach, lub spędzał go z drogi orszak konny jakiegoś radży, odbywającego podróż dyplomatyczną. Bywało też, że przez cały dzień — od rana do świtu — nie napotkał nikogo prócz czarnego misia, sapiącego ciężko i wygrzebującego korzonki na stokach górskiej doliny.

Z rozpoczęciem wędrówki gwar porzuconego świata dzwonił mu jeszcze w uszach, podobnie jak gwar tunelu rozlega się jeszcze przez chwilę za pociągiem, który zeń wyjechał. Lecz po przebyciu przełęczy Mutteeanee wszystko ucichło — i Purun Bhagat był pozostawiony sam sobie. Szedł, przyglądał się i rozmyślał — wodząc wzrokiem po ziemi i myślą po obłokach.

Pewnego wieczoru przebył najwyższą przełęcz, jaka stała mu w drodze; wspinać się na nią zabrało mu całe dwa dni i ujrzał łańcuch śnieżnych szczytów, opasujących widnokrug; były to góry mierzące od piętnastu do dwudziestu tysięcy stóp wysokości; wydawały się tak bliskie, iż rzekłbyś, można było rzucić do nich kamieniem — w rzeczywistości jednak znajdowały się w odległości mil kilkudziesięciu. Przełęcz wieńczyły gęste, ciemne bory; rosły tam deodary, orzechy włoskie, dzikie czereśnie, dzikie oliwki i dzikie grusze, najwięcej jednak było deodarów, czyli cedrów himalajskich.

W cieniu deodarów wznosiła się opuszczona kapliczka bogini Kali — zwanej też Durgą albo Sitalą która tu i ówdzie doznaje czci, jako mająca moc ratowania od czarnej ospy.

Purun Dass zamiótł kamienną posadzkę, uśmiechnął się do rozdziawionej gęby bóstwa, założył sobie w głębi kapliczki małe palenisko z gliny, rozpostarł skórę antylopy na posłaniu ze świeżego igliwia, włożył pod pachę godło swoje — *bairagi*, czyli kostur o mosiężnej rękojeści — i usiadł, by wypocząć z podróży.

Tuż u stóp jego staczało się zbocze górskie, ciągnące się stromo hen ku przylepionej do urwiska gromadce kamiennych domków o dachach z ubitej ziemi. Wokoło tej wioszczyny leżały, niby laciasty fartuch na kolanach góry, maluchne, tarasowato ułożone poletka, a krowy, nie większe od chrząszczy, pasły się wśród wałów kamiennych, odgradzających klepiska. Spoglądając na drugą stronę doliny, oko myliło się w ocenie wielkości przedmiotów i nie od razu miarkowało, że to, co zdawało się niskim zaroślem na przeciwległym zboczu, było w istocie lasem sosnowym, wybujałym na sto stóp wysokości. Purun Bhagat zapatrzył się w orla szybującego ponad olbrzymią otchłanią — ale wielki ptak zmalał do rozmiarów drobnego punkcika, zanim przebył połowę drogi. Obłoki, rozproszone po dolinie, nizały się jakby wiązanki lśniących paciorków, to uczeplając się grzbietu gór, to znów wznosząc się w górę i niknąc, gdy stały na jednym poziomie z wierzchołkiem przełęczy.

— Tu znajdę ciszę — powiedział sobie Purun Bhagat. Dla górala drobnostką jest przebycie kilkuset stóp w dół czy w górę, więc gdy wieśniacy ujrzeli dym wznoszący się nad opuszczoną kapliczką, natychmiast kapłan miejscowy wdrapał się po upłazach na wyżnię, by powitać przybysza.

Wejrząwszy w oczy Purun Bhagata — oczy człowieka nawykłego rozkazywać tysiącom poddanych skłonił się nisko do samej ziemi, nie mówiąc ani słowa, po czym równie bezsłownie zabrał jego miseczkę żebaczą i powrócił do wioski. Wieśniakom dopytującym się o wynik wyprawy taką ogłosił nowinę:

— Oto do nas nareszcie zawitał mąż święty. Nigdy nie widział człowieka, co by mu był równy. Jest rodem z nizin, ale lica ma białe. Prawdziwy bramin z dziada-pradziada.

Gospodynie wiejskie, wiedzione kobiecą ciekawością, zaczęły się dopytywać:

— Jak myślisz? Czy aby on pozostanie między nami?

<sup>48</sup>mlaczny — bagnisty; od daw. *mlaka* a. *mloka*: moczary, bagno.



Otrzymałszy odpowiedź potwierdzającą, jęły gotować na wypróżki co najsmaczniejsze potrawy dla Bhagata. Jadło góralskie jest niewymyślne, ale z hreczki, kukurydzy, ryżu, papryki, drobnych rybek ułowionych w górskim potoku, z miodu podebranego w skalnych barciach, suszonych moreli, dzikiego imbiru i ciasta niezaprawnego potrafi bogobojna kobieta przyrządzić prawdziwie smakowitą ucztę. Całą misę takich frykasów zaniósł kapłan Bhagatowi i jął go dopytywać, czy zamierza pozostać u nich; czy nie życzyłby sobie czela, czyli ucznia, który by za niego żebrał; czy ma derkę, która by go zabezpieczyła przed zimnem i slotą; czy smakuje mu jadło i tak dalej i tak dalej...

Purun Bhagat jadł i dziękował ofiarodawcy, oświadczając, że owszem, z chęcią pozostanie między nimi. Kapłanowi wystarczyło to zapewnienie. Prosił więc Bhagata, by zostawiał miskę przed kapliczką w malej jamce utworzonej przez splątane korzenie drzewne, a może być pewny, że nie dozna nigdy głodu — albowiem cała wieś czuje się niezmiernie szczęśliwa, że mąż tak dostojny (to mówiąc spojrzął z lękiem w oblicze Purun Bhagata) raczy przebywać pomiędzy nimi.

Dzień ów był kresem wędrówek Purun Bhagata; oto bowiem pielgrzym dotarł do przeznaczonego dlań miejsca, gdzie znalazł ciszę i przestrzeń. Czas tu niejako stanął w miejscu, tak iż Purun, siedząc u wnijscia kapliczki, nie umiał orzec sam o sobie, żyjeli<sup>49</sup> jeszcze czy jest już umarły; nie wiedział, czy władnie<sup>50</sup> swymi członkami, czy też obszarem gór, obłokami, blaskiem słonecznym i ulewą. Powtarzał sobie cicho po stokroć jedno imię, a za każdym powtórzeniem wydawało mu się, iż bardziej odrywa się od ciała i bardziej się zbliża do wrót jakiejś przerażającej tajemnicy; atoli gdy wrota już się otwierały, ciało ciągnęło go z powrotem i ze smutkiem uświadamiał sobie, że jest uwięziony w ciele Purun Bhagata.

Każdego ranka ktoś po cichu stawiał napełnioną miseczkę żebraczą w występie korzeni pod kapliczką. Czasem przynosił ją kapłan; czasem zaś zamieszkały w wiosce ladakhijski przekupień piął się po stromej perci, by zdobyć sobie zasługę. Najczęściej jednak drogę tę odbywała jedna z gospodyń wiejskich — ta, która przez daną noc trudziła się gotowaniem dla niego strawy. Przyszedszy pod kapliczkę, mrucała półgłosem:

— Przemów za mną do bogów, Bhagacie. Przemów za... (tu podawała imię swoje i swojego męża).

Niekiedy powierzano tę zaszczytną misję któremuś z odważniejszych chłopców, a wtedy Purun Bhagat słyszał, jak wysłaniec stawiał prędko miskę i umykał co sił w nogach.

Sam Bhagat nigdy nie zachodził do wioski. Leżała ona zawsze niby jakowaś mapa, u jego stóp. Widywał wieczorynki, które urządzano na klepiskach — owych jedynych w całej wiosce przestrzeniach, gdzie grunt był jako tako równy. Widywał przedziwną, niewysłowioną zieleń runi ryżowej, indygowy błękit kukurydzy, puszyste zakosy hreczki oraz czerwone kwiecie amarantu, którego małe nasionka, niebędące ani zbożem, ani kaszą, dają pożywną żywność, dozwolone według prawa Hindusom nawet w czasie postów.

Ze schyłkiem roku dachy chat stały się płytami najczystszej złota, gdyż zaczęto tam składać, celem wysuszenia, snopy żętego zboża. Młocka i sianokosy, przesiewanie i luskanie ryżu — wszystko to działo się przed oczyma pustelnika — tam w dole, na tle haftu wielobocznych poletek. Purun Bhagat rozmyślał o wszystkim, co widział, i zastanawiał się, jaki cel i wynik może mieć rzecz każda.

Nawet w ludnych okolicach Indii niepodobna przesiedzieć spokojnie przez dzień cały, nie będąc napastowanym przez złośliwe stworzenia, które snadź<sup>51</sup> uważają człowieka nieporuszającego się za bryłę gładu. Nie dziwota, że żyjące w tym pustkowiu różne dzikie stworzenia, z dawien dawna obeznane z kaplicą Kali, rychło poczęły ją nawiedzać, by przyjrzeć się intruzowi. Pierwsze oczywiście pojawiły się langury, siwowąsę małpy himalajskie, które są uosobieniem ciekawości. Przewróciwszy miseczkę żebraczą i potoczywszy ją po ziemi, wypróbowały siły swych zębów na mosiężnej galce kostura i naznęcały się do woli nad skórą antylopy, doszły do przekonania, że siedząca nieruchomo istota ludzka nie może im uczynić nic złego. Wieczorem zeskakiwały z sosen i wyciągały ręce, żebrząc pożywienia, a potem umykały, wyginając się w zgrabnych podrygach. Upodobały

<sup>49</sup>żyjeli — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy żyje.

<sup>50</sup>władnie — dziś popr. forma: władza.

<sup>51</sup>snadź (daw.) — widocznie, podobno.

sobie ciepło ogniska, więc skupiały się koło niego i siedziały przykucnięte, póki nie zostały na bok odsunięte przez gospodarza, zamierzającego dorzucić większej ilości paliwa. Rankiem Purun Bhagat nierzadko znajdował przy sobie kosmatą małpę, dzielącą się jego kocem, zaś przez cały dzień stale jedna z nich siadywała przy jego boku, gapiąc się na śniegi, papląc coś pod nosem i przybierając niesłychanie mądre i frasośliwe miny.

Za małpami nadciągał wielki jelen *barasingh*, podobny do naszego jelenia, ale znacznie okazałszy; pragnął zetrzeć scypuł ze swych rogów o twarde głązy posągu Kali.

Ujrawszy człowieka w kaplicy, królewski zwierz począł ze złości wierzgać nogami; atoli widząc, że Purun Bhagat wcale nie rusza się z miejsca, podszedł boczkiem ku niemu i jał ocierać się chrapami jego ramię. Purun Bhagat pogłaskał chłodną dłonią jego rozparzone poroże. Dotknięcie to przyniosło ulgę zgorączkowanemu zwierzęciu; jelen pochylił głowę, a Purun Bhagat z wielką ostrożnością starł i wyskubał sierść z rogów. Wkrótce potem *barasingh* zaczął przyprowadzać swą lanię i jelonki — przemile stworzonka, które mamlały rozkosznie, leżąc na derce świętego męża; czasami zachodził nocą tylko sam, lśniąc zielonymi oczyma w odbłasku ogniska, i pożywał się porcją świeżych orzechów. W końcu zawitał tu również i piźmowiec, najpłochliwszy i najmniejszy z leśnych zwierzątków, wiecznie nastawiający wielkie, zajęcze uszy. Ba, nawet cętkowany, wiecznie milczący *mushick-nabha* wymyszkował widocznie, co oznacza światło w kapliczce, bo począł gmerać swym pociesznym ryjkiem w zanadru Purun Bhagata, biegając tam i sam w zawody z cieniami ogniska.

Wszystkie te zwierzęta zwał Purun Bhagat swoimi braćmi, a jego ciche nawoływanie: *Bhai! Bhai!* wywabiało je w biały dzień z lasu, o ile znajdowały się nieopodal. Czarny niedźwiedź himalajski, podejrzliwy dziwak Sona, noszący na podgardlu białe znamię w kształcie litery V, przechodził niejednokrotnie tą drogą; ponieważ zaś Bhagat nie okazywał strachu, więc i Sona nie myślał okazywać gniewu, tylko przyglądał się odważnie mieszkańcowi kapliczki, niebawem zaś podszedł ku niemu i zaczął dopraszać się o pieśczęty wraz z przyczynkiem chleba lub dzikich jagód.

Nieraz o cichym świcie, gdy Purun Bhagat wdzierał się na sam wierzchołek wrębu przełęczcy, by przyjrzeć się rumianym blaskom dnia, posuwającym się wzdłuż śnieżnych szczytów, widywał, jak Sona drepce i sapie tuż poza nim, wsadza wścibską łapę pod zwalone pnie drzewne i wyciąga ją stamtąd z fuknięciem znamionującym zniecierpliwienie. Wychodząc rankiem z kapliczki, nieraz odgłosem kroków budził Sonę zwiniętego w kłębek pod progiem; niedźwiedzisko natychmiast zrywało się na równe nogi, gotowe do walki, póki nie posłyszało głosu Bhagata i nie rozpoznało swego najlepszego przyjaciela.

Niemal wszyscy pustelnicy i ludzie święci żyjący z dala od wielkich miast uchodzą za cudotwórców zdolnych rozkazywać dzikim zwierzętom. W całym owym cudotwórstwie zasadą główną bywa zazwyczaj: zachowywać się spokojnie, nie wykonywać nagłych ruchów, a przez czas dłuższy nie spojrzeć ani razu wprost na przybysza. Mieszkańcy wioski widywali sylwetkę jelenia kroczącego niby cień przez ciemny bór za kapliczką; widywali himalajskiego bażanta *minaula* gorejącego całą tęczą barw przed obliczem posągu Kali; widywali i langury, co przycupnąwszy w świątyni, igrały lupinami orzechów. Ba, niektóre z dzieci słyszały, jak Sona, schowany za zwałem skalnych piargów, nucił sobie jakąś śpiewkę niedźwiedzią pod nosem. Przeto sława Bhagata jako cudotwórcy utrwaliła się i była niezachwiana — jakkolwiek jego duszy nic tak nie było obce jak cudotwórstwo.

Purun Bhagat wierzył, że wszystko w świecie jest jednym wielkim cudem — i że człowiek, który sobie to uświadamia, nie potrzebuje już szukać innych podstaw swego żywota. Wiedział — i miał za rzecz pewną — że nie masz nic wielkiego ani małego na tym świecie, a dniem i nocą wmyślał się z wolna w samą istotę wszechrzeczy, kierując się ku źródłisku, z którego szła jego dusza.

Rozmyślał, rozmyślał i nie było końca rozmyślaniom... Nieczesane włosy spływały mu długą falą na barki; w kamiennej płycie obok skóry antylopy utworzył się dołek wyżłobiony mosiężnym okuciem kostura, zaś wnęka wśród kłodzin drzewnych, kędy co dzień stawiano miseczkę żebrazą, pogłębiła się w kształt jamki, niemal tak wklęsłej i gładkiej jak powierzchnia kokosowej lupiny. Zwierzęta zadomowiły się już na dobre koło ogniska — każde z nich miało tam swoje miejsce. Pola z każdą porą roku zmieniały swą barwę; gumna napełniały się zbożem, opróżniały się i znów napełniały; ilekroć zasię nadeszła zima, langury hasały żwawo wśród gałęzi oprószonej śniegiem, póki z nastaniem wiosny

małpie matki nie wyhodowały nowego pokolenia kłapouchych małpiątek w ciepłym zaciszu parowów. W wiosce mało się zmieniło. Kapłan się postarzał, a małe berbecie, które wprawdzie nosiły miseczkę żebraczą, teraz wysyłały z nią swą własną dziatwę. Gdy zaś pytano wieśniaków, jak dawno święty mąż przemieszkuje w świątyni Kali przy siodle przełęczy, odpowiadali: „Mieszkał tu zawsze”.

Pewnego roku nastąpiły latem takie deszcze, jakich nie widywano w górach od dłuższego czasu. Przez trzy — prawdziwie „oblewane” — miesiące dolina była spowita chmurami i rozkiszła się siąpiawicą; deszcz mżył bez przerwy, uporczywie, raz po raz przechodząc w nawalną ulewę. Kaplica bogini Kali po większej części stała w chmurach, a był i taki miesiąc, w którym Bhagat ani razu nie dostrzegł najmniejszego nawet skrawka wioski; ukryła się bowiem pod białym stropem mgły, który chwał się, przesuwając się z miejsca na miejsce, falował i wydymał się w górę, ale nigdy się nie zwałił ze swoich filarów — z zalanych wodą stoków doliny.

Przez cały ten czas Bhagat nie słyszał nic oprócz miliona drobnych strużek, szumiących to pomiędzy gałęziami nad głową, to po rozmiękłym gruncie pod nogami — sączących się poprzez iglaste sosny korony — ociekających z koniuszków strzępiastej paproci, to znów toczących się utartymi dopiero co koleinami żlebów. Potem wyjrzało słońce, przywołując błogą woń deodarów i różokrzewów oraz ten daleki, rzeźwiący zapach, który górale nazywają „zapachem śniegów”. To ciepło słoneczne trwało cały tydzień, po czym znów zebrały się deszcze, by lunąć po raz ostatni; nawał wody był tak wielki, iż zdarł całą zwierchnię warstwę gruntu i bryzgał na znaczną wysokość kłębam błota. W ową noc Purun Bhagat przygotował wielki stos opału, bo był pewny, że zziębnięci jego bracia łaknąć będą ciepła. Wszelakoż ani jedno zwierzę nie przybyło do kapliczki, mimo że Purun wabił je serdecznie i długo — aż w końcu usnął znużony, dziwując się mocno, co też takiego zdarzyć się mogło w głębi boru.

W najciemniejszą godzinę nocy, gdy ulewa dudniła jak tysiąc tarabanów<sup>52</sup>, zbudził go ze snu jakieś szarpnięcie za derkę. Wyciągnąwszy się, uczuł koło siebie drobną dłoń langura.

— Tutaj lepiej niż pod drzewami — ozwał się sennie Purun Bhagat, odgarniając jeden ze zwiniętych brzegów derki — wleźże do mnie i ogrzej się!

Ale małpka złapała go za rękę i poczęła ją ciągnąć.

— Aha! Dopominasz się jadła? — dorozumiewał się Purun Bhagat. — Poczekaj, zaraz ci przygotuję.

Atoli<sup>53</sup> gdy przyklękła, by dorzucić drewno do ognia, langur pobiegł ku drzwiom kapliczki, zaskrzeczał żałośnie i wróciwszy chyżo do świętego męża, uchwycił go za kolano.

— Co się stało? Cóż cię tak zaniepokoiło, bracie? — zapytał Purun Bhagat widząc, że w oczach langura malują się jakieś rzeczy, których biedne zwierzę nie umie wypowiedzieć. — Jeśli nikt z twych pobratymców nie wpadł w pułapkę (zresztą, o ile mi wiadomo, nikt tu nie zastawia pułapek!), nie mam ochoty wychodzić na słotę i zawieruchę. Patrz no, bracie, nawet *barasingh* przyszedł szukać u mnie schronienia.

Jakoż w tejsze chwile królewski zwierz wszedł wspaniałym krokiem do świątyni. Szczękając rogami o posąg bogini Kali, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, po czym nachylił łeb w stronę Purun Bhagata i jął wierzgać złowrogo, parszkając przez półprzymknięte chrapy.

— Hej! Hej! Hej! — zawołał Bhagat, trzaskając palcami. — Czy to ma być zapłata za nocleg?

Jeleń nie zważał na te słowa, tylko w dalszym ciągu popychał go ku drzwiom. Jednocześnie Purun Bhagat posłyszał jakiś jęk czy zgrzyt i obaczył, że dwie płyty w podłodze rozsunęły się na pewną odległość, a pod nimi zaczęła chlupotać i mlaskać grząska ziemia.

— Aha! Teraz rozumiem! — rzekł do siebie Purun Bhagat. — Nie mam żalu do mych braci, że nie zasiedli dziś nocą przy moim ognisku! Więc to góra zaczyna się obsuwać i grozi zawaleniem!... Ale... ale, po cóż mam odchodzić?

Wzrok jego padł na pustą miseczkę żebraczą i twarz mu się zmieniła.

<sup>52</sup>taraban — bęben wojskowy.

<sup>53</sup>atoli (daw.) — jednak; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

— Tu obdarzano mnie wyborną strawą codziennie od czasu... od czasu, gdym tu przybył... Jeżeli się nie pośpieszę, jutro może ani jeden człowiek w dolinie nie pozostanie przy życiu. Nie ma co zwlekać! Muszę zejść na dół i ostrzec mieszkańców wioski. Odsuńcie się, bracia! Pozwólcie mi podejść do ognia.

*Barasingh* odsunął się niechętnie, a Purun Bhagat wetknął głownię głęboko w ogień i obracał ją tak długo, póki nie rozgorzała silnym płomieniem.

— Więc przyszlście mnie przestrzec! — rzekł, powstając. — Ale uczynimy coś jeszcze lepszego, niż wam się zdaje. Wyjdźmy już, a ty, bracie, użyż mi swego karku, bo mam tylko jedną parę nóg.

To rzekłszy, objął prawą ręką szczeciasty<sup>54</sup> grzbiet *barasingha*, w lewicy uniósł pochodnię i wyszedł z kapliczki w ponury, nieprzenikniony mrok nocy. Wiatru wcale nie było, ale deszcz o mało co nie zgasił pochodni, gdy wielki zwierz, ślizgając się na tylnych racicach, zbiegł pędem po stoku góry. Gdy wydostali się z lasu, przyłączyło się do nich więcej braci Bhagata. Nie widząc nikogo, słyszał przecie wokoło siebie zwinne kroki langurów, a poza nimi basowe sapanie Sony.

Ulewa zmierzwiła długie, siwe włosy Bhagata, które obwisły w dół jak postronki; woda pluskała pod bosymi stopami starca, a żółta odzież przyłgnęła do jego słabowitego ciała — mimo to stapał uporczywie i wytrwale, opierając się na grzbiecie *barasingha*. Dokonała się w nim zmiana. Nie był to już asceta-pustelnik, ale Sir Purun Dass, K.C.I.E., pierwszy minister pokaznego państwa, człowiek nawykły do rozkazywania, śpieszący ratować swych podwładnych. Stromą, oślizłą, rozchłapaną drogą posuwali się w dół — Bhagat ze swoją bracią. Szli coraz niżej i niżej, póki jelenie nie zaczęły potykać się i trącać rogami o ogrodzenie gumna; wówczas stanęły i jęły parskać, bo zwęszyły człowieka. Jakoż znajdowano się już u wylotu jednej z krętych uliczek wioski. Bhagat zastukał kosturem w zawarte okiennice domu kowala, a podniesiona pochodnia rozjarzyła się żywym blaskiem pod osłoną okapu.

— Wstawajcie i uciekajcie! — krzyknął Purun Bhagat, nie rozpoznając własnego głosu, gdyż od lat całych nie zdarzyło mu się przemawiać do ludzi. — Góra się wali! Góra wkrótce runie! Zbudźcie się i uciekajcie, wieśniacy!

— To nasz Bhagat! — zawołała kowalowa. — On tu przyszedł ze wszystkimi swymi zwierzętami. Zbierz działwę i poślij ją do wioski. Niech pobudzą, niech zawiadomią wszystkich!

Wieść pobiegła od domu do domu, a tymczasem zwierzęta, stłoczone w ciasnej przestrzeni, ławą falującą obiegały Bhagata. Sona sapał z niecierpliwości.

Ludzie wypadli na ulicę — było ich, razem wzięwszy, dusz około siedemdziesięciu — i przy blaskach pochodni ujrzeli Bhagata, opartego o bok przerażonego *barasingha*, rzesze małą szarpiących go niespokojnie za rękawy oraz Sonę, który ryczał przeraźliwie, przysiadłszy na ziemi.

— Wyminąć dolinę i wejść na najbliższą górę! — huknął Purun Bhagat — Niech nikt się nie ociaga! My pójdziemy za wami!

Wówczas ludziska poczęli śmigać pod górę, jak to śmigać umieją jedynie górale. Wiedzieli, że w razie obsunięcia się ziemi należy wdrapać się na najwyższy upłaz poza doliną. Mknęli więc chyżo, brnąc z chlupotem przez małą rzeczulkę na dnie doliny, a dostawszy się na tarasowate poletka po drugiej stronie, jęli piąć się po nich z mozołem. Bhagat szedł za nimi otoczony swą bracią.

Wspinali się coraz wyżej i wyżej na przeciwległe zbocze, nawołując się wzajemnie po imieniu — hasłem używanym w wiosce. Tuż poza nimi sunął wielki *barasingh*, obarczony słabnącym coraz bardziej Purun Bhagatem. Szedł i szedł z wielkim trudem aż na koniec zatrzymał się w cieniu gęstego lasu sosnowego, o pięćset stóp od podnóża góry.

Ten sam instynkt, który ostrzegł go przez zbliżającą się katastrofą, szepnął mu teraz, że w tym miejscu będzie bezpieczny.

Purun Bhagat osunął się bezwładnie przy boku zwierzęcia, bo przenikliwy ziąb ulewy i zawziętość wspinaczki dały mu się śmiertelnie we znaki. Zanim jednakże omdlał, zdołał krzyknąć w stronę rozproszonych ludzi z pochodniami:

— Stańcie i policzcie się!

<sup>54</sup>szczeciasty — dziś: szczeciasty.

A obaczywszy, że światła skupiły się w jednym miejscu, szepnął do jelenia:

— Pozostań przy mnie, bracie. Pozostań... póki nie... odejdziesz!

W powietrzu ozwał się jakiś głuchy jęk, który niebawem wzmógł się w groźny pomruk, następnie zaś spotężniał w huk, przechodzący wszelką granicę ludzkiego słuchu.

Zbocze górskie, na którym stali wieśniacy, zatrzęsło się w ciemności i zakołysało wskutek jakiegoś uderzenia. Potem przez dobre pięć minut buczała w powietrzu jakaś nuta wyraźna, głęboka i przeciągła, podobna do niskiego C w organach, od której pnie sosen dygotały aż po same korzenie. Gdy skończył ostatni jej pogłos, nie dawał się już więcej słyszeć gromki stukot strug deszczowych o twardą skałę, jaki wprawdzie rozbrzmiewał o kilka mil opodal; zamiast niego wpadł teraz w ucho głuchy, stłumiony chłupot wody rozlanej na miękkim gruncie...

Głosy te starczyły za całą opowieść.

Zaden z wieśniaków — nawet sam kapłan — nie był dość śmiały, by przemówić choć słówkiem do Bhagata, który uratował im życie. Wszyscy przycupnęli pod sosnami i czekali nadejścia poranku. Gdy niebo poszarzało, jęli spoglądać w dolinę. Tam, gdzie wprawdzie był las, uprawne stoki i poprzerzynane ścieżkami hale, teraz widniała grząskie i szorstkie, w kształt wachlarza usypane rumowisko, na którego krawędzi zwisało kilka drzew wyrzuconych korzeniami do góry. Ta maź czerwona pobiegła hen aż pod wzgórze, użyczające schronienia wieśniakom. Zatomowana tym usypiskiem rzeczulka poczęła się rozlewać w jezioro ceglastej barwy. Z wioski, z drogi wiodącej ku kapliczce, z samej kapliczki i lasu poza nią nie pozostało ani śladu. Całe zbocze na milę szerokości i na dwa tysiące pionowej wysokości oderwało się od pnia góry i runęło w dolinę, równając wierzchołek swój z podnóżem.

Wieśniacy zaczęli jeden po drugim przekradać się przez las, by pokłonić się Purun Bhagatowi. Ujrzeni przy nim stojącego *barasingha*, który pierzchnął na ich widok, posłyszeli żałosne kwilenie langurów pośród gałęzi oraz rozpaczliwe jęki Sony gdzieś na zboczu góry. Atoli<sup>55</sup> sam Bhagat już nie żył.

Siedział nieruchomo na podwiniętych nogach, oparty o drzewo, trzymając kostur pod pachą, a twarzą obrócony w stronę północno-wschodnią. Kapłan, widząc to, przemówił:

— Zważcie, jaki to cud nad cudy! W takiej to postawie powinno się grzebać wszystkich *sanyasi*. Przeto w tym miejscu, gdzie on spoczywa, zbudujemy świątynię naszemu świętemu człowiekowi.

Nim rok upłynął, postawili w tym miejscu świątynię z niewielkim ołtarzykiem kamiennym i ceglana kapliczką; na górze tej, którą nazwano Górą Bhagata, po dziś dzień odbywają się nabożeństwa ze świecami, kwiatami i ofiarami.

Jednakże nikt z ludzi miejscowych nie domyśla się nawet, że świętek, któremu tu cześć oddają, jest to nieboszczyk Sir Purun Dass, K.C.I.E., D.C.L.<sup>56</sup>, Ph.D.<sup>57</sup> etc., były pierwszy minister postępowego i oświeconego państwa Mohiniwala, członek honorowy i członek-korespondent towarzystw naukowych o wiele liczniejszych, niżby ich było komukolwiek potrzeba na tym lub na drugim świecie.

## PIEŚŃ KABIRA

Jakiż lekki był świat, który w dłoniach on ważył!  
Jak ciężły mu ziemie, nad którymi włodarzył<sup>58</sup>!  
Rzucił tron, wdział łachmany, wziął żebracze biesagi;  
W tym przebraniu w świat ruszył — jako pątnik-*bairagi*.

Biała droga do Delhi jest kobiercem nóg jego;  
Sal i kikar w tej drodze od upałów go strzegą;  
Domem jest mu włóczęga, ciżba ludzka, step nagi.  
Szuka Drogi Zbawienia święty pątnik-*bairagi*.

<sup>55</sup>*atoli* (daw.) — jednak, lecz; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

<sup>56</sup>*D.C.L.* — skrót od ang. *Doctor of Civil Law*: doktor prawa cywilnego.

<sup>57</sup>*Ph.D.* — skrót od ang. *Doctor of Philosophy*: doktor filozofii.

<sup>58</sup>*włodarzyć* — rządzić.

Człowiekowi się przyjrzał — i przewidział oczyma  
(Kabir mówi: „Jest Jednia i prócz Jedni nic nie ma”);  
Znalazł Drogę, co pierwiej uszła jego uwagi,  
Z oczu Krwawą Mgłą Złudy stracił pątnik-*bairagi*.

Żeby prawdy się uczyć, zbyć się błędnych omamień  
I za braci poczytać Bóstwo, zwierzę i kamień,  
Rzucił dwór, przywdział łachman i żebracze biesagi  
(Kabir rzecze: „Słysz, człecz!”) — i w świat ruszył *bairagi*.

## NAJAZD DŻUNGLI

Zaduśmy ich, skrępujemy w bujnych łodyg pęta,  
o kwiaty i chwasty, i zioła!  
Niech głos ludzki, ich widok i woń ich przekłeta  
w pamięci nam zatrą się zgoła!  
Na ołtarzach leżący popiół gęsty, czarny  
niech w świecie wichura rozproszy;  
na polach niezasianych niech się lęgną sarny  
i nikt już ich odtąd nie spłoszy —  
i niech nikt już nie mieszka wśród gruzów i zwalisk  
w tej głuchej, zapadłej pustoszy!

Kto czytał opowiadania zawarte w pierwszej *Księdze dżungli*, przypomni sobie niezawodnie, jak to Mowgli, przytwierdziwszy skórę Shere Khana do Skąły Narady, oznajmił niedobitkom Wilczej Gromady Seeoneeńskiej, że odtąd będzie polował w kniei samopas — i jak cztery szczenięta Ojca Wilka i Matki Wilczycy oświadczyły, że będą wiernie towarzyszyły mu w łowach. Ale niełatwo to przychodzi zmienić od razu tryb życia — szczególnie w puszczy. Przeto Mowgli, gdy mu się powiodło rozpędzić niesforną Gromadę, przede wszystkim udał się do ojczystej jaskini i przespał tam całą dobę.

Wyspawszy się, jął opowiadać Ojcu Wilkowi i Matce Wilczycy wszystkie przygody, jakich zaznał pomiędzy ludźmi. Słuchali go oboje bardzo uważnie, starając się wszystko zrozumieć. Gdy zaś począł w blaskach wschodzącego słońca migotać klingą myśliwskiego noża — tego samego, którym wypatroszył Shere Khana — przyznali mu, że nauczył się przecie czegoś pożytecznego.

Następnie przyszła kolej na Szarego Brata i Akelę, by opowiedzieli o swym pościgu za bawołami w wąwozie. Baloo wygramolił się na sam szczyt góry, by posłuchać całej opowieści, a Bagheera gładziła się po puszystej sierści, uradowana sprawnością, jaką okazał Mowgli w owej walce.

Słońce już dawno wstało, atoli nikt nie zabierał się do spania. Matka Wilczyca raz po raz wznosiła łeb w górę i z rozkoszą wciągała w nozdrza cuch<sup>59</sup> skóry tygrysy, nadlatującej z wiatrem od Skąły Narady.

— Ale gdyby nie Akela i obecny tu Szary Brat, nie dokazałbym niczego — rzekł Mowgli na zakończenie swej opowieści. — Ach, matko, matko! Gdybyś ty widziała, jak siwe buhaje gnały przez wąwóz... i jak gracko wpadły przez wrota do wsi wówczas, gdy Ludzka Gromada obrzuciła mnie kamieniami!

— Cieszę się, że tego nie widziała — odpowiedziała chłodno Wilczyca. — Nie mam zwyczaju pozwalać, by moje dzieci odpędzono precz niby bandę szakalów<sup>60</sup>! Ja bym nie omieszkała odplacić się należycie za to Ludzkiej Gromadzie: oszczędziłabym tylko tę kobietę, która karmiła cię mlekiem. Tak! Tylko ją jedną pozostawiłabym przy życiu!

— Cicho, cicho, Raksha! — odezwał się Ojciec Wilk tonem niedbałym. — Nasz Żabuś powrócił do nas... tak mądry, że własny ojciec musi lizać jego stopy! Cóż wobec tego znaczą parę sińców na głowie? Dałabyś spokój ludziom!

<sup>59</sup>cuch (daw.) — zapach.

<sup>60</sup>szakalów — dziś popr.: szakali.

A Baloo i Bagheera zawtórzyli<sup>61</sup>:

— Dałabyś ludziom spokój!

Mowgli, przytuliwszy głowę do boku Matki Wilczycy, uśmiechnął się z zadowoleniem i oświadczył, że nie chce odtąd widzieć ludzi, słyszeć o nich ani czuć ich zapachu.

— Ale co będzie, Braciszku, jeżeli ludzie nie zechcą zostawić cię w spokoju? — zagadnął Akela, nadstawiając jedno ucho.

— Nas jest pięciu! — warknął Szary Brat, rozglądając się po towarzyszach, po czym kłapnął głośno zębami.

— My też możemy przyłączyć się do łowów! — rzekła Bagheera i śmignęła z lekka ogonem, patrząc porozumiewawczo na Baloo. — Ale czemuż mamy sobie teraz zaprzętać głowy człowiekiem, Akelo?

— Owszem, jest powód — odpowiedział Wilk Samotnik. — Gdy rozwiesiliśmy na skale skórę tego żółtego rozbójnika, pobiegłem przebytym już szlakiem w stronę wsi, zacierając kierunek śladów, zbaczając to w prawo, to w lewo, to wreszcie tarzając się po ziemi, by zbić ludzi z tropu, w razie gdyby zamierzali nas ścigać. Gdy już tak splątałem tor naszego biegu, że sam nie potrafiłbym go rozeznaczyć, nagle spośród drzew cichym lotem wyfrunął nietoperz Mang i zawisłszy tuż nad moją głową, oznajmił: „W wiosce ludzkiej, skąd wygnano Szczenię Ludzką, słychać pobrzęk i gwar donośny, niby w gnieździe szerszeni!”.

— Widać, że wrzuciłem spory kamień do tego gniazda! — zaśmiał się Mowgli, który nieraz zabawiał się wrzucaniem dojrzałych owoców papawy do gniazd szerszeni, po czym, ma się rozumieć, drałował zawsze co sił w nogach w stronę najbliższego jeziora, gdzie żądliste owady nie mogły mu już nic zrobić.

— Zapytałem Manga, czy co widział. Odpowiedział mi, że Czerwone Kwiecie zakwitło u wrót wioski, a wokół niego zasiedli ludzie ze strzelbami. Otóż miałem sposobność przekonać się na własnej skórze — to mówiąc, Akela przyjrzał się zastarzałym bliznom na bokach i grzbiecie — że strzelby ludziom nie służą do zabawy. A teraz właśnie, gdy z tobą wiodę rozmowę, Braciszku, pewien człowiek szuka naszego tropu, być może nawet, że nań natrafił!

— W jakimś celu? Przecież ludzie wygnali mnie od siebie. Czegóż jeszcze im ode mnie potrzeba? — zapytał Mowgli z gniewem.

— Jesteś przecie człowiekiem, Braciszku! — odparł Akela. — Jakoż my, wolni łowcy, mamy ci tłumaczyć, co czynią twoi bracia i z jakiej przyczyny?

Ledwo starczyło mu czasu, by podnieść łapę i uchronić ją przed ostrzem noża, który przeciąwszy powietrze, zarył się głęboko w ziemię. Ruch, który wykonał był<sup>62</sup> Mowgli, uszedłby baczości człowieka, atoli Akela nie był człowiekiem, lecz wilkiem; wszak nawet pies, który bardzo się już odrodził od swego pradziada, dzikiego wilka, potrafi zbudzić się z najgłębszego snu, gdy nadjeżdża wóz, i uskoczyć bez szwanku w porę przed mogącymi go stratować kołami.

— Na przyszyły raz pamiętaj, że nie wolno jednym tchem mówić o mnie i o ludzkiej hałastrze! — rzekł Mowgli, chowając spokojnie nóż do pochwy.

— Fiu-u! To ci ostry kiel! — rzekł Akela, obwąchując ślad noża w ziemi. — Powiem ci jednak, Braciszku, że pożycie z ludźmi źle wpłynęło na sprawność twego wzroku. Przez ten czas, gdyś ty na mnie się zamierzał, ja bym już dawno zabił kozła!

Bagheera zerwała się na równe nogi, zadarła łeb w górę i jęła węszyć, prężąc się każdą krzywizną swego ciała. Szary Brat poszedł w lot za jej przykładem, stając nieco na lewo od niej celem lepszego rozpoznania wiatru, ciągnącego z prawej strony, jednocześnie zaś Akela pomknął pięćdziesiąt sążni pod wiatr i przypadł do ziemi, również prężąc się na całym ciele. Mowgli patrzył na nich z zazdrością. Umiał węszyć jak mało kto z ludzi, jednakże nigdy nie udało mu się zdobyć subtelnej wrażliwości węchu, jaką odznaczają się zwierzęta dżungli; zresztą trzy miesiące pobytu w kurnej chacie wiejskiej oddziaływały nań pod tym względem nader niekorzystnie. Mimo wszystko poślinił palec, potarł nim koniec nosa i stanął prosto, by chwycić górny cuch, który choć najsłabszy, jest przecie pewniejszy.

<sup>61</sup>zawtórzyć — dziś: zawtórować.

<sup>62</sup>wykonał był — daw. czas zaprzyszły: wykonał (wcześniej).

— Człowiek! — warknął Akela, przysiadając na tylnych łapach.

— Buldeo! — dodał Mowgli, kładąc się na ziemi. — Idzie w trop za nami... Patrz, tam słońce odbłysło od jego strzelby!

Był to zaledwie jeden błysk mosiężnych sworzni starego towerskiego muszkietu — błysk, który trwał bodajże ćwierć sekundy, atoli<sup>63</sup> w dżungli nigdy nic nie błyska się w sposób podobny, chyba że po niebie pędzą gromowe chmury; wówczas istotnie lada okrucz miki, najmniejsza kałuża wody, a nawet co gładsze liście błyskają z dala jak telegraf świetlny. Atoli ów dzień był bezchmurny i spokojny.

— Wiedziałem, że ludzie puszcza się za nami w pościgi! — zawołał Akela z tryumfem. — Nie darmo byłem Hersztem Gromady!

Cztery wilczęta nie odpowiedziały nic na to, tylko na brzuchach szczołgały<sup>64</sup> się ze wzgórze i zaszyły się w gąszcz krzaków.

— Dokąd idziecie... tak bez słowa? — zahukał na nich Mowgli.

— Pst! Nim nadejdzie południe, przytaszczymy tu jego czaszkę! — odpowiedział Szary Brat.

— Wracać! — krzyknął Mowgli. — Wracać i czekać! Człowiek nie zjada ludzi!

— A któż to był przed chwilą wilkiem? Kto dobył na mnie noża za to, iżem go uważał<sup>65</sup> za człowieka? — zaśmiał się Akela, gdy czwórka wilcząt zawróciła z drogi, acz z wielką niechęcią, i układła się<sup>66</sup> w ordynku<sup>67</sup> obok Mowgliego.

— Czyż muszę się wam tłumaczyć z wszystkiego, co mam ochotę uczynić? — burknął Mowgli z wściekłością w głosie.

— To Człowiek! Tak przemawia Człowiek! — mruknęła Bagheera pod wąsem. — W ten właśnie sposób rozmawiali ludzie koło klatek zwierzyńca królewskiego w Udajpurze. My, starzy obywatele dżungli, wiemy, że Człowiek jest ze wszystkich istot najmędrszy... choć sądząc z tego, co słyszymy, moglibyśmy go uważać za najgłupszą istotę pod słońcem.

I podniósłszy głos, dodała:

— Tym razem Ludzkie Szczęnie ma słusność. Ludzie polują gromadnie. Zabijanie jednego, dopóki nie wiemy, co inni zamierzają uczynić, to niedobry sposób polowania. Chodźmy zobaczyć, jakie zamiary ma względem nas ten człowiek.

— Nie pójdziemy! — zawarczał Szary Brat. — Poluj w pojedynkę, Mały Bracie! My wiemy, jakie są nasze zamiary! Teraz można by w sam raz przynieść czaszkę tego nędznika!

Mowgli spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego ze swych przyjaciół; pierś mu falowała, a oczy napełnione były łzami. Postąpił naprzód i przyklęknąwszy na jedno kolano, przemówił:

— Ja również wiem, jakie są moje zamiary! Spójrzcie na mnie!

Zwierzęta z nieukrywaną niechęcią posłuchały rozkazu; ilekroć odwróciły głowy, Mowgli natychmiast przywoływał je ponownie i wpatrywał się w nie uporczywie, aż im się w końcu sierść zjeżyła ze strachu i poczęły drżeć na całym ciele.

— A teraz kto z nas pięciu będzie wodzem? — zapytał Mowgli.

— Ty, ty, Mały Bracie! — odrzekł Szary Brat, liżąc stopy Mowgliego.

— A więc za mną! — zakomenderował Mowgli, a cała czwórka ruszyła za nim potulnie, podkuliwszy ogony.

— To są skutki obcowania z Ludzką Gromadą! — zauważyła Bagheera, wlokąc się za nimi. — Ej, Baloo, mamy w puszczy rzecz niejedną, o jakiej się nie śniło Prawom Dżungli!

Stary Miś nie odrzekł nic, ale co myślał, to myślał...

Mowgli przedzierał się bezszelestnie przez knieję, zmierzając boczkiem ku ścieżce, którą szedł Buldeo. Niebawem, rozchyliwszy krzaki, ujrzał starego myśliwca z muszkietem na ramieniu, biegnącego truchcikiem wzdłuż śladu sprzed dwóch dni.

Przypominacie sobie zapewne, że Mowgli uciekł był od wioski, dźwigając na plecach ciężką skórę zdartą z Shere Khana, a za nim pomknął Szary Brat i Akela; ślady ich,

<sup>63</sup>atoli (daw.) — jednak, jednakże; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

<sup>64</sup>szczołgać się — dziś: przeczłogać się.

<sup>65</sup>iżem go uważał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: iż go uważałem; że go uważałem.

<sup>66</sup>układła się — dziś: ułożyła się.

<sup>67</sup>ordynek — porządek.



jak łatwo zgadnąć, uwydatniały się na ziemi bardzo wyraziście. Postępując z tropu w trop, Buldeo dotarł do miejsca, gdzie — jak wiadomo — Akela, zawróciwszy z drogi, pozacierał poza sobą i poplątał wszystkie ślady. Usiadł tu stary strzelec, chrząknął, burknął coś pod nosem i jał bacznie rozglądać się na wszystkie strony, by rozplątać ową gmatwaninę — a przecie każdej chwili mógł rzutem kamienia dosięgnąć tych, którzy nie spuszczały go z oka. Nikt nie potrafił sprawiać się tak cicho jak wilk, gdy nie chce, by go posłyszano — a Mowgli, choć wedle zdania wilków poruszał się bardzo niezgrabnie, przecie umiał przemykać się jako cień niepostrzeżenie.

Otoczyli starego wygę, jak stadko delfinów opasuje statek pędzący całą siłą pary — i gawędzili przy tym niefrasobliwie, gdyż mowa wilcza zaczyna się poniżej skali głosów uchwytnych dla niewprawnego ludzkiego ucha. Przeciwnym punktem tej skali jest gwizd nietoperza Manga, tak wysoki, że większość ludzi nie słyszy go wcale. Od tego tonu w górę rozpoczynają się wszelkie rozmowy ptaków i owadów.

— Hej, tu można się lepiej ubawić niż na polowaniu! — rzekł Szary Brat, gdy Buldeo schylał się, oglądał bacznie ślady, sapał i mruczał coś gniewnie. — Ten człowiek wygląda jak warchlak zbłąkany w kniei nad rzeką. Cóż on tak wygaduje pod nosem?

Mowgli jał tłumaczyć słowa ludzkie na język wilczy.

— On mówi, że chyba całe stado wilków hasały koło mnie... Mówi, że takiego śladu jeszcze nie widział nigdy w życiu... Mówi, że już się zmęczył...

— Wypocznie sobie, zanim natrafi na właściwy trop — rzekła chłodnym głosem Bagheera, prześlizgując się koło pnia i przyłączając się do tej gry w ciuciubabkę, w jaką zabawiały się wilczęta. — No i cóż porabia ta chuda istota?

— Połyka dym albo go wypuszcza ustami. Ludzie zawsze tak się zabawiają — odpowiedział Mowgli.

Czatownicy jęli się przyglądać strzelcowi, który tymczasem nabił fajkę tytoniem, zapalił i począł z niej pykać. Zapamiętali sobie dobrze zapach tytoniu, by w razie czego móc rozpoznać Buldea nawet w najczarniejszych mrokach nocnych.

Niebawem pojawiła się na ścieżce gromadka węglarzy. Zatrzymali się, rzecz oczywista, by pogawędzić z Buldeem, którego sława myśliwska rozbrzmiewała co najmniej na dwadzieścia mil wokoło. Usiedli i zapalili fajki, zasię Bagheera i towarzysze podszli bliżej, by przyjrzeć się lepiej Buldeowi, który tymczasem jał opowiadać od samego początku historię o diablątku Mowglim, nie szczędząc przy tym nowych dodatków i upiększeń. Opowiedział więc, jak to w rzeczy samej on, Buldeo, zabił Shere Khana; jak Mowgli zamienił się w wilka i walczył z nim przez całe pół dnia, po czym przybrał z powrotem postać chłopca i zaczął mu strzelbę myśliwską, tak iż kula poszła w bok i trafiła jednego z bawołów Buldeowych; jak to wreszcie mieszkańcy wioski, wiedząc, iż Buldeo jest najlepszym strzelcem w Seeonee, wysłali go, by zabił owo diablątko, przy czym uwięzili jako zakładników Messuę i jej męża, którzy byli niewątpliwie rodzicami tego piekielnika. Zamknięto oboje w ich własnej chałupie i właśnie miano ich poddać męczarniom, by wymusić od nich zeznania, iż są czarownikami, po czym czekała ich śmierć na stosie.

— Kiedyż to nastąpi? — zapytali węglarze, gdyż mieli wielką ochotę być świadkami tego obrzędu.

Buldeo odpowiedział, że nic nie stanie się przed jego powrotem, gdyż wieśniacy domagali się, by on wpięty zgładził chłopca; dopiero wtedy bowiem będą mogli rozprawić się z Messuą i jej mężem oraz podzielić między siebie ich grunty i bawoły... a wspomnieć się godzi, że mąż Messui miał niezgorsze stado bydła. Tępienie czarowników, jak mniemał Buldeo, było rzeczą chwalebną, a już chyba nie było gorszych czarowników nad tych, którzy wywołali wilka z lasu i chowali go u siebie.

— Hm! — rzekli węglarze. — Ale co to będzie, jak o tym posłyszają Anglicy? Opowiadają o nich, że te wariaty nie pozwalają porządnym ludziskom w spokoju ducha mordować czarowników.

— Eee! — lekceważąco odpowiedział Buldeo. — Jest na to sposób! Wójt pójdzie do władzy i zrobi doniesienie, że Messua i jej mąż zmarli wskutek ukąszenia żmii. Wszystko już przewidziano... pozostało tylko zabić tego wilkołaka. Widzieliście kiedy takie dziwo?

Węglarze rozejrzeli się bojaźliwie wokoło i dziękowali niebiosom, że nie spotkali się nigdy z wilkołakiem; nie mieli jednak najmniejszej wątpliwości, że jeżeli kto, to Buldeo potrafił go wytropić. Słońce już nachyliło się ku zachodowi, więc węglarze wstali, gdyż

mieli ochotę pójść do wioski i obaczyć straszną czarownicę. Słyszac to, Buldeo oświadczył, że choć uważa za swą powinność zabicie diablątka, to jednak nie może pozwolić na to, by garstka ludzi bezbronych wędrowała bez jego osłony przez puszcę, gdzie każdej chwili może przed nimi pojawić się upiorny wilkołak; zdecydował się przeto im towarzyszyć, a gdyby ów czarci syn zaszedł im drogę ho, ho! — wówczas on, Buldeo, najlepszy strzelec w Seonee, będzie wiedział, jak sobie z nim poradzić!... Wszak otrzymał od bramina amulet zabezpieczający go najzupełniej przed mocą złych uroków.

— Co on gada?... Co on gada? — dopytywały się wilki co chwilę. Mowgli tłumaczył im słowo za słowem, póki nie doszedł do opowieści o czarownikach; ponieważ nie bardzo ją rozumiał, więc poprzestał na oznajmieniu, że ów mężczyzna i kobieta, którzy byli dla niego tak dobrzy, znajdują się w pułapce.

— Więc ludzie zastawiają pułapki i na ludzi? — zapytał Szary Brat.

— On tak opowiada. Nie mogę się w tym wszystkim połapać. Oni chyba wszyscy poszaleli... Nie wiem, co Messua i jej mąż mają wspólnego ze mną, że ich wtrącono do pułapki... i czemu to oni tyle bają o Czerwonym Kwieciu. Muszę przyjrzeć się temu osobiście. Cokolwiek zamierzają uczynić z Messuą, nie uczynią tego, póki Buldeo nie wróci. A więc...

Tu Mowgli zamyślił się głęboko, przebierając palcami po rękojeści noża. Tymczasem Buldeo i węglarze ustawili się gęsiego i rażnym krokiem ruszyli w stronę wioski.

— Pójdę co żywo tam, gdzie mieszka Ludzka Gromada! — odezwał się na koniec Mowgli.

— A co będzie z nimi? — zapytał Szary Brat, patrząc łapczywym wzrokiem na brunatne plecy węglarzy.

— Zaśpiewaj im „czas do domu, czas”! — zaśmiał się Mowgli. — Nie chciałbym, by stanęli u wrót wioski jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Czy potrafisz opóźnić ich przybycie?

Szary Brat pogardliwie wyszczerzył zęby.

— E, wielka mi sztuka! Potrafę wodzić ich w kółko jak uwiązane kozy! Przecie znam się na ludziach...

— Nie wymagam tego, byś tak z nimi tańczył jak wilk z kozą. Śpiewaj im tylko, ot tak troszkę, żeby im się nie cniło w drodze, ale, proszę cię, Szary Bracie, nie dobieraj nuty zbyt czulej. Ty, Bagheero, idź też z nimi i wtóruj im w tej pieśni. Gdy się ściemni zupełnie, spotkamy się przy wiosce... Szary Brat będzie wiedział, w którym miejscu...

— Ej, to prawdziwa mordęga takie łowy! Łażże, bestyjo, z tropu na trop, dla jakiegoś tam Ludzkiego Szczenięcia! Kiedyż się wyśpię? — mamrotała Bagheera poziewając, ale oczy świadczyły, że jest zachwycona zabawą. — Słyszane rzeczy! Mam przyśpiewywać do marszu golasom, ludziom! Ale nie zawadzi spróbować!

Zniżyła głowę, by głos mógł popłynąć swobodnie, i długo, przeciągle zawyła hasło „Pomyślnych łowów!” — owo hasło godziny północnej, które brzmi najstrasliwiej, gdy się odezwie w porę przedwieczorną. Mowgli, pomykający chyżo przez dżunglę, śmiał się do rozpuku, słyszac za sobą owo pienie, co rozległo się pogrzmotem echa, spotężniało, potem jęło słabnąć, aż skończyło zamknięte przytłumionym skowytem. Widział, jak węglarze zbili się w gromadkę — jak lufa Buldeowego muszkietu kręciła się na wszystkie strony niby liść bananu. A oto już Szary Brat zagrał groźną pobudkę myśliwską: Ya-la-hi! Yala-hi! — używaną w czasie polowania na antylopy, gdy wilcze stado pędzi przed sobą siwą samicę *nilghai*. Zew ten biegł kędyś z daleka, jakby z samych krańców świata, i coraz to się zniżał, zbliżał, zbliżał, zbliżał, aż zakończył się przeraźliwym wrzaskiem, urwanym z nagle, jakby zdławionym. Odpowiedziały mu trzy inne głosy — tak donośnie, że nawet sam Mogli gotów był przysiąc, że słyszy zespół całej Wilczej Gromady — a nagle wszystkie wraz zanuciły wspaniałą Hejnal Dżungli, nie szczędząc wszelkich wywijasów, fanfar i ozdobników, na jakie tylko zdobyć się może przepastna gardziel stadnego wilczurra. Poniżej podajemy tekst słowny owej pieśni; zamykając oczy na usterki opracowania, wyobraźcie sobie, jak straszliwie brzmieć muszą te zwrotki, gdy zakłócą popołudniową drzemkę dżungli:

Jeszcze ot przed godziną, gdyśmy szli tą równiną,  
Nie majaczył na ziemi cień mgławcy;

teraz cieniów gromada w ślad za nami się skrada,  
a my do dom wracamy z wyprawy.

W cichym rannym pomroku już widoczne są oku  
kępy krzewów, zrąb skał, drzew korony —  
więc podnieśmy wołanie: „Czas już spocząć każdemu,  
kto przestrzega Praw Dżungli zielonej!”.

Teraz nocni włóczędzy w gąszcz się kryją czym prędzej,  
nie chcąc skóry narażać i rogów;  
teraz chyłkiem i milczkiem lampart z dzikiem i wilczkiem  
powracają do jam i barłogów.

Już po roli, po łęgu idą woły w zaprzęgu:  
do roboty je ludzie zaprzęgli!  
Zorza — błada, nieśmiała — blaskiem krwawym już pała  
jako Kwiecie Czerwone wśród węgli.

Hej, kto żyw! W legowiska! Bo już słońce rozbłyska  
ponad trawą szumiącą i bujną!  
Przez trzciny młodych łąn gęsty ciągną szmery i chrzęsty,  
jakby straż tam odprawiał ktoś czujną.

Blask nas razi, co dnieje — a więc biegnąc przez knieję,  
mrużym ślepią, by widzieć z daleka;  
a na niebie złowieszczą dzikie kaczki gdzieś wrzeszczą:  
„Dzień już nastał — czas władzy Człowieka!”.

Na ścieżynach już do cna wyschła rosa ta nocna,  
ode której grzbiet cały nam wilgnał;  
a tam, kędyśmy pili, pełno błota w tej chwili —  
i do brzegów muł przywarł i przylgnał.

Zorza, podła zdrajczynie, jawnym każdy ślad czyni,  
kędy przeszły pazury lub szpony.  
Więc słuchajcie wezwania: „Czas już spocząć każdemu,  
kto przestrzega Praw Dżungli zielonej!”.

Jednakowoż żaden przykład nie jest mocen oddać wrażenia, jakie pieśń ta wywiera, ani też przeraźliwie brzmiącej nuty szyderstwa, jaką czwórka wilków przesycala każde słowo, słysząc, jak gałęzie drzew trzeszczały pod ciężarem wdrapujących się na nie ludzi i jak Buldeo mruzczał coraz to inne modły i zaklęcia. Odśpiewawszy pieśń całą, wilczki pokładły się i zasnęły, albowiem — na równi z wszystkimi istotami żyjącymi własnym przemyśleniem — miały usposobienie bardzo pedantyczne i wiedziały, że nie pracuje dobrze, kto się dobrze nie wyspi.

Tymczasem Mowgli mknął przed siebie z szybkością dziewięciu mil na godzinę, radując się, iż po tylu miesiącach gnuśnego życia pomiędzy ludźmi nie utracił przecież gibkości i zwinnosci ciała. W głowie tętniła mu jedyna myśl — by wyswobodzić z pułapki Messuę i jej męża; do wszelkich bowiem pułapek, jakiegokolwiek by one były, czuł zawsze wielką niechęć i nieufność. Poza tym obiecywał sobie, że zacznie spłacać z nawiązką wszystkie długi, jakie zaciągnął wobec mieszkańców wioski.

Już się zmierzchało, gdy zobaczył pamiętne pastwiska oraz drzewo *dhak*, gdzie oczekiwał go Szary Brat w ów ranek, kiedy urządzono obławę na Shere Khana. Pomimo całej zawziętości, jaką Mowgli żywił do społeczności ludzkiej, coś zaczęło dusić go w gardle, gdy spozierał na dachy wioski. Zauważył, że wieśniacy wrócili z pól niezwykle wcześniej

i zamiast wziąć się do wieczerzy, zgromadzili się tłumnie pod figowcem i wiedli z sobą ożywioną rozmowę, często gęsto przerywaną krzykami.

„Ludzie wciąż muszą na siebie wzajem zastawiać pułapki — mówił w duchu Mowgli. — Bez tego żyć nie mogą. Dwie noce temu zastawili ją na Mowglięgo... choć wydaje się, jakoby już wiele pór deszczowych minęło od tego czasu. W dzisiejszą zaś noc podobny los ma spotkać Messuę i jej męża. Jutro... a może w jedną z nocy późniejszych... przyjdzie znów kolej na Mowglięgo”.

Jął<sup>68</sup> skradać się wzdłuż wału, póki nie doszedł do znajomej sobie chaty. Zajrzawszy przez okno w głąb izby, obaczył Messuę. Leżała na ziemi, mając pęta na rękach i nogach, a w ustach knebel; nie mogąc krzyczeć, jęczała i dyszała ciężko. Mąż jej był przywiązany do jaskrawo malowanego łoża. Drzwi chałupy, wychodzące na ulicę, były na moc zamknięte, tuż zaś siedziało kilku mężczyzn, opierając się o nie plecami.

Mowgli znał doskonale obyczaje i nałogi wieśniaków. Miał nieraz sposobność przekonać się, że póki jedzą, gawędzą i palą fajki, póty są nieszkodliwi; ale gdy się najedzą, to już nie pokazują się im na oczy! Lada chwila mógł powrócić Buldeo, a jeżeli wilczki wywiążą się należycie ze swego zadania, to stary łgarz będzie miał wątek do nader zajmującego opowiadania! Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Mowgli przelazł szybko przez okno, pochylił się nad więźniami, przeciął im więzy, wyjął z ust knebel i rozejrzał się po izbie, by znaleźć choć odrobinę mleka.

Messua, którą bito i kamienowano przez dzień cały, była bliska szaleństwa, przeto Mowgli w samą porę zatkał jej usta dłonią, by zapobiec krzykom. Jej mąż, choć gniewny i oszołomiony, usiadł spokojnie i zaczął wygarniać kurz i śmieci z rozwichrzonej brody.

— Wiedziałam... wiedziałam, że on przyjdzie! — zaszlochała Messua. — Teraz już wiem na pewno, że to mój syneczek!

To rzekłszy, chwyciła Mowglięgo i przycisnęła go do serca.

Do tej chwili Mowgli doskonale panował nad sobą, teraz jednak — ku niezmiernemu swemu zdziwieniu — zaczął drżeć na całym ciele.

— Do czego służą te pęta? Czemu was związano? — zapytał po chwili milczenia.

— A czemuż by, jak nie dlatego, żeśmy cię przyjęli za syna — odrzekł posępnie mężczyzna. — Skazano nas za to na śmierć. Patrz! I ze mnie krew ciecie.

Messua nic nie mówiła, ale Mowgli przyjrzał się uważnie jej ranom... i słychać było, jak zgrzytał zębami na widok krwi płynącej.

— Czyja to sprawka? — zapytał. — Trzeba będzie za to komuś zapłacić.

— To robota całej wsi. Byłem zbyt bogaty... miałem za wiele bydła... Przeto uznano nas za czarowników, żeśmy cię przytulili w chałupie.

— Nic z tego nie rozumiem. Niech Messua opowie wszystko, jak było.

— Przecież ci dałam mleka... czy sobie przypominasz, Nathoo? — odpowiedziała Messua bojaźliwym głosem. — Boś ty był moim syneczkiem zabranym mi przez tygrysa i jam cię kochała tak gorąco. A oni powiadają, że ja, twoja matka, jestem matką diabła, a więc zasługuję na śmierć.

— A cóż to diabeł? — zapytał Mowgli. — Śmierć to już widywałem, ale diabła nie...

Mężczyzna spojrział spod brwi posępnie. Messua zaś roześmiała się.

— Widzisz! — rzekła do męża. — Wiedziałam i powiadałam ci, że on nie jest żadnym czarownikiem. To mój syn!... Mój syn!

— Cicho — mruknął mąż. — Syn czy czarownik, jedno lichy! Wiele nam z tego nie przyjdzie, kiedy wyciągniemy kopyta!

— Droga przez dżunglę stoi przed wami otworem — odrzekł Mowgli, wskazując palcem okno. — Zdjąłem wam pęta z rąk i nóg. Jesteście wolni. Uciekajcie!

— Nie znamy dżungli... tak, jak... ty ją znasz, mój syneczku! — jęła mówić Messua. — Widzi mi się, że nie zajdę daleko!

— A chłopci i baby wejdą nam na kark i sprowadzą nas tutaj z powrotem — dodał mąż.

— Hm! — mruknął Mowgli i poskrobał się w dłoń ostrzem noża. — Na razie nie pragnę wyrządzać szkody żadnemu z mieszkańców wioski. Ale sądzę, że oni nie będą cię zatrzymywali. Oho! — zadziwił się, podnosząc głowę i zaczął przysłuchiwać się wrzawie

<sup>68</sup>jąć — zacząć.

głosów i kroków ludzkich we wsi. — A więc nareszcie udało się Buldeowi wrócić do domu?

— On wyprawiał się dziś z samego rana, żeby cię sprzątnąć ze świata! — zawołała Messua. — Czy spotkałeś się z nim?

— Tak! Spotkaliśmy... to jest, spotkałem się z nim! Teraz on musi opowiedzieć ludziom nader ciekawą historię... a przez ten czas, gdy ją będzie opowiadał, można dokonać niejednej rzeczy. Ale wpierw muszę się dowiedzieć, jakie oni knują zamiary. Namyślcie się, dokąd macie powędrować, a gdy wrócę, opowiecie, coście postanowili.

Wyskoczył przez okno i jął biec znów wzdłuż muru wioski, póki nie dotarł do miejsca, skąd było widać tłum zgromadzony pod figowcem. Buldeo leżał na ziemi, kaszląc i wzdychając, a obecni zasypywali go pytaniami. Włosy rozsypały mu się w nieładzie po ramionach; ręce i nogi miał odrapane wskutek łażenia po drzewach, a słowa więzły mu w gardle — mimo to czuł się osobą ważną, niejako władcą w tym ludzkim gronie. Od czasu do czasu mruknął coś o diablích śpiewach i czarodziejskich zaklęciach... ot, żeby zaostrzyć ciekawość na to, co miało nastąpić. Niebawem zażądał wody.

— No, no! — mruknął Mowgli. — Baj, baj! Pleć, pleciugo, byle długo! Ludzie są bliskimi krewniakami plemienia *bandar-log*. Teraz on sobie będzie plukał gębę wodą... potem sobie zakurzy fajkę... a gdy już odprawi te wszystkie obrządki, zacznie opowiadać duby smalone<sup>69</sup>! To ci mądrale z tych ludzi! Nikt nie będzie pilnował Messui, póki sobie nie nabiją uszu Buldeowymi bajędami. A ja... ja staję się tak leniwy jak oni!

Otrząsnął się i wymknął z powrotem do chaty. Właśnie dochodził do okna, gdy poczuł jakieś lepkie dotknięcie w nogę.

— Matko! — odezwał się, bo dobrze mu było znane ciepło języka Wilczycy. — Co ty tu porabiasz?

— Posłyszałam, jak synowie moi śpiewają w lesie, i poszłam w ślad za tym, którego miłuję nad życie. Chciałabym bardzo, Żabusiu, zobaczyć tę kobietę, która karmiła cię mlekiem — mówiła Matka Wilczyca, cała mokra od rosy.

— Ludzie ją związali i chcieli zabić. Przeciąłem jej pęta, a teraz ona ujdzie w dżungłę wraz ze swym mężem.

— Pójdę i ja za nimi. Jestem stara, ale jeszcze nie straciłam zębów.

To rzekłszy, Matka Wilczyca wspięła się w górę i zajrzała przez okno w mrok chałupy. Po chwili zsunęła się cicho na ziemię i rzekła krótko:

— Ja pierwsza karmiłam cię swoim mlekiem, ale prawdę mówi Bagheera, że Człowiek w końcu wraca do ludzi.

— Być może — odparł Mowgli z wyrazem niezadowolenia na twarzy — ale w noc dzisiejszą nie myślę iść tą drogą. Zaczekaj tutaj, ale staraj się, by cię nie dostrzeżono.

— Ty nigdy nie bałeś się mnie, Żabusiu — rzekła Matka Wilczyca, chowając się w wysoką trawę, co czynić umiała wybornie.

— Teraz — powiedział radośnie Mowgli, wślizgując się do chaty — oni obsiedli wokoło Buldea, który im opowiada niestworzone historie. Gdy się skończą te koszalki-opalki, ludzie, jakom słyszał, przyjdą tu z Czerwonym Kwieciem... chciałem powiedzieć z ogniem... i spalą was oboje. A więc...

— Jużem rozmawiała z mym chłopem — rzekła Messua. — Prawdać, że Kanhiwara jest aż o trzydzieści mil stąd, ale w Kanhiwarze znajdziemy Anglików...

— A cóż to za Plemię? — zapytał Mowgli.

— Sama nie wiem. To tacy dziwni biali ludkowie, co podobno rządzą całym krajem i nie pozwalają palić ludzi, a nawet bić ich, gdy nie ma dowodu winy. Jeżeli tam się dostaniemy dziś nocą, to życie nasze uratowane. Jeżeli się nie uda, to trzeba umrzeć.

— A więc ratujcie życie. Dziś nocą nikt nie wyjrzy z chałupy. Ale cóż to on tam wyrabia?

Mąż Messui ukląkł w kącie chałupy i obiema rękami rozgrzebywał ziemię.

— Tam jest trochę pieniędzy — wyjaśniła Messua. — Nic innego nie możemy z sobą zabrać.

— Pieniędzy? — rzekł Mowgli. — Aha! To takie coś, co wędruje z ręki do ręki i nigdy się nie zagrzeje. Czy poza tą wsią ludzie też się tym posługują?

<sup>69</sup>duby smalone — głupstwa, baśnie, niedorzeczności.

Mąż Messui spojrział gniewnie.

— To nie diabeł, ale głupiec! — zamruczał. — Za pieniądze mogę kupić konia! Jesteśmy tak potłuczeni, że trudno nam będzie wlec się przódzej, a za godzinę cała wioska pewno puści się w pogoń za nami.

— Ręczę ci, że nikt was nie będzie ścigał! Już moja w tym głowa! W każdym razie przydałby ci się konik, bo Messua jest zmęczona setnie.

Chłop wstał i zawiązał resztę rupij<sup>70</sup> w połą kaftana. Messua z pomocą Mowgliego przelazła przez okno. Orzeźwił ją chłodny dech nocy, ale dżungla na tle gwiazdzonego nieba wydała się kobiecie nader ciemną i straszną.

— Czy znacie drogę do Kanhiwary? — szepnął Mowgli.

Skinęli głową.

— To dobrze... A teraz pamiętajcie, że nie macie czego się lękać. Nie potrzebujecie też przyspieszać kroku... Tylko... tylko chciałem was uprzedzić, że od czasu do czasu posłyszycie w dżungli za sobą albo przed sobą jakieś niewinne pośpiewywanie.

— Ty myślisz, że odważylibyśmy się spędzić noc w dżungli, gdyby nam nie było straszno umierać w ogniu? Lepiej zginąć od zębisków wilczych niż z rąk ludzi! — zamruczał mąż Messui, ale Messua spojrziała na Mowgliego i uśmiechnęła się.

— Powiadam wam — mówił dalej Mowgli tym tonem, jakim przemawiał Baloo, gdy pakował odwiecznie Prawo Dżungli w głowę jakiegoś roztargnionego wilczęcia — powiadam wam, że ani jeden kiel w całej dżungli nie wyszczerzy się przeciw wam i ani jedna łapa przeciw wam się nie podniesie. Żaden człowiek ani zwierzę nie poważy się stanąć wam na przeszkodzie, póki nie dojdziecie do samej Kanhiwary. Będziecie mieli straż przy sobie.

Tu zwrócił się szybko w stronę Messui i dodał:

— On nie dowierza moim słowom... Ale ty chyba mi ufasz?

— A jakże, syneczku, wierzę ci. Już o to nie stoję, kto będzie szedł z nami: czy człowiek, czy duch, czy wilczyśko.

— On się przestraszy, gdy posłyszysz śpiew mego Plemienia, ale ty będziesz wiedziała, co to się dzieje. No, idźcie już, idźcie, ale powoli, bo nie ma co się śpieszyć. Wrota są pozamykane.

Messua rzuciła się z szlochaniem do stóp Mowgliego. Chłopak drgnął i podniósł ją z ziemi. Wówczas ona zawisła mu na szyi i poczęła obsypywać błogosławieństwami. Natomiast mąż wodził zawistnym wzrokiem po swoich niwach.

— Jeżeli uda się nam dotrzeć do Kanhiwary i uzyskam posłuchanie u Anglików, to wytoczę braminowi, staremu Buldeowi i ich kamratom taki proces, że z całej wsi ledwo szczątki zostaną! Muszą mi oni w dwójnasób zapłacić za moje niezżęte zasiewy i niewypasione bydło. Sprawiedliwość być musi!

Mowgli roześmiał się.

— Nie wiem, co to sprawiedliwość, ale... przyjdźcie tu w najbliższej porze deszczowej, to zobaczycie, co tu się jeszcze ostanie z całej wioski.

Oni ruszyli w stronę dżungli, a Matka Wilczyca wyskoczyła ze swojej kryjówki.

— Idź za nimi, matko, i pilnuj, by cała dżungla wiedziała, że nie wolno krzywdzić tych dwojga. Odzywaj się co czas pewien. Ja tymczasem przywołam Bagheerę.

Przeciagle, ponure wycie zabrzmiało i umilkło. Mowgli spostrzegł, że mąż Messui zawraca z drogi i już namyśla się, czyby nie pobiec z powrotem do chałupy.

— Idźcie bez trwogi! — krzyknął Mowgli głosem zachęcającym. — Wszak mówiłem, że nie obejdzie się bez śpiewu. To wołanie towarzyszyć wam będzie aż do Kanhiwary. Jest to znak, że dżungla darzy was swą życzliwością.

Messua popchnęła męża. Ruszyli naprzód — wraz z Matką Wilczycą, idącą w ślad za nimi. Niebawem wszyscy troje zniknęli za nieprzebitą ścianą ciemności. W tejsze chwili cień jakiś zjawił się u stóp Mowgliego. Była to Bagheera. Drżała na całym ciele upojona czarem nocy, oszalamiającym wszelkie lesne zwierzęta.

— Wstydzę się twoich braci — miauknęła z cicha.

— Czemuż to? Czyż nieładnie przyśpiewywali Buldeowi? — zdziwił się Mowgli.

<sup>70</sup>rupia — moneta w Indiach; dziś D.lm: rupii.

— Aż za pięknie! Za pięknie! Tak mnie oczarowali, że nie bacząc na własną godność (na Wylamaną Kratę, dzięki której odzyskałam wolność), szłam za nimi przez dżunglę, śpiewając, jak gdybym się wybierała na marcowe miaukoty! Słyszałeś nasz śpiew?

— Ja przez ten czas inną tropiłem zwierzynę. Zapytaj Buldea, czy mu się podobały wasze śpiewy. Ale gdzież jest czwórka mych braci? Chcę, by dziś nocą nikt z ludzi nie wychodził poza wrota.

— Po co ci aż czterech do tego? — odburknęła Bagheera, po czym jęła przestępować z nogi na nogę, mruczając głośniejsz niż zazwyczaj i sypiąc skry z oczu. — Ja sama dam sobie radę z ludźmi. Czy już nareszcie rozpoczęły się łowy? Owo śpiewanie oraz widok ludzi wdrapujących się na drzewa obudziły we mnie żyłkę myśliwską. Czemuż to mamy bawić się w takie ceregiele z człowiekiem... tym brunatnym golasem... bezwłosym i bezzębnym oraczem i zjadaczem ziemi? Ściagałam go przez cały dzień... przy blasku słonecznym. Gnałam go, jak wilki ganiają kozła. Ja jestem Bagheera! Bagheera! Bagheera! Jak teraz tańczę z tym oto moim cieniem, tak tańczyłam z ludźmi...

Rzekłszy to, olbrzymia pantera podskoczyła w górę, jak skacze młode kociątko na widok zeszczonego listka, trzęsącego mu się nad głową — jęła bić łapami powietrze, co świszczowało głośno za każdym uderzeniem, i opadła bez szelestu na ziemię. Powtórzyła to wszystko jeszcze raz jeden, drugi, trzeci — wydając przez cały ten czas ni to jęk, ni to głuche warczenie, podobne do świstu pary ulatującej z bulgocącego imbryka.

— Ja jestem Bagheera! Bagheera! Jest noc, a ja jestem w puszczy i siła moja jest we mnie! Któż oprze się memu ciosowi? Ej, Szczenię Ludzkie! Jednym machnięciem łapy mogłabym główkę twą zmiażdżyć jak zdechlą żabę w lecie!

— Spróbuj uderzyć! — zawołał Mowgli, posługując się nie mową dżungli, lecz narzeczem wioski.

Na dźwięk ludzkiego głosu Bagheera cofnęła się nagle, zatrzęsła się, przysiadła na tylnych łapach, a łeb jej znalazł się na jednym poziomie z głową Mowgliego. Chłopak wpatrzył się w nią wzrokiem karcącym, jakim zwykł był nieraz wpatrywać się w ślepie niesfornych wilcząt. Czerwony żar, płonący poza zieloną jak beryl tęczówką źrenic pantery, począł mętnieć i przygasać, niby blask latarni morskiej, oddzielonej od okrętu dwudziestoma milami topieli — niebawem zaś same ślepiea zniżyły się ku ziemi, a wraz z nimi sam potężny łeb zaczął pochylać się coraz niżej i niżej — aż w końcu czerwony płat jęzora otarł się o stopy Mowgliego.

— Siostrze! — wyszeptał chłopiec, głaszcząc olbrzymiego zwierza z lekka, ale nieprzerwanie po szyi i kołyszającym się grzbiecie. — Uspokój się! Uspokój się! To wina nocy, nie twoja!

— Tak, wszystkiemu winne te nocne zapachy — odrzekła Bagheera ze skrucą. — To powietrze tak na mnie podziało... ono wprost jakby krzyczy na mnie! Ale skąd ty wiesz o tym wszystkim?

Powietrze dokoła wsi indyjskiej jest w rzeczy samej przesycone wszelkimi zapachami, a dla stworzeń, które nieomal wszystkie swe spostrzeżenia zawdzięczają powonieniu, zapach bywa czymś tak oszałamiającym jak muzyka lub wyskokowe napoje dla ludzi. Mowgli jeszcze przez chwilę gładził puszystą sierść Bagheery, aż w końcu wielka pantera ułożyła się na ziemi jak kot grzejący się przed kominkiem, przymrużywszy oczy i podkuiliwszy nogi pod siebie.

— Tyś jest z kniei i nie z kniei. Cóż ja znacę przy tobie... ot, zwykła Czarna Pantera! Ale ja ciebie kocham, Braciszku!

— Coś tam oni długo gawędzą pod figowcem — mruknął Mowgli, nie zwracając uwagi na zdanie ostatnie. — Pewno im tam Buldeo napłócił niestworzonych dziwów. Ale wkrótce chyba tu nadciągną, by wywlec z pułapki kobietę i jej męża i wrzucić ich między Czerwone Kwiecie! Ho! Ho! Będą się mieli z pyszna, gdy nie znajdą nic w pułapce!

— O, nie! Posłuchaj — mruknęła Bagheera. — Już krew we mnie ostygła, więc pozwól, że ja tam pójde! Niewielu będzie śmiałków, którzy będą mieli ochotę wydalać się z domów, gdy mnie zobaczą! Toż mi nie pierwszyzna siedzieć w klatce... a nie przypuszczam, by chciano krępować mnie powrozami.

— No, urządz wszystko sprytnie! — roześmiał się Mowgli, bo i jemu przyszła ochota na podobne figle. Tymczasem pantera już wśliznęła się do izby.

— Brr! — rozległo się jej mruczenie. — To miejsce przesiąkło wonią Człowieka, ale barłóg jest taki sam, na jakim wylegiwałam się w królewskim zwierzyńcu udajpurskim. Trzeba się trochę wyciągnąć! — Do uszu Mowgliego doszedł chrzęst sznurów wiszącego łoża, prężących się pod ciężarem cielska pantery. — Na Wylamaną Kratę, dzięki której odzyskałam wolność! Ludzie gotowi pomyśleć, że schwytali zdobycz nie lada! Chodź tu i usiądź przy mnie, Braciszku! Zaśpiewamy im we dwójkę nasze hasło: „Pomyślnych łowów!”

— Nie! Powziąłem zgoła inną myśl. Ludzkie stado nie powinno wiedzieć, że maczam palce w tej całej sprawie. Poluj na własną rękę. Ja nie pragnę ich oglądać!

— Niechże tak będzie — rzekła Bagheera. — Oto oni nadchodzą.

Pogwarka pod drzewem figowym stawała się coraz głośniejsza — już z końca wsi poczęły dobiegać jej urywki. Naraz rozległy się ludzkie — choć raczej nieludzkie — wrzaski oraz tętent kroków gromady. Pod wodzą Strzelca Buldea i bramina ciągnęła tłuszcza mężczyzn i kobiet zbrojnych w pałki, kije bambusowe, sierpy i noże, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Czarownik i czarownica! Zaraz się przekonamy, czy rozpalone żelazo nie zmusi ich do wyznania winy. Spalić im dach nad głową! Niech mają naukę za to, że udzielali schroniska wilkołakowi! Nie! Nie! Nie! Wprzód trzeba ich wygrzmocić kijami! Hej, przynieść żagwi! Więcej żagwi! A huknij no ze swej strzelby na rozgrzewkę!

Wylamanie drzwi okazało się przedsięwzięciem dosyć trudnym, były bowiem mocno zaryglowane. W końcu jednak tłum dał sobie z nimi radę, wrywając je wraz z zawiasami. Światło pochodni wpłynęło jaskrawą smugą w mroczną głąb izby — i oczom napastników przedstawił się widok groźny.

Rozciągnąwszy się całą długością ciała na wieśniaczym łożu, skrzyżowawszy straszliwe łapska ponad jedną z jego krawędzi — czaiła się czarna jak smoła — straszna jak wcielenie diabła — olbrzymia, groźna Bagheera.

Pierwsze szeregi przybyłych jęły cofać się od progu. Nastąpiła chwila rozpaczliwego milczenia. W tęż chwilę Bagheera podniosła w górę drapieżną paszczę i ziewnęła — przeciągle, z namysłem, wyniosłe i okazałe — jak ziewała zawsze, ilekroć zamierzała wydrwić kogoś z równych sobie.

Nastrzępiona wąsami warga górna uniosła się i odgięła wstecz; czerwony jęzor wywinął się w trąbkę, dolna szczeka jęła opadać i opadać coraz niżej, odsłaniając niemal do połowy przepastną czeluść gorejącej gardzieli, a olbrzymie psie zębiska wychylały się z wolna na samą krawędź dziąseł — aż znienacka zwarły się z sobą wśród głośnego łoskotu przypominającego nagle zatrzaśnięcie rygli kasy ogniotrwalej.

W chwilę później ulica była pusta — jakby wymarła. Bagheera jednym susem przesadziła okno i stanęła pobok<sup>71</sup> Mowgliego, wsłuchując się w piekielną wrzawę ludzkiego motłochu, gnającego w trwodze na łeb, na szyję ku zagrodom.

— Teraz już do białego ranka nie ruszą się z domów! — stwierdziła Bagheera spokojnie. — A my czym się zabawimy?

Nad wioską — zdawać by się mogło — zaległa trupia cisza, z jaką równać się może jedynie cisza poobiedniej drzemki. Atoli, wyteżywszy słuch, posłyszalbyś w każdej chacie głuchy łoskot skrzyń ze zbożem, które celem zatarasowania drzwi przesuwano po glinianym klepisku. Słuszność miała Bagheera, mówiąc, że wieśniacy nie opuszczą domów do samego rana.

Mowgli siedział cicho w zamyśleniu, a twarz posepniała mu coraz bardziej.

— No i jakże się spisałam? — zagadnęła go Bagheera, łasząc mu się do kolan.

— Owszem, bardzo pięknie! Pilnuj ich teraz aż do rana, a ja zdrzemnę się trochę.

To rzekłszy, pobiegł w las, legł za skałą i zasnął. Przespał całą dobę i jeszcze jedną nocy na przyczyniek. Gdy się obudził, ujrzał przy sobie Bagheerę — tuż obok zaś, u nog jego, leżał sarniuk upolowany przed chwilą. Chłopak wydobył nóż myśliwski, wypatroszył i odarł ze skóry zwierzynę, najadł się, popił wodą i ułożył się na brzuchu, podpartszy rękami podbródek. Bagheera wpatrywała się weń pytająco, po czym oznajmiła:

— Człowiek i jego żona doszli bez szwanku pod samą Kanhiwarę. Wieść o nich przysłała nam twoja matka za pośrednictwem Chila. Jeszcze przed połową owej nocy,

<sup>71</sup>pobok — dziś: przy boku, obok.



gdysmy ich wyswobodzili, udało się im dostać konia, więc pomknęli szybko. Niezłeśmy się spisali, he?

— Owszem, bardzo pięknie — przyznał Mowgli.

— Ludzka zgraja dopiero dzisiaj w południe odważyła się wyjść ze swych nor wiejskich. Podjedli sobie, a potem co tchu umknęli z powrotem.

— Czy przypadkiem nie spostrzegli ciebie?

— Bardzo możliwe. O świecie tarzałam się w piasku przed bramą, a zdaje mi się, że sobie przy tym coś nuciła pod nosem. A teraz, Braciszku, już nam nic nie pozostało do roboty. Chodź polować ze mną i z niedźwiedziem Baloo. On właśnie odkrył gdzieś jakieś ule i chce ci je pokazać, a my wszyscy bardzo pragniemy bawić się znów z tobą jak za dawnych czasów. Przestań spoglądać tym wzrokiem, który nawet mnie przejmuje trwożą. Twoja kobieta i jej mąż nie będą oddani na pastwę Czerwonego Kwiecia, a w dżungli wszystko układa się jak najlepiej. Może to nieprawda? Zapomnijmy już o ludziach... puśćmy ich w trąbę!

— O, tak! Wkrótce... wkrótce zapomną o nich w puszczy... Tak! Puśćmy ich w trąbę! Czy nie wiesz, gdzie popasa Hathi w noc dzisiejszą?

— To już jego rzecz! Któż może mieć jaką pewność co do Milczącego? Ale na cóż ci Hathi? Czy masz jakiś zamiar, którego nie moglibyśmy spełnić bez jego pomocy?

— Oznajmij jemu i jego trzem synom, że mają przyjść do mnie!

— Ależ, Braciszku!... Wyznam ci szczerze i rzetelnie, iż nie godzi się mówić do Hathi: „przyjdź!” lub „odejdz!”. Pomnij, że on jest Władcą Dżungli i zanim współzycie z ludźmi odmieniło wyraz twej twarzy, on ciebie nauczył pewnego Czarnoksięskiego Zaklęcia.

— Wszystko mi jedno! Teraz ja znam pewne Zaklęcie, któremu on oprzeć się nie zdoła. Przykaż mu, by przyszedł do Mowgliego, który jest Żabą. Jeśli zaś prośby nie posłucha, tedy każ mu przyjść w imię Spustoszonych Pól w Bhurtporze.

— W imię Spustoszonych Pól w Bhurtporze — powtórzyła Bagheera kilkakrotnie, by lepiej zapamiętać. — Pójdź! Hathi pewnie z początku bardzo się rozgniewa, ja zaś chętnie poświęciłabym całomiesięczną zdobycz, byle posłyszeć Czarnoksięskie Zaklęcie, które Milczącego Władcę Dżungli zniewala do posłuszeństwa.

To rzekłszy, oddaliła się. Mowgli, pozostawszy sam, jął dźgać zaciekle nożem w ziemię. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się widzieć krwi ludzkiej; pierwszy raz ujrzał ją — a co ważniejsze, poczuł jej zapach — na więzach, które krępowały kobietę. Messua była dlań zawsze dobra, przeto — o ile u niego można było mówić o uczuciach — darzył ją uczuciem miłości tak gorącej, jak gorąco nienawidził innych ludzi. Jednakowoż choć żywił wstręt i nienawiść do ludzi, do ich języka, okrucieństwa i tchórzostwa, za żadne skarby dżungli nie wymógłby tego na sobie, by targnąć się na życie ludzkie i znów chłonać nozdrzami straszliwy cuch krwi człowieczej. Powziął zamiar prostszy, lecz skuteczniejszy — i uśmiechnął się na wspomnienie, że pomysł tego przedsięwzięcia poddała mu jedna z baśni opowiadanych przez starego Buldea o szarej godzinie pod figowcem.

— Tak! To było istotnie Czarnoksięskie Zaklęcie! — posłyszał w tej chwili szept Bagheery. — Zdybałam ich pasących się nad rzeką. Poszli za mną potulnie jak cielęta. Patrz, już nadchodzą!

Jakoż nadchodził Hathi wraz z trójką swych synów — nie czyniąc, jak zwykle, najmniejszego szmeru swym stąpaniem. Ich podbrzusza i kłęby były utyłane nieobeschłym jeszcze rzeczonym namulem, a Hathi żuł w zamyśleniu zieloną lodygę młodego drzewka pandanowego, które wyszarpnął potężnymi kielcami<sup>72</sup>. Atoli Bagheera, obdarzona wzrokiem bystrym a przenikliwym, zmiarkowała z całej postawy olbrzymia, że nie jest to już Władca Dżungli, przemawiający do Ludzkiego Szczenięcia, lecz lęklive gruboskórne zwierzę, stające przed obliczem istoty nieulekłej. Trzej synale-drażale toczyli się ramię przy ramieniu tuż za swym tatą.

Na rzucone przez Hathięgo pozdrowienie: „Szczęśliwych łowów!” Mowgli ledwie rączył podnieść głowę i nie odpowiedział nic, pozwalając olbrzymowi przez dłuższą chwilę kołysać się nieśmiało i przestępować z nogi na nogę. Kiedy na koniec przemówił, słowa jego zwracały się nie ku słoniom, lecz w stronę Bagheery:

<sup>72</sup>kielc — kiel.

— Opowiem ci historię, jaką słyszałem z ust myśliwca, na którego urządziliście dziś obławę. Mówi ona o pewnym starym i mądrym słoniem, który wpadł w pastkę<sup>73</sup> i natknąwszy się na ukryty w niej ostry kół, rozdarł sobie skórę od kostki w nodze aż niemal po sam obojczyk; śladem tej rany pozostała wielka, biała blizna.

To rzekłszy, Mowgli skinął ręką, a gdy się Hathi odwrócił, na jego szarym boku ukazała się widoczna w księżycowym świetle długa, biała blizna jakoby wypalona rozżarzonym do czerwoności prętem żelaznym.

— Nadeszli ludzie, by wyciągnąć go z pułapki — ciągnął dalej Mowgli — on jednakże zerwał pęta (taki był z niego osilek!) i zaszył się w knieję. Siedział tam, póki nie wylizał się z zadanej mu rany. Wówczas, w noc jedną powrócił z nagłą i z wściekłością wtargnął na pola należące do obławników<sup>74</sup>. A miał z sobą, jak sobie przypominam, trzech synów-olbrzymów. Wszystko to zdarzyło się przed wieloma, wieloma porami deszczowymi... hen daleko stąd... wśród pól Bhurtporu. I jak to było, o Hathi, z tymi polami podczas następných żniw?

— Ja wraz z trójką mych synów zabawiliśmy się w żeńców! — odparł Hathi.

— A jak to było z orką po tych żniwach? — spytał Mowgli.

— Orki już nie było — odpowiedział Hathi.

— A co się stało z ludźmi, którzy się żywili plonem zielonych zbóż? — spytał znów Mowgli.

— Poszli sobie precz.

— A z chatami, w których sypiali?

— Poszarпалиśmy w drobne strzępy ich strzechy, a dżungla porosła wokół i przeżarła ściany ich mieszkań — odpowiedział Hathi.

— I cóż dalej? — dopytywał się Mowgli.

— Dżungla pochłonięła obszar żywej ziemi tak znaczny, iż trzeba by dwóch nocy, bym mógł go przebyć od wschodu na zachód, a trzech nocy, bym mógł przejść z północy na południe. Pięć wsi stało się pastwą dżungli... a w tych wsiach i w przyległych włościach, zarówno na niwach, jak pastwiskach, nie ma dziś ani jednego człowieka, który by z ziemi ciągnął pożywienie. W taki to sposób ja i trzej moi synowie dokonaliśmy Spustoszenia Pól w Bhurtporze. Teraz zaś zapytam ciebie, o Dziecię Człowiecze, jaką drogą dotarła do ciebie wieść o tym?

— Opowiadał mi o tym jeden z ludzi. Teraz widzę, że nawet i Buldeo umie czasem mówić prawdę. Dobrze się spisalesz, Hathi o białym znamieniu, ale tym razem spiszesz się jeszcze lepiej, ponieważ krokami twoimi pokieruje człowiek. Czy znasz wieść, z której mnie wygnano? Jej mieszkańcy są niedołęzni, bezmyślni i okrutni; zabawiają się puszczaniem pary z ust, a polują nie z potrzeby, lecz dla rozrywki. Najadłszy się do sytości, rzucają własne potomstwo do Czerwonego Kwiecia. Widziałem to na własne oczy. Oni nie powinni tu już żyć dłużej. Ja ich nienawidzę!

— A więc urządz łowy! — odezwał się najmłodszy z trzech synów Hathiego, po czym wyrwał z ziemi pęk trawy, otrząsnął go z kurzu uderzeniem o łapy przednie i odrzucił precz, a małe czerwone ślepki spoglądały ukradkiem to w jedną, to w drugą stronę.

— I cóż mi przyjdzie z białych kości? — odburknął gniewnie Mowgli. — Czy jestem wilczęciem, bym bawił się w słońcu gołą czaszką? Jam zabił Shere Khana, a jego skóra butwieje na Skale Narady... ale to jest jeszcze nic, a mój żołądek jest wciąż pusty. Teraz zabiorę coś takiego, co mogę dostrzec, czego mógłbym dotknąć. Hathi, porusz dżungłę przeciw tej wiosce!

Bagheera drgnęła i przypadła do ziemi. W razie gdyby doszło do ostateczności, umiałaby wpadać szybko w ulice wioski, wymierzać na prawo i lewo ciosy w tłuszczę lub podstępnie zabijać orzących o świcie, ale ten zamiar obmyślonego z góry, doszczętnego starcia wioski sprzed oczu ludzkich i zwierzęcych przeraził nawet panterę. Teraz już pojęła, czemu Mowgli przywołał Hathiego. Nikt, oprócz długowiecznego słonia, nie porwałby się na rozpoczęcie i stoczenie tak straszliwej wojny.

— Spraw, niechaj uciekną, jak uciekali wieśniacy z pól w Bhurtporze... A odtąd niech deszcz będzie jedynym pługiem tych rozlogów, a szmer deszczu siekącego gęstwę liści

<sup>73</sup>pastka — zdrobn. od: paść: dół zamaskowany i służący jako pułapka przy polowaniu na zwierzęta.

<sup>74</sup>obławnik — uczestnik obławy na zwierzę podczas polowania.

niech rozbrzmiewa zamiast warczenia kołowrotka... Wówczas ja z Bagheerą obiorę sobie siedlisko w domu bramina, a jelenie pić będą z cysterny za świątynią. Porusz dżunglę, o Hathi.

— Ależ ja... ależ my nie mamy z nimi żadnych zatargów... a jednak potrzeba niemałego bólu, niezmiernej wprost wściekłości, byśmy wyruszyli pustoszyć ludzkie siedziby — odrzekł Hathi, kołysząc się na znak wahania.

— Czy jesteście jedynymi roślinożercami w puszczy? Przygnajcie wszystkich swych pobratymców. Niech się tym zajmą jelenie, dziki i *nilghai*! Wy nie potrzebujecie nadstawić skóry, póki pola nie będą do cna ogołoczone. Porusz dżunglę, o Hathi!

— Czy nie będzie rozlewu krwi? Przy Spustoszeniu Pól w Bhurtporze okrwawiły się kły moje. Nie chciałbym wznawiać wspomnienia onego zapachu.

— Ja też. Nie chcę, by nawet ich kości spoczywały na naszej nieskalanej ziemi. Niech sobie ludzie poszukają nowych legowisk. Tu już nie wolno im pozostawać! Widziałem i czułem w nozdrzach krew kobiety — tej kobiety, która mnie karmiła — kobiety, którą oni by zabili, gdybym nie przyszedł jej z pomocą. Woń ta piecze me usta! Zagłuszyć ją zdoła jedynie zapach świeżej trawy wyrosłej na progach ich domów. Porusz dżunglę, o Hathi!

— Rozumiem cię! — odrzekł Hathi. — Tak piekła mnie rana zadana drągiem... i zaklepiła się dopiero wtedy, gdy ujrzałem, że ich wioski zamierają pod narostem wiosennej zieleni. Tak jest! Widzę to, że twoja sprawa jest i naszą sprawą. A zatem dżungla wystąpi do boju!

Mowgliemu czasu nie stało<sup>75</sup>, by nabrać tchu; trząsnął się cały od gniewu i nienawiści. Słonie oddaliły się cichcem — i na placu została tylko Bagheera, spoglądająca nań w niemym przerażeniu.

— Na Wyłamaną Kratę, dzięki której odzyskałam wolność! — wykrztusiła z siebie na koniec Czarna Pantera. — Czy to ty jesteś owym naguskim, za którym w latach młodszych ujęłam się wobec wilczego stada? Gdy utracę siły, o Władco Dżungli, ujmij się za mną... ujmij się za nami wszystkimi! Wobec ciebie jesteśmy szczeniakami... nikłymi gałązkami pod twoją stopą... jelonkami, które utraciły matkę!

Na samą myśl o tym, iż Bagheera miałaby być zbłąkanym w puszczy jelonkiem, Mowgli rozchmurzył się zupełnie i zaczął śmiać się do rozpuku. Śmiał się i śmiał — i dopiero wtedy ochłonął, gdy dał nurka w jakąś pobliską kałużę. Pływał w niej przez dłuższy czas w kółko, raz po raz wymijając nurkiem szranki miesięcznego blasku, niby żaba, od której wziął przezwisko.

Tymczasem Hathi i jego trzej synowie rozeszli się w cztery strony świata i w milczeniu kroczyli przez wądoły roztaczające się o milę od wioski. Całe dwa dni szli przez puszcę — inaczej mówiąc, zrobili bite sześćdziesiąt mil drogi. Każdy ich krok, każde poruszenie trąbą były przedmiotem uwagi, spostrzeżeń i plotek ze strony nietoperza Manga, ścierwnika<sup>76</sup> Chila, Plemienia Małpiego i rzeszy ptasiej. Po dwóch dniach słonie stanęły i zaczęły się pożywiać. Pasły się tak może przez tydzień — może i dłużej. Hathi i jego synowie w tym są podobni do skalnego węża Kaa, iż nigdy nie śpieszą się bez powodu.

Pod koniec tego czasu rozeszła się po dżungli nie wiedzieć przez kogo puszczone pogłoska, że w takiej a takiej dolinie można znaleźć lepsze jadło i wodę. Dziki — które ma się rozumieć, poszłyby na sam koniec świata, byle zdobyć obfite jadło — pierwsze ruszyły tłumnie, tarmosząc się wzajem po skałach; za nimi poszły jelenie wraz z małymi dzikimi liskami, które żywią się padliną i mięsem zdychających zwierząt; boczną drogą posuwały się szerokobarczyste *nilghai*, a za nimi dzikie bawoły z trzęsawisk. Lada drobnostka zdolna była zawrócić z drogi te rozsypane, rozhasane stada, które popasły się w jednym miejscu, wlokły się bezładną kupą naprzód, piły wodę i znów się pasły; ilekroć jednak wszczął się popłoch, zawsze w porę pojawiał się ktoś taki, kto zdołał go uśmierzyć. Czasem był to jeżozwierz Ikki, który przynosił nowiny o wybornej paszy w pobliżu; innym razem nadlatywał Mang, pokrzykując radośnie i zapadając w jakąś polanę leśną, na dowód, że stamtąd nie grozi żadne niebezpieczeństwo; to znowu Baloo z gębą nabitą korzonkami leśnymi tarabanił się niezdarnie przed płochliwą rzeszą uciekinierów i bądź groźbą, bądź

<sup>75</sup>czasu nie stało (daw.) — zabrakło czasu.

<sup>76</sup>ścierwnik — rodzaj ptaka padlinożernego zamieszkującego Azję i Afrykę; w innym tłumaczeniu: sęp.

zarterm zmuszał ją do podążenia we właściwym kierunku. Wiele zwierząt zawróciło z drogi, uciekło lub straciło ochotę do dalszego pochodu, ale wiele innych posuwało się wciąż jeszcze naprzód. I oto po upływie co najwyżej dziewięciu dni sytuacja przedstawiała się następująco:

Jelenie, dziki, *nilghai* szły wielkim, zgiełkliwym kręgiem, podobnym do olbrzymiego koła młyńskiego o promieniu ośmiu czy dziesięciu mil. Na obwodzie tego koła harcowały zwierzęta drapieżne; jego zaś środek stanowiła wioska uwieńczona łańcami dojrzewających zbóż. Wśród tych łańców znajdowały się tak zwane maczany, czyli niewielkie, do gołębników podobne budki z drewnianych drążków, wsparte na czterech słupach. W wieżyczkach tych siedzieli strażnicy, mający ploszyć ptactwo i inne szkodniki.

Odtąd już nie bawiono się w ceregiele z jeleniami. Mięsożercy następowali im na pięty, zmuszając nieboraków do coraz dalszego posuwania się ku środkowi koła.

Ciemna noc panowała wszędzie, gdy Hathi i trzech jego synowie wychynęli cichcem z kniei, podkradli się niepostrzeżenie pod maczany i wyrwali trąbami wszystkie słupy. Upadły — jak upadają podcięte lodygi kwitnącego szaleju, a ludzie, którzy stoczyli się z nich na ziemię, posłyszeli nad sobą bełkotliwe chrapanie słoni. Wówczas strażę przednie ogłupiałych hord jelenich porwały się z miejsca i popłynęły ławą na pastwiska wiejskie i uprawne pola; za nimi poszły ostrokopytne, ryjaste dziki, rozgrzebując i ryjąc wszystko, co ocalało po najściu jeleni. Od czasu do czasu rozlegała się wilcza pobudka, a dreszczem przejęte stada biegały z rozpaczą na wszystkie strony, tratując młody jęczmień i zdeptując brzegi kanałów nawadniających. Nim nastał świt, pierścień zwierząt drapieżnych, naciskających od zewnątrz, już tylko w jednym miejscu nie był zamknięty; przez tę furtkę, otwartą od południowej strony, jęły wymykać się jedne po drugich gromady jeleni. Inne, bardziej odważne, pokładły się w zaroślach, by w noc następną dokończyć ucztę.

Ale dzieło było w rzeczy samej już dokonane. Gdy rankiem wieśniacy wyjrzeni ze swych chat, obaczyli, że plony przepadły ze szczętem. Groziło im to śmiercią, o ile by nie przenieśli się na inne miejsce, bo i tak już od lat całych byli równie bliscy głodu jak dżungli. Gdy wyprawiono bawoły na paszę, zgłodniałe zwierzęta przekonały się niebawem, iż jelenie już do cna ogołociły wszystkie pastwiska. Nie pozostało im przeto nic innego, jak powędrować w dżunglę i pokumać się z dzikimi współplemieńcami. Z zapadnięciem zmierzchu cztery kucyki należące do gminy padły z roztrzaskanymi łbami w swych stajniach. Jedynie Bagheera umiała zadawać takie ciosy i tylko Bagheera mogła sobie pozwolić na taką bezczelność, by powyciągać wszystkie trupy na ulicę.

W ową noc wieśniacy nie odważyli się rozpalać ognisk na polach, przeto Hathi wraz z trzema synami poszedł zbierać pokłosie po wczorajszym żniwie; gdzie zaś Hathi urządzi poźniwne, tam już nikt nie znajdzie ni źdźbła na polu. Ludzie postanowili żywić się zapasami siewnego zboża, póki nie spadną deszcze, a potem najmować się gdzieś do służby, póki nie odrobiją straty całorocznego plonu. Ale gdy handlarz zboża rozmyślał o swych kosztach napełnionych po brzegi ziarnem i o cenach, jakie uzyska przy sprzedaży, ostre kły Hathiego już naderwały węgiel jego lepianki, wyrzucając w górę i rozbijając w kawałki wielką, gnojem bydlęcym obłożoną kobiałkę, w której spoczywał drogocenny towar.

Gdy dowiedziano się o tej klęsce, zabrał głos bramin. Ponieważ modły, zanoszone przezeń do własnych jego bogów, nie odniosły skutku, więc zawyrokował, że mieszkańcy wioski widocznie obrazili któregoś z bogów dżungli; nie ulega bowiem wątpliwości, że bóstwa dżungli są im przeciwne.

Wezwano przeto naczelnika sąsiedniego plemienia Gondów — małych, mądrych, a wielce czarnych łowców-koczowników, żyjących w głębi puszczy, którzy są potomkami najdawniejszej ludności Indii i od prawieków mieszkają w tym kraju. Ugoszczono Gonda wszystkim, czym chata bogata, on zaś stanął na jednej nodze, dzierżąc w ręce łuk, a we włosach kilka strzał zatrutych, i spoglądał pół z trwogą, pół ze wzdrganiem na zalękłych wieśniaków oraz ich spustoszone łąny. Oni zaczęli się pytać, czy to jego bóstwa — najstarsze bogi w Indiach — gniewają się na nich i jakimi ofiarami można by je przebłagać. Gond nic nie odpowiedział, tylko podniósł z ziemi długą lodygę kareli — pnącej rośliny, rodzącej dzikie dynie — i oplótł nią w różne esy-floresy drzwi świątyni na wprost wybaluszonej, czerwonej gęby hinduskiego bożyszczka. Następnie machnął w powietrzu ręką w kierunku drogi wiodącej do Kanhiwary i poszedł z powrotem w dżunglę, przygląda-

jąc się fali plemion puszczańskich, ciągnącej do głębi ostępów. Wiedział, że jedynie biali ludzie byliby zdolni powstrzymać tę nawałę.

Zbyteczne byłoby pytać, jaką wróżbę niosły ukazane przezeń znaki. Oto dzika dynia miała rozplenić się tam, gdzie dotąd oddawano cześć ich bóstwu, przeto im wcześniej wieśniacy wezmą nogi za pas, tym lepiej dla nich.

Ale nie tak to łatwo oderwać całą wioskę od miejsca, w którym zapuściła korzenie. Chłopi mitrężyli czas i ociągali się, póki im jeszcze została reszta łośskich<sup>77</sup> zapasów; wyprawiali się też do boru na orzechy, ale tu raz po raz ukazywały się jakoweś cienie, które bądź wpatrywały się w nich skrzącymi ślepiami, bądź przemykały się w biały dzień tuż przed nimi; gdy zasię w przerażeniu uciekali ku murom wioski, widzieli, że kora drzew, koło których przechodzili przed chwilą, była już zdrapana i porysowana ostrzem jakichś potężnych, dłutkowatych pazurów. Z im większym uporem trzymali się swego osiedla, tym zuchwalsze stawały się dzikie zwierzęta, które teraz już zaczęły w najlepsze hasać i porykiwać na pastwiskach koło Wajngangi.

Wieśniacy nie mieli nawet tyle odwagi, by umacniać i zalepiać tylne ściany pustych obórek, zwrócone w stronę puszczy; przeto najpierw dziki zryły je doszczętnie; po nich wtargnęły tu łykowate i kłęczaste powojniki i rozparły się niejako łokciami po świeżo zdobytym obszarze; w ślad za nimi zasię zjeżyły się badyle ostrej trawy. Wieś zaczęła pustoszeć. Uciekli z niej zrazu tylko mężczyźni nieżonaci, roznosząc szeroko wieść, iż wioska jest już skazana na niechybną zagładę.

— Któż wydola — mówili — oprzeć się puszczy i bogom puszczańskim, skoro nawet miejscowy wąż-kobra wyniósł się ze swej nory pod figowcem?

W ten sposób zerwały się ich stosunki z zewnętrznym światem, a udeptane ścieżki w leśnych przesieczach<sup>78</sup> stawały się coraz węższe i mniej widoczne. Trąbienie Hathiego i jego trzech synów przestało już niepokoić ludzi; nie mieli też po co wydalać się z domów. Zarówno młoda ruń, jak i dostale<sup>79</sup> plony uległy doszczętnemu zniszczeniu, a dalej położone pola zgoła już nie miały wyglądu ziemi uprawnej. Nie pozostało nic innego, jak zakolać o pomoc do Anglików w Kanhiwarze.

Atoli wieśniacy — obyczajem krajowców — zwlekali dzień po dniu, ociągając się z wyjazdem, póki nie przyłapały ich pierwsze deszcze. Dopiero wówczas, gdy nieposzyte strzechy zaczęły przeciekać, gdy na pastwisku woda sięgała do kostek i gdy po przejściu letniego skwaru bujnie zachwąpiła się zieloność, wówczas dopiero gromady mężczyzn, kobiet i dzieci zaczęły opuszczać wieś i ruszyły w świat, brnąc przez ćmiącą i parną słotę, wśród mgły i rozkiszłej trzęsawicy; zwracały jednakże od czasu do czasu, by po raz ostatni rzucić okiem na ojczyste zagrody — pożegnać je na zawsze.

Gdy ostatnia już rodzina, obarczona mnóstwem tobołków, jęła długim szeregiem przesuwać się przez bramę, posłyszano za murami trzask walących się belek i krokwi, po czym ujrzano wzniesioną wzwyż, błyszczącą, giętką jak wąż trąbę sloniową, rozrywającą przegniłe strzechy. Trąba zniżyła się, znikła i znów rozległ się huk, a w ślad za nim jęk jakiś. To Hathi, zrywając dachy domów z taką łatwością, z jaką dziecko zrywa lilie wodne, zadrasnął się jedną ze spadających belek. Tego tylko było potrzeba do rozpętania całej mocy i wściekłości, bo ze wszystkich istot, jakie żyją w puszczy, najstraszliwszym, najbardziej wyuzdanym i w pomysłach swoich niewyczerpanym niszczycielem bywa słoń pobudzony do gniewu. Grzmocił twardymi stopami w gliniany nasyp, który kruszył się za każdym uderzeniem i obsypując się kawałkami, zmieniał się pod wpływem ulewy w żółtą, grząską papkę. Rozwaliwszy ogrodzenie, olbrzym jął wśród przeraźliwego pisku uganiać się na wszystkie strony po wąskich uliczkach, rozpierając się na prawo i lewo pomiędzy ścianami chałup, wysadzając nadwątłe dźwierza<sup>80</sup> i druzgocąc okapy domów. Trzej synowie szli za nim, siejąc spustoszenie, jak to czynili ongi na polach Bhurtporu.

— Dżungla strawi te wszystkie łupinki — odezwał się jakiś spokojny głos pośród gruzów. — Runąć przede wszystkim powinny ściany zewnętrzne!

I spoza ściany, która ciężko, niby znużony bawół, kładła się na ziemi, wyskoczył Mowgli, spluskany deszczem sączącym się strugami z jego nagich ramion i pleców.

<sup>77</sup>łośki — zeszloroczny.

<sup>78</sup>przesiecz — przejście wycięte wśród zarośli.

<sup>79</sup>dostale — dojrzały (o owocach, zbożach itp.).

<sup>80</sup>dźwierza — drzwi.

— Na wszystko przyjdzie czas! — odsapnął Hathi — Tak... tak... ale w Bhurtporze kły moje broczyły krwią!... Pod ścianę, dzieci! Przebijemy mur głową! Walić razem! Heej! Bęc!

Tryknęli łbami w ścianę — razem — jak jeden słoń. Zewnętrzna ściana domu wybuliła się, pękła wpół i runęła w gruzy — a w zębatym wyłomie obaczyli ogłuszeni i oniemiałi z trwogi wieśniacy potworne, gliną opačkane łby napastników.

Wówczas, rzuciwszy i siedliska swoje, i przygotowane na drogę zapasy, pierzchli co tchu w dolinę, dążąc na tułaczkę i nędzę. A tymczasem wioska niszczona, rozszarpywana i tratowana na miazgę ginęła z oczu coraz bardziej.

W miesiąc później widniał w tym miejscu jeno niewysoki, pokarbowany bruzdami wzgórek, okryty miękką młodzizną zielonej trawy. Zasię pod koniec pory deszczowej leżące odłogiem pola już od sześciu miesięcy zarastała szumiąca, bujna dżungla...

#### PIEŚŃ MOWGLIEGO ZŁORZECZĄCA LUDZIOM

Rozpętał bujne pnącze — i przeciw wam poduszczył!  
By starła wasze sadyby, zawezwę całą puszczył!

A przedtem dachy wasze pogniją!  
I runą domów belki —  
a kwiaty gorzkiej kareli  
zakryją ślad wasz wszelki!

W bramach, gdzie mieliście wiece, zawyje moje plemię!  
Na stropach waszych spichrzy nietoperz Mang zadrzemie!

Wąż będzie stróżem waszych palenisk,  
ognia tu nikt nie rozpali —  
a owoc gorzkiej kareli  
dojrzeje tam — gdzieście spali!

Sług moich nie ujrzycie — słuchem zgadniecie nieściśle...  
Nocą, nim wzejdzie księżyc, po haracz ich tu przyślę!

A wilk pasterzem trzód waszych będzie...  
Zrówna się kopców pochyłość...  
Wzrośnie krzew gorzkiej kareli  
tam, gdzie krzewiła się miłość!

Wyślę zawczasu tłum żeńców — i plony wasze zgarnę!  
Wam po nich ledwie zostanie pokłosie nędzne i marne!

A zamiast wołów, sambhur i jeleni  
powłoką się po ugorze,  
bo gorzkiej kareli zieleni  
wzejdzie — gdzie sialiście zboże!

Jam przeciw wam rozpętał sękaty, bujny kuszczel!  
By starła wasze ślady, wezwałem całą puszczył!

Drzewa — drzewa przeciw wam idą!  
Zawała się domów belki,  
a kwiaty gorzkiej kareli  
zakryją ślad wasz wszelki!

#### GRABARZE

Kto Tabaquiego nazywa swym bratem,

kto hienę do uczy zaprasza,  
niechaj z pełznącym Kaldunem Jacalą  
wieczysty sojusz ogłasza!

„Prawo Dżungli”

— Szanujcie wiek podeszły! — Krzyk ten posepny, chrapliwy, zdławiony mógł snadnie<sup>81</sup> słuchacza przyprawić o dreszcze. Skwierczał jakoś złowrogo, drgał dziwnym, niepojętym skowytym, a zamykał się jękiem przeciągłym. Rzekłbyś, że słyszysz rozdzierające się płótno.

— Szanujcie wiek podeszły! O sąsiedzi znad rzeki: szanujcie wiek podeszły!

Jak okiem sięgnąć, na wielkim obszarze rzeki nie było widać niczego, prócz flotyli drewnianych łańskimi żaglami opatrzonych berlinek, które — obładowane stertami wielkich ciosanych kamieni — płynęły z prądem, przewijając się właśnie pod arkadami kolejowego mostu. Flisacy przekręcali ciężkie rudła sterów, by wyminąć mieliznę utworzoną na zaporach filarów mostowych, a gdy ją mijali, jadąc po trzy statki w rząd, nagle ów okropny głos rozbrzmiał na nowo:

— Bramini znad rzeki, szanujcie zgrzybiałość i wiek sędziwy!

Jeden z flisaków, siedzący na burtnicy, odwrócił się, podniósł rękę i mruknął jakieś słowo niebędące chyba błogosławieństwem. Zaskrzypiały rudła i łodzie pomknęły przed siebie w gęstwą zmierzchu. Szeroka rzeka — typowo indyjska, podobna raczej do łańcucha jeziorzek niż do nurtu płynącej wody była gładka jak zwierciadło i jak zwierciadło odbijała środkiem swej toni płomienną pożogę<sup>82</sup> niebios, natomiast bliżej brzegów i tuż pod nimi bryzgała mialkimi okruciami złota i szkarłatu. W porze słotnej zasilala się zdrojami małych poników<sup>83</sup>, teraz jednak jedyną po nich pamiątką były suche jary, szczerzące się wysoko ponad poziomem wody. Na lewym brzegu, niemal tuż pod mostem kolejowym, rozłożyła się gromadka lepianek i szałasów o dachach słomianych; główna ulica tej wioski, rojąca się od bydła wracającego do zagród, zbiegała prosto ku rzece, a kończyła się wioskowym *ghaut* — czyli czymś w rodzaju niezdarnie murowanej grobli, pod której osłoną mogli w wodzie brodzić ludzie pragnący splukać z siebie brud całodziennej pracy. Wioska nosiła nazwę Mugger Ghaut.

Mrok szybko ogarniał pola ryżu, soczewicy i bawełny, leżące na obszarze niziny nawadnianej corocznie wylewami rzeki; mgłą zasnuwały się ciche kępy rokitnicy wieńczące zakręt rzeki oraz widniejące poza nimi bujne ostępy pastwisk. Papugi i wrony, które dotąd gwarzyły i swarzyły się przy wieczornym wodopoju, jęły odlatywać do gniazd swych w głębi łądu, mijając się z hordami „latających lisów<sup>84</sup>” wyruszających na żerowisko. Chmary ptactwa wodnego ciągnęły na spoczynek w gęszcz oczeretów<sup>85</sup>, gęgając i pogwizdując. Były tam gęsi o okrągłych głowach i czarnych grzbietach, kurki wodne, cyranki, krzyżówki, słonki i kuliki, a niekiedy nawet błysnęły pomiędzy nimi różowe lotki flaminga.

W straży tylnej — daleko poza nimi — ciągnął wielki marabut, zwany Adiutantem. Leciał tak ociężale i marudnie, jak gdyby każde machnięcie jego skrzydeł miało być dlań kresem żywota.

— Szanujcie wiek sędziwy! Bramini nadrzeczni, szanujcie wiek sędziwy!

Adiutant odwrócił do połowy głowę, zerknął nieznacznie w stronę, skąd dochodziło wołanie, i drętwym ruchem osiadł na piaskowej ławicy obok mostu. Wtedy dopiero można było przyjrzeć mu się w całej okazałości — obaczyć wszystkie jego dziwactwa i śmieszności. Z tyłu wyglądał — owszem — nad wyraz dostojnie i czcigodnie; mierzył bowiem bez mała<sup>86</sup> sześć stóp<sup>87</sup> wysokości, a olbrzymia łysina przypominała jakby tonsurę zażywnego wiejskiego plebana. Z przodu natomiast przedstawiał się zgoła inaczej. Jego głowa i wspólny z nią spadek mająca szyja były zgoła nieopierzone, a na podgardlu zwiślał potworny worek skórzany — taki ogólny schowek, mieszczący w sobie wszystko,

<sup>81</sup> *snadnie* — łatwo.

<sup>82</sup> *pożoga* — wielki ogień, pożar; tu: przen. o upale.

<sup>83</sup> *ponik* — strumyk.

<sup>84</sup> *latający lis* — gatunek nietoperza o częściowo rudym futrze na grzbiecie.

<sup>85</sup> *oczeret* — kłączowe rośliny przybrzeżne, tworzące rodzaj szuwaru.

<sup>86</sup> *bez mała* — prawie.

<sup>87</sup> *stopa* — ang. miara długości wynosząca ok. 30,5 cm; sześć stóp to ok. 180.

cokolwiek ptak potrafił zwędzić swym kiloflastym dziobem. Nożyska miał Adiutant długie, chude i łykowate, ale poruszał nimi z pewną gracją i przyglądał się im nie bez dumy przez czas dłuższy. Musnął dziobem popielate pióra w ogonie, rzucił okiem na gładzinę swego grzbietu — w końcu znieruchomiał w postawie: Bacność!

Mały, parszywy szakal stał właśnie na niskim wiszarze nadbrzeżnym i poszczekiwał z głodu. Ujrawszy Adiutanta, zadarł ogon, nastawił uszy i pomknął ku niemu w bród przez wodę.

Był to osobnik nędzny i nikczemny, prawdziwa zakąła swej kasty. Wprawdzie i najłepsze z szakali niewiele są warte, ten wszakże, o którym mowa, zasługiwał chyba na miano arcy-nędznika. Był to w połowie żebrak, w połowie szubrawiec, wyjadacz i czyszciciel wiejskich śmietników, w jednej osobie tchórz nad tchórze i wściekły ryzykant, wiecznie głodny i wiecznie nadziany fortelami — choć te fortele bodaj nigdy nie wychodziły mu na dobre.

— Brrr! — warknął z obrzydzeniem, otrząsając zmoczoną skórę. — Bodajby marnie poginęły plugawe kundły wiejskie! Na każdą z pcheł moich przypadły po trzy psie ukąszenia... i to tylko dlatego, że spojrział (spojrział, nic więcej) na jakiś dziurawy but leżący w oborze. Cóż sobie te psy myślą? Czyż ja się żywię błotem?

To rzekłszy, poskrobał się poniżej lewego ucha.

— Słyszałem — odrzekł Adiutant głosem zgrzytliwym, przypominającym chrobot tępej piły różnej grubą deskę — słyszałem, że w tym bucie znajdowało się nowo narodzone szczeniátko.

— Insza to rzecz słyszeć, a insza wiedzieć na pewno! — mruknął szakal, który znał spory zapas przysłów, podsłuchany u ludzi podczas ich wieczornych gawęd przy ogniskach.

— Święta prawda. Przeto, by się upewnić, zaopiekowałem się tym szczeniátkiem, gdy psy miały inne jakieś zajęcie...

— Tak, psy były bardzo zajęte — potwierdził szakal. — Niestety nie mogę teraz udać się do wioski, gdzie rad bym sobie upolował parę ochłapów. Ale... czy w tym bucie było naprawdę ślepe szczeniátko?

— Było... ale teraz jest tutaj — odparł Adiutant, wskazując dziobem na pełne wole pod gardzielą. Kęs to wprawdzie niewielki, ale trzeba się i nim zadowolić, gdy litość stała się rzeczą rzadką na tym świecie.

— Ha-aj! Świat ma dziś serce z żelaza! — płaczkliwie zawył szakal, ale wnet głos zmienił, dostrzegłszy na powierzchni wody jakąś drobną, ledwie że uchwytną fałę. — Życie nam wszystkim dziś stało się ciężkie! Nie wątpię, że nawet nasz dostojny władca, chluba *ghaut* i przedmiot zazdrości całej rzeki...

— Kłamca, pochlebca i szakal z jednego wykluli się jaja! — zauważył Adiutant, nie zwracając się zresztą do nikogo bezpośrednio, gdyż podobno w razie potrzeby sam umiał łgać jak najęty.

— Tak! Przedmiot zazdrości całej rzeki! — powtórzył szakal głosem donośniejszym. — Nawet on, jak mniemam, jest tego zdania, że od czasu zbudowania mostu coraz trudniej o dobrą strawę. Z drugiej strony przyznać muszę (choć nie zamierzam bynajmniej powiedzieć mu tego w oczy), że zacny nasz pan jest tak mądry i tyloma obdarzony zaletaniami, iż ja (niestety) nawet równać się z nim nie mogę...

— Jakież czarny musi być szakal, który o sobie mówi, że jest szary! — burknął Adiutant, nie mogąc odgadnąć, do czego to wszystko zmierza.

— Jemu nigdy nie zabranie żywności, wobec czego...

W tejże chwili rozległ się cichy chrzęst, jak gdyby łódź jakaś otarła się o mieliznę. Szakal wykonał zwawo w tył zwrot i stanął frontem (jako w pozycji najbezpieczniejszej) do istoty, o której mówił przed chwilą.

Tuż obok ukazał się olbrzymi, na dwadzieścia stóp długi krokodyl, okryty pancerzem przypominającym blachę kotła parowego, potrójne żłobkowaną i nitowaną, nabitą suto ćwiekami. Groźnie ponad wodą błysnęły żółte ostrza jego górnych zębów, zwisające ponad pięknie kanelowaną szczęką dolną. Był to nie kto inny, lecz sam płaskonosy Muggler z Muggler Ghaut, starszy od najstarszych mieszkańców wioski dawca jej starodawnego imienia — zły duch mielizny i od wielu lat (znacznie przed pobudowaniem mostu ko-



lejowego) postrach całej okolicy — mężobójca, ludożerca i fetysz miejscowy w jednej osobie. Ułożył się na powierzchni wody, wcisnąwszy pysk w mieliznę, i utrzymywał się w równowadze za pomocą nieznaczących, ledwie dostrzegalnych ruchów ogona. Szakal wiedział wybornie, że jedno silniejsze machnięcie tym ogonem zdołałoby, niczym tłok maszyny parowej, wyrzucić Muggera błyskawicznie na mieliznę.

— Ach! Jakież to dla mnie szczęście, że cię oglądam, Obrońco Nędzarzy! — jął przy-  
pochlebiać się, cofając się jednakże za każdym słowem. — Posłyszeliśmy wdzięczny twój  
głos i pośpieszyliśmy tutaj, wiedzeni nadzieją lubej pogawędki. Przyznam się, że moja  
bezwstydną zarozumiałość przywiodła mnie do tego, że oczekując twego przybycia po-  
ważyłem się mówić o tobie... mam jednak nadzieję, że nie dosłyszales słów moich...

Rzecz naprawdę miała się nieco inaczej. Szakal, wygłaszając swą poprzednią przemowę,  
właśnie tego pragnął, by ją posłyszano; wiedział bowiem, że *pochlebstwo* było najlepszym  
sposobem zdobywania sobie *chleba*. Mugger wiedział, że szakal przemawia w tym właśnie  
celu; szakal wiedział, że Mugger wiedział o tym, a Mugger wiedział, że szakal wiedział, iż  
on o tym wiedział. Nic więc dziwnego, że byli z siebie wzajemnie nader zadowoleni.

Stary potwór jął gramolić się na mieliznę, sapiąc, wzdychając i mamląc: „Szanujcie  
zgrzybiałość i wiek sędziwy!”

Rozpuchłe, beczułkowate cielsko Muggera toczyło się z wolna na koślawych, pałą-  
kowatych nogach, a spod ciężkich, zrogowaciałych powiek na wierzchu trójkątnej głowy  
jarzyły się niby węgle dwa małe ślepia. Zatrzymał się w końcu i legł w bezruchu, a szakal,  
choć od dawna obeznany z jego obyczajami, zdumiał się mimochcąc<sup>88</sup> może po raz setny  
w swym życiu, gdy obaczył, jak ludząco Mugger umie być podobny do kłody drzew-  
nej, przypławionej falą na mieliznę. Stare krokodylisko zadało sobie nawet ten trud, by  
ułożyć się dokładnie pod tym kątem, jaki by z kierunkiem rzecznoego prądu utworzyła kłoda  
przyholowana tu drogą naturalną — oczywiście, z uwzględnieniem warunków czasu  
i miejsca. Wszystko to czynił tym razem ot, z nawyku, boć wylądował jedynie z chęci  
zażycia miłego wywczasu; z drugiej jednak strony należy mieć na uwadze, że krokodyl  
nigdy nie bywa syty, więc gdyby szakal dał się zwieść pozorom, na pewno zabrakłoby mu  
czasu do filozoficznych roztrząsań na ten temat.

— Nie słyszałem nic, moje dziecię! — odezwał się Mugger, przymykając jedno ślepie.  
— Miałem wodę w uszach, a dotkliwy głód pozbawił mnie przytomności. Od czasu gdy  
wybudowano most kolejowy, moi wieśniacy ostygli w miłości ku mnie... aż mi się serce  
kraje z żalu.

— Kraje się z żalu... to wielkie, to szlachetne serce! — zajęczał szakal. — Ach, jakiej  
dożyliśmy hańby! Ale wydaje mi się, że wszyscy ludzie są jednacy!...

— Bynajmniej! — odparł Mugger głosem łagodnym. — Są zaiste pomiędzy nimi  
znaczące różnice. Niektórzy są chudzi jak szczapy, inni zaś tłuści jak młode szak... chcia-  
łem powiedzieć, młode psiaki. Nie chciałbym bez powodu uchybiać ludziom. Trafiają się  
między nimi (to prawda) typy najrozmaitsze, jednakże długoletnie doświadczenie po-  
uczyło mnie, że biorąc wszystko pod uwagę, są to na ogół z kośćmi poczciwe istoty.  
Nie dopatrzyłem się żadnych rzeczy zdrożnych ani u mężczyzn, ani u kobiet, ani u dzieci,  
a pamiętaj, moje dziecię, że kto gani innych, tego inni też ganią.

— Pochlebstwo to rzecz gorsza od pustej puszkii blaszanej, połkniętej niebacznie!  
Atoli to, co usłyszeliśmy przed chwilą, było głosem prawdziwej mądrości — zawyroko-  
wał Adiutant, opuszczając nogę, dotąd podniesioną.

— Ale pomyśleć, jaką czarną niewdzięczność okazują ludzie temu oto dostojnikowi!...  
— zaczął szakal czułym głosem.

— Nie, nie, nie jest to niewdzięczność! — sprzeciwił się Mugger. — Ot, po prostu nie  
chce im się zastanawiać nad cudzym losem. Natomiast ja, gdym leżał na mym czatowisku  
koło brodu, zwróciłem na to uwagę, że schody nowego mostu są nader strome i uciążliwe  
zarówno dla ludzi starych, jak i dla małych dzieci. Jeżeli mam być szczery, to nie tyle żal mi  
starych, ile współczuję, prawdziwie współczuję, małym, tłuściutkim dzieciętkom. Mam  
jednakże nadzieję, że niezadługo, gdy most utraci powaby nowości, obaczymy znowu, jak  
dawniej, brunatne nogi mego ludu śmiało przechodzące w bród przez rzekę... a wówczas  
stary Mugger powróci do dawnej czci...

<sup>88</sup>*mimochcąc* — dziś: mimowolnie.

— Tak! Tak! — zaskrzeczał Adiutant, coś sobie przypominając. — Toż gotów jestem oddać głowę, żem dziś w południe widział równianki<sup>89</sup> z kwiatów kaczeńca pływające u naroża *ghaut*. Kwiaty kaczeńca, jak wiadomo, są w całych Indiach uważane za oznakę holdu.

— E, to omyłka... omyłka! Te kwiaty chciała mi przysłać żona miejscowego cukiernika. Biedaczka z roku na rok widzi coraz gorzej i nie potrafi odróżnić mnie, Muggera z Mugger Ghaut, od pierwszego lepszego drąga! Spostrzegłem od razu jej omyłkę, bom właśnie leżał pod samym *ghaut*, gdy ona rzucała wianki, a gdyby postąpiła choć krokiem naprzód, może bym jej zdołał unaocznic całą różnicę. Bądź co bądź, kobiecina miała zamiary pocziwe, a winniśmy zawsze zważać na intencję ofiary.

— Co tam przyjdzie z równianek kaczeńca temu, kto znajdzie się na śmietniku! — mruknął szakal, wyłapując pchły, ale jednocześnie strzelając okiem przezornie w stronę Obróńcy Nędzarzy.

— Prawda! — przyznał Mugger. — Tylko w tym sęk, że ludziska jeszcze nie pomyśleli o założeniu takiego śmietnika, który by się dla mnie nadawał. Widziałem już pięciokrotnie, jak rzeka odstępowała od wioski, zostawiając u jej stóp szmat nowego gruntu. Pięć razy widziałem, jak wioska zabudowywała się ponownie nad brzegiem... i pewno jeszcze z pięć razy zobaczą taką odbudowę. Nie jestem bowiem jakimś tam wyzutym z czci i wiary rybojadem-gawiałem, co to, jak mówią, „popasa dzisiaj w Kassi, a jutro w Prajagu”. Jam jest wiernym i wiecznie czujnym strażnikiem rzecznej przeprawy. Trza<sup>90</sup> ci wiedzieć, moje dziecię, że nie na darmo przezwano wioskę moim imieniem... zasię przysłowie powiada, że „kto długo czeka, zawsze w końcu doczeka się nagrody”.

— Jam czekał już długo... bardzo długo... niemal przez całe moje życie, a nagrodą mi były jeno plagi<sup>91</sup> i ukąszenia! — westchnął szakal.

— Cha! Cha! Cha! — zagrział śmiechem Adiutant, po czym zaśpiewał:

W sierpniu urodził się szakal,  
we wrześniu spadły deszcze...  
„Takiej powodzi jak dzisiaj —  
rzekł — nie pamiętam jeszcze!”

Tu trzeba wspomnieć pewną wielce niemiłą przywarę Adiutanta. Oto co pewien czas chwytają go z nagle dziwne jakieś, dokuczliwe drgawki lub kurcze w nogach, sprawiające, iż ten na pozór najcnotliwszy z ptaków brodzących (które w ogóle nie zasługują na niezmierny szacunek) ni stąd, ni zowąd zrywa się do dzikich, wojennych płasów, a raczej kalekich podrygów, rozczapierzając skrzydła i kiwając łysą łepetyną; przy tym z powodów jemu tylko wiadomych — najgorsze ze wspomnianych paroksyzmów kojarzą się u niego zawsze ze stekiem najplugawszych docinków. Tak też było i tym razem. Atoli pod koniec swej śpiewki wielki ptak odzyskał znów panowanie nad sobą i odtąd miał dziesięćkroć bardziej adiutancką postawę niż poprzednio.

Szakal zachnął się, bo liczył już sobie pełne trzy wiosny życia; atoli nie wypada oburzać się na zniewagę doznaną od stworzenia mającego dziób długi na dwa łokcie i umiejącego nim władać jak dzirytem. Adiutant uchodził powszechnie za wielkiego tchórze, ale przecie tchórzem był i szakal.

— Nauka przychodzi z wiekiem — rzekł Mugger — a warto i to powiedzieć, moje dziecię, że małe szakale są bardzo pospolite, natomiast takiego Muggera jak ja nielatwo nadybiesz. Nie pysznię się z tego bynajmniej, gdyż pycha prowadzi do zguby; ale zważ, że tak zrządziło przeznaczenie... a sprzeciwiać się swemu przeznaczeniu nie powinno żadne ze stworzeń czy to biegających, czy to pływających, czy pełzających. Co do mnie, jestem najzupełniej zadowolony ze swego losu. Komu służy szczęście i dopisuje wzrok, ten jakoś daje sobie radę na tym świecie, zwłaszcza jeżeli przed wejściem w jakąś debrę lub łachę rzeczną zwykł zawczasu zbadać, czy jest z niej wyjście.

<sup>89</sup>równianka — wianek.

<sup>90</sup>trza — trzeba.

<sup>91</sup>plagi — różgi; lanie.

— Słyszałem, że pewnego razu nawet cny<sup>92</sup> Obrońca Nędzarzy popełnił omyłkę — zauważył szakal złośliwie.

— To prawda! — przyznał krokodyl. — Ale los pomógł mi jakoś wydostać się z opresji. Było to za moich lat młodych w pierwszym z trzech okresów głodowych (na Prawą i Lewą Odnogę Wajngangi! Jakże pełne bywały wówczas łożyska rzeczne!). Tak jest, byłem naonczas niefrasobliwym młodzikiem; któż tedy bardziej ode mnie radował się z wylewu rzeki? Byle co wystarczało mi wtedy do szczęścia. Wieś cała stała pod wodą, przeto przepłynąłem *ghaut* i zapuściłem się daleko w głąb łądu, na pola ryżowe, okryte warstwą miłego namułu. Przypominam sobie, że w ów wieczór znalazł parę naramiennic, które choć szklane, nie sprawiły mi najmniejszego kłopotu. Tak, były tam szklane naramiennice, a jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, to był tam i chodak. Powinienem być nie jeść chodaka, ale głód mi na to nie pozwolił. Z czasem nabrałem większej wprawy. Tak jest!... Ale i tak pożywiłem się i po krzepiłem nieco na siłach; atoli gdym podążył z powrotem ku rzeczce, już woda opadła, tak iż musiałem brnąć w błocie przez główną ulicę wioski. Któż inny zdobyłby się na coś podobnego? Patrząc, aż tu z chat zaczynają wylazić moi ludkowie, kapłani, baby i dzieci. Spoglądałem na nich życzliwym wzrokiem, bo nie miałem ochoty walczyć w błocie. Jeden z wioślarzy zawołał: „Hola, to Mugger z naszego brodu! Do toporów! Zaraz położymy go trupem!”. „O, nie! odpowiedział mu bramin. — Toż to bóstwo opiekuńcze wioski! Patrzcie, jak spędza fale z brzegu!” Wówczas obrzucono mnie kwiatami, a jeden z wieśniaków, wiedziony szczęśliwą myślą, wypędził mi kozła na drogę!

— O, o! Kozieł to rzecz smakowita! — obliznął się szakal.

— E, włochaty, zanadto włochaty... a gdy trafi się w wodzie, tedy na pewno ukrywa w sobie hak rozszczepiony na dwoje. Wspomnianego jednak kozła przyjąłem chętnie i zszedłem do *ghaut*, czyniąc wielki zaszczyt wiosce. W jakiś czas później los mi nadarzył owego wioślarza, który chciał przyciąć mój ogon siekierą. Trafiło się, że łódź jego osiadła na starej mieliznie, której chyba już nie pamiętacie...

— Nie wszyscy jesteście szakalami! — zaskrzeczał Adiutant. — Czy masz na myśli tę mieliznę, na której ugrzęzły galary wiozące ładunek kamieni w roku wielkiej posuchy? Ową mieliznę, która przetrwała trzy wylewy?

— Dwie były takie mielizny: jedna w górze, a druga poniżej — napomknął Mugger.

— Ano tak!... Tylko mi to wyszło z głowy! Rozdzielała je rzeczna odnoga, która potem wyschła doszczętnie! — poprawił się Adiutant, lubiący przechwalać się dobrą pamięcią.

— Na niższej mieliznie, moje dzieci, utknęła łódź tego człowieka, co mi tak dobrze życzył. Pocziwina właśnie sobie spał w najlepsze, gdy poczuł owo szturchnięcie... Ocknąwszy się, skoczył w wodę, głęboką do pasa... gdzie tam! — co najwyżej do kolan... by zepchnąć łódź z mielizny. Pusta łódź popłynęła z prądem i przybiła do miejsca, gdzie był wówczas zakręt. Ja puściłem się za nią w pościg, bo wiedziałem, że zejdą się ludzie, ażeby ją na brzeg wyciągnąć.

— I zesłi się w istocie? — zapytał szakal, przejęty po trosze zgrozą. Łowy tej miary zdolne były uczynić na nim wielkie wrażenie.

— Schodzili się... i tam... i jeszcze poniżej. Nie zapuszczałem się dalej... ale właśnie dzięki temu udało mi się w ciągu jednego dnia pochwycić trzech tłustych *manjis* (wioślarzy), przy czym zaznaczyć muszę, że z wyjątkiem ostatniego (na którym zresztą mi nie zależało) żaden z nich nawet nie krzyknął, by ostrzec towarzyszy stojących na brzegu.

— Ach, co za wspaniałe polowanie! Ale jakiejże to trzeba zręczności i przytomności umysłu! — zachwycał się szakal.

— Nie zręczności, moje dziecię, ale rozwagi. „Odrobina rozwagi przyda się w życiu jak szczypta soli w ryżu”, powiadają wioślarze, ja zaś mam zwyczaj rozważać głęboko rzecz każdą. Mój krewniak, rybojad-gawiał, opowiadał mi nieraz, jak ciężką pracą jest rybołówstwo, jak to ryby różnią się między sobą i jak trzeba znać się na nich wszechstronnie. Przyznaję, że mądrość to nie lada, z drugiej zaś strony stwierdzić i to muszę, że wspomniany krewniak gawiał przebywa przecie stale wśród swoich podwładnych. Co się zaś tyczy moich podwładnych, toć nie pływają oni gromadnie, wystawiając pyski nad wodę, jak to czyni rewa, ani też nie wzbijają się ustawicznie ku powierzchni wody i nie kręcą

<sup>92</sup>cny — zacny; szacowny.

się w kółko jak *mohoo* i mała *chapta*, ani też nie gromadzą się na ławicach po powodzi, jak *batchua* i *chilwa*.

— Same wyśmienite rybki! — przyklasnął dziobem Adiutant.

— To samo powiada mój krewniak i zadaje sobie wiele fatygi, polując na te rybki specjały, pomimo że one nie umykają na brzeg, gdy ujrzą spiczasty koniec jego nosa. Moi podwładni inne mają obyczaje. Mieszkają na łądzie, w chatkach, pośród trzody. Muszę przeto wiedzieć, co oni czynią lub czynić zamierzają w danej chwili. W ten sposób (jak mówi przysłowie) „wyobrażam sobie całego słonia”. Przypuśćmy, że nad drzwiami któregoś domu pojawia się zielona gałąź i żelazna obręcz... Stary Mugger wie od razu, że w tym domu urodził się chłopak i że pewnego dnia niezawodnie przyjdzie bawić się koło *ghaut*... A może tam jaka panna ma wyjść za mąż? Stary Mugger i to odgadnie, boć widzi, jak jej przynoszą podarki ślubne. Ona też powinna zejść do *ghaut*, by wykąpać się przed ślubem, a wtedy Mugger też pewnie znajdzie się gdzieś blisko... Zasię kiedy indziej zdarzy się, że rzeka zacznie zmieniać koryto i utworzy nowy splacheć łądu w tym miejscu, gdzie dotąd były jedynie piaskowe odmiały... wówczas Mugger pierwszy wie o wszystkim.

— E, dużo tam komu przyjdzie z takiej wiadomości! — sarknął szakal. — Choć żyję od niedawna na świecie, tom przecie widywał, jak rzeka zmieniała koryto!

Rzeki indyjskie prawie nigdy nie utrzymują się przez czas dłuższy w łożyskach, a bywa, że czasem w ciągu jednej pory deszczowej przenoszą się o dwie albo i trzy mile angielskie, zalewając orne pola, w innych zaś miejscach pozostawiając warstwę żyznego namuliska.

— Owszem, mało jest wiadomości równie pożytecznych — skarcił szakala Mugger. — Nowy szmat łądu to powód do nowych waśni i procesów. Wie o tym Mugger... Oho! Mugger zna się na rzeczy! Ledwie więc woda opadnie, on już przemyka się małymi parowami, w których, zdaniem ludzkim, ledwo psina zdołałaby się ukryć, i zaczyna czatować. Jakoż niebawem nadchodzi jakiś wieśniak, miesi gołymi stopami grząski muł i ogłasza, że będzie sadił dynie i ogórki na gruncie podarowanym mu przez rzekę. Wnet nadchodzi drugi wieśniak i ogłasza, że w tym miejscu będzie sadił cebulę, marchew i trzcinę cukrową. Nagle ci dwaj ludzie spotykają się z sobą jak dwie łodzie zniesione prądem i poczynają łypać na siebie oczyma spod wielkich, błękitnych turbanów. Stary Mugger patrzy na to wszystko i przysłuchuje się ich rozmowie. Oni mówią sobie „bracie” i idą wytyczyć granice nowych posiadłości. Mugger idzie ślad w ślad za nimi, brnąc po cichu w błocie. I oto naraz wybucha sprzeczka! Dalej przymawiać sobie ostro — od słowa do słowa aż niebawem moi ludkowie mili zaczynają zdierać sobie z głów turbany! Wkrótce i *lathi* (palki) zaczynają być w robocie... Kończy się tym, że jeden upada na wznak w błoto, a drugi bierze nogi za pas i umyka. Gdy powróci, już cały spór jest załatwiony, o czym świadczy okuty żelazem kij bambusowy pokonanego. Jednakże ludzie, zamiast okazać mi wdzięczność, krzyczą, że dopuszczono się morderstwa; natychmiast dwie rodziny (po dwudziestu chłopca z każdej strony) porywają się do walki i kije świszczą nie na żarty. Dzielni ludzie z tych moich górali-Dżatów malwajskich z Betu!... Biją się nie od parady! Gdy walka się zakończy, stary Mugger już czatuje opodal, w dół biegu rzeki, poza krzakami kikaru zasłaniającymi go przed oczyma wieśniaków. Wówczas przy świetle gwiazd schodzą ku rzece Dżatowie: gromadkami po ośmiu lub dziewięciu i przynoszą trupa na marach. Są to ludzie starsi, o siwych brodach, obdarzeni grubym głosem, do mojego podobnym. Zapalają małe ognisko (ach, jak dobrze znam łunę tego ogniska!), siadają w kółko, łykają dym tytoniowy i kiwają głowami bądź przed siebie, bądź w stronę wydmy, na której leży ciało nieboszczyka. Roztrząsają całą sprawę, oświadczając, że angielskie władze wmieszają się w nią niewątpliwie i że to ściągnie hańbę na rodzinę winowajcy, gdyż powieszą go na wielkim dziedzińcu więziennym. Wówczas przyjaciele nieboszczyka odpowiadają: „A niechże go kaci wezmą!...”, po czym cała rozmowa zaczyna się na nowo... czasami po raz dwudziesty w ciągu nocy. W końcu jeden z nich odzywa się: „Ha, piękną mieliśmy awanturę! Dajcie nam okup nieco większy od ofiarowanego nam przez zabójcę, a nie piśniemy już o tym ani słówka”. Wówczas zaczynają się targować o wysokość okupu, jako że nieboszczyk był człowiekiem pełnym zdrowia i siły i osierocił liczną dźatwę. Atoli przed *amratvela* (wschodem słońca) przysmalają go nieco ogniem, jak każe obyczaj, i zmarły staje się moją własnością... a on przecie nie wygada się z niczym. Tak, moje dzieci, Mugger wie niejedno... wie niejedno... a moi Dżatowie malwajscy to dobrzy ludzie... dobrzy ludzie! — cmoknął z uznaniem.

— E! Dla mnie są zawsze skąpi; nie zostawią mi nigdy ani cząstki swych plonów! — zaskrzeczał Adiutant. — Oni, jak głosi przypowieść, nie zmarnują nawet połysku z rogów bawołu. Zresztą, któż by tam dogryzał resztki po Malwaju?

— Owszem, ja dogryzam... ich samych! — odrzekł Mugger.

— Na południu, w Kalkucie — ciągnął dalej Adiutant — miano dawniej zwyczaj wyrzucać wszystko na ulicę; było zatem co dziobać i z czego wybierać. Oj, były to rozkoszne czasy! Ale dzisiaj ulice są tam czyste, białe i gładkie jak skorupka jaja, więc plemię moje omija ową miejscowość. Rozumiem, że można być czystym... ale zamiatanie, szorowanie i polewanie ulic po siedem razy dziennie — to już przesada! Sami bogowie nie zniosą czegoś podobnego.

— Opowiadał mi pewien szakal z nizin (a wiadomość tę zawdzięczał swojemu bratu), że w owej Kalkucie wszystkie szakale spały się jak wydry w czasie deszczów — rzekł szakal, któremu aż ślina płynęła do gęby na myśl o tym.

— Tak! Tak! — zaskrzeczał z przekąsem Adiutant. Ale nie darmo są tam ludzie o białych twarzach, zwani Anglikami. Przywożą oni skądciś, z dolnego biegu rzeki, wielkie, opasłe psiska, które starają się oto, by szakalom ubyło nieco sadła.

— A więc mają serca tak nielitościwe jak ludność tutejsza? Powiniennem być domyślić się tego! Ani ziemia, ani woda, ani niebo nie okazują szakalowi litości. Niedawnymi czasy, po upływie pory deszczowej, widziałem namioty jakiegoś białego człowieka... i nawet udało mi się zwędzić końskie wędzidło z kawałkiem trzgli. Była nowiuśka i żółciuszka, ale rozchorowałem się, gdym ją zeżarł. Biali ludzie nie umieją porządnie wyprawiać skóry.

— O, ze mną było jeszcze gorzej! — rzekł Adiutant. — Gdy liczyłem sobie dopiero trzecią wiosnę, zapuściłem się wiedziony młodzieńczą śmiałością w dół rzeki, gdzie dochodzą wielkie łodzie Anglików... trzy razy większe od tej oto wioski.

— Dotarł do Delhi i opowiada, że tam wszyscy ludzie chodzą na głowach — mruknął szakal.

Mugger otworzył lewe oko i spojrzął przenikliwie na Adiutanta.

— Mówię świętą prawdę! — upierało się ptaszysko. — Kłamca kłamie tylko wówczas, gdy myśli, że mu wierzą... Atoli<sup>93</sup> kto nie widział tych statków, nie potrafi nawet uwierzyć temu, co mówię.

— Teraz gadasz bardziej do rzeczy — burknął Mugger. — I cóż dalej?

— Z wnętrza takiej łodzi wyjmowano wielkie bryły jakiejś masy, która w prędkim czasie zamieniała się w wodę. Wiele okruchów rozsypało się po wybrzeżu, a resztę ładowano pośpiesznie do domu o grubych ścianach. Jeden z bosmanów, śmiejąc się, porwał bryłkę, nie większą od małego psiaczka, i rzucił ją w moją stronę. Podobne jak wszyscy moi krewniacy, mam zwyczaj polykać wszystko, co się nadarzy. W tym wypadku też postąpiłem podobnie. Naraz chwyciło mnie jakieś nieopisane zimno, które zaczynając od podgardla, rozeszło się po całym ciele aż po koniuszki szponów. Straciłem do cna głos, a majtkowie śmiali się do rozpuku. Nigdy w życiu takie ciarki mnie nie przechodziły. Z bólu i przerażenia zacząłem podrygiwać jak opętany, póki nie odzyskałem tchu; wówczas rozpocząłem nowe podrygi, wrzeszcząc wniebogłose i oskarżając świat cały o obłudę. Majtkowie aż zataczali się ze śmiechu. Co w tej sprawie najdziwniejsze (pominąwszy już owo przerażające zimno), to to, że gdy przestałem się krztusić i narzekać, w moim worku podgardlnym nie było nic zgoła!

Adiutant uczynił wszystko, co było w jego mocy, by opisać wrażenia, jakich doznał po przełknięciu siedmioletniej bryły lodu przywiezionej z Wenham Lake na amerykańskim lodowniku (w owym czasie jeszcze nie było w Kalkucie fabryki lodu sztucznego, więc trzeba było ten towar sprowadzać okrętami); ponieważ jednak nie wiedział dokładnie, co to lód, a szakal i Mugger nigdy nawet lodu nie widzieli na oczy, przeto anegdota spaliła na panewce.

— Wszystko zdarzyć się może temu, kto widział łódź większą trzykrotnie od Mugger Ghaut! — zadrwił krokodyl, zamykając ponownie lewe oko. — Moja wioska wcale nie jest mała!

Nad głowami rozmawiających rozległ się świst donośny — i po moście przemknął pośpieszny pociąg zdążający do Delhi. Wagony lśniły rześkim światłem, a ich cienie

<sup>93</sup>atoli (daw.) — jednakże, lecz; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast.

sunęły trop w trop za nim po wodzie. Wszystko to wśród dudnienia, poszczęku, grzechotu jęło się oddalać hen w gęstwę mroku. Atoli Mugger i szakal tak byli przyzwyczajeni do tego tartasu, że nawet nie odwrócili głowy.

— Czyż to mniej dziwne od łodzi trzy razy większej od Mugger Ghaut? — zagadnął ich marabut, spoglądając w górę.

— Widziałem, jak budowano to dziwo, jak ty je zowiesz, moje dziecko — rzekł Mugger. — Widziałem, jak wznoszono filary mostu, a ilekroć spadł z nich jakiś człowiek (przeważnie chodzili nadzwyczaj zręcznie, ale zdarzało się, że spadali), to ja zawsze spełniłem, co do mnie należało. Gdy ukończono pierwszy filar, to już nikt nie myślał wyszukiwać zwłok ludzkich w rzece, by je pogrzebać, oszczędziłem im więc niemało kłopotu... Budowanie mostu to nic osobliwego!

— Za to osobliwością jest to, co przechodzi przez most, ciągnąc za sobą wozy, nakryte dachami — upierał się Adiutant.

— E, to pewnie jakiś nowy gatunek wołu! Pewnego dnia ta bestia nie będzie umiała wygramolić się na most i spadnie, jak spadali ludzie. A stary Mugger nie omieszka wtedy znaleźć się w pogotowiu.

Szakal spojrzął znacząco na Adiutanta, Adiutant zaś na szakala. Jeżeli czego bowiem byli pewni, to tego, że maszyna może być wszystkim w świecie, tylko nie wołem. Szakal napatrzył się jej już nieraz spoza żywopłotu rosnącego po bokach toru, a Adiutant miał dawno sposobność widzieć pierwsze pociągi, jakie ukazały się w Indiach. Natomiast Mugger przyglądał się lokomotywie zawsze tylko od dołu, nic więc dziwnego, że miedziany kocioł wydawał mu się garbem na grzbiecie wołu.

— T... tak, nowy gatunek wołu — powtórzył Mugger z powagą, ażeby się utwierdzić w swym przekonaniu.

— O, tak, to na pewno wół! — basował mu skwapliwie szakal.

— Zresztą mogłoby to być... — zaczął Mugger złośliwie.

— O, z pewnością!... Z całą pewnością! — przytakiwał szakal, nie czekając nawet na dokończenie zdania.

— Co? — nadał się Mugger, bo wyczuwał, że towarzysze wiedzą więcej od niego. — Cóż by to mogło być? Przecież jeszcze nie doszedłem do końca swych słów. Tyś powiedział, że to wół!...

— Niechże to będzie wół czy cokolwiek innego, byle tak się podobało Obrońcy Nędzarzy. Jestem jego sługą... a nie sługą tej rzeczy, która przejeżdża przez most.

— Cokolwiek by to było, jest to dzieło białych ludzi — rzekł Adiutant. — A ja ze swej strony nie osiedliłbym się na ławicy położonej od nich tak blisko.

— Ty nie znasz Anglików tak jak ja — rzekł Mugger. — Gdy budowano most, był tu jeden biały człowiek, który wieczorami siadał do łodzi, szurał nogami po jej dnie i szeptał: „Czy on tutaj? Czy tam? Podajcie mi strzelbę!”. Jeszczem go nie widział, a już słyszałem każdy szmer... Zarówno jego słowa, jak chrzęst i pobrzękiwanie jego strzelby... bądź w górze, bądź w dole rzeki. Ilekroć uprzątnąłem którego z jego robotników, oszczędzając mu w ten sposób wydatku na stos pogrzebowy, tylekroć jużem go widział zbiegającego do *ghaut* i zaklinającego się, że zapoluje na mnie i uwolni rzekę ode mnie... od Muggera z Mugger Ghaut! Ode mnie!... Toż ja, moje dziatki, pływałem całymi godzinami pod dnem jego łodzi i słyszałem, jak strzelał do każdego pnia, jaki napotkał; gdy zaś wiedziałem, że się zmęczył, wynurzałem się nagle przed nim z wody i w żywe oczy kłapałem szczękami. Gdy most ukończono, on odjechał. Wszyscy Anglicy polują w ten sposób... ale inaczej bywa, gdy ktoś na nich poluje.

— Króź to poluje na białych ludzi? — zapytał szakal, otwierając z podziwienia szeroko paszczę.

— Obecnie nikt, ale w swoim czasie ja na nich polowałem.

— Przypominam sobie coś niecoś z tych łowów. Byłem wówczas jeszcze młody — rzekł Adiutant, kłapiąc dziobem znacząco.

— Ja zaś byłem już tu na dobre zadomowiony. Moja wioska, jak pomnę, odbudowywała się właśnie po raz trzeci, gdy mój daleki krewniak przyniósł mi wieść o wielkim dostatku jadła na wodach powyżej Benaresu. Początkowo nie miałem ochoty tam się wybierać, gdyż mój krewniak, który żywi się rybami, nie zawsze wie, co złe, a co dobre.

Dopiero gdy podsłuchałem wieczorną pogawędkę moich podwładnych, zdecydowałem się wyruszyć w drogę.

— A o czymże oni mówili? — zapytał szakal.

— O czym mówili, to mówili, w każdym razie wystarczyło to, by mnie, Muggera z Mugger Ghaut, nakłonić do opuszczenia wody i wyruszenia w drogę pieszo. Szedłem nocami, korzystając nawet z najmniejszego strumyczka, jaki mi się nawinął. A że właśnie zaczynała się pora upałów, więc stan wody we wszystkich strumieniach był niski. Przechodziłem w poprzek zakurzonych gościńców, przedzierałem się przez wysoką trawę, wdrapywałem się na wzgórza zalane księżycową poświatą. Wdzierałem się nawet na skały... pomyślcie sobie, dzieci! Przebywać musiałem bezwodne obszary Sirhindu, zanim udało mi się odnaleźć więź małych rzeczulek płynących do Wajngangi. Cały miesiąc spędziłem w podróży... z dala od mego ludu i od dobrze mi znanych wybrzeży. To iście rzecz podziwu godna.

— Czymże się żywiłeś po drodze? — zapytał szakal, który za najżywniejszą rzecz uważał sprawy żołądkowe, a zgoła się nie przejął lądową wędrownką krokodyla.

— Wszystkim, co mogłem znaleźć... kuzynie! — odrzekł Mugger powoli, przeciągając każde słowo.

Trzeba wiedzieć, że w Indiach nie nadaje się nikomu tytułu „kuzyna”, jeżeli ktoś nie potrafi określić choćby najślabszego stopnia pokrewieństwa z daną osobą. Ponieważ zaś co najwyżej w starych bajkach i dziecinnych piosenkach można napotkać wieść o tym, jakoby krokodyl ożenił się z szakalicą, szakal domyślił się od razu, skąd spłynął nań ten zaszczyt, iż zaliczono go do grona rodziny Muggerów. Gdyby tu byli sam na sam, pewno by się tym nie przejął, ale w oczach Adiutanta dostrzegł błysk radości z powodu złośliwego żartu.

— A jakże, ojczulku, powinienem był to wiedzieć — odparł szakal.

Mugger nie rości sobie do tego pretensji, by go zwano ojcem szakala, toteż Mugger z Mugger Ghaut dał wyraz swoim poglądom w tej sprawie — ubarwiając ten wywód wieloma przydatkami, których nie chcę tu powtarzać.

— Przecież sam Obrońca Nędzarzy przyznał się do pokrewieństwa. Skądże mogłem wiedzieć, jaki jest stopień pokrewieństwa? — bronił się szakal. — Co więcej, żywimy się przecież tą samą strawą. Słyszałem to wszak z jego własnych ust.

To tłumaczenie się znacznie pogorszyło całą sprawę, albowiem słowa szakala zawierały przytyk do tego, że w czasie pochodu po lądzie Mugger niewątpliwie żywił się świeżym mięsem — i to co dzień świeżym — zamiast, jak to zwykł w miarę możliwości czynić każdy szanujący się Mugger i większość dzikich zwierząt, przechowywać je tak długo, póki należycie nie skruszeje i nie stanie się łatwiejsze do połknięcia. Jednym z najgorszych przezwisk i urągówisk, jakie można posłyszeć nad brzegiem rzeki, jest: „zjadacz świeżego mięsa”. Jest to obelga niemal równa tej, jakiej doznałby człowiek przezwany „ludożercą”.

— To jadło uległo spożyciu już trzydzieści lat temu! — odezwał się spokojnie Adiutant. — Jeżeli weźmiemy pod uwagę jeszcze drugie lat trzydzieści, to zeń nie pozostanie ani śladu. A teraz opowiedz nam, co się stało, gdy dotarłeś do szczęśliwych wód po tak dziwnych przygodach. Mówi przysłowie, że gdyby chciano słuchać wycia pierwszego lepszego szakala, zamarłby w mieście wszelki ruch uliczny.

Mugger musiał być mu wdzięczny za tę interwencję, bo poruszył się żywiej i zawołał:

— Na Lewą i Prawą Odnogę Wajngangi! Nigdy, odkąd żyję, nie widziałem takich wód jak wtedy!

— Byłyż one większe od wielkiej powodzi zeszłorocznej? — zapytał szakal.

— Bez porównania większe! Taka powódź, jak w zeszłym roku, zdarza się co pięć lat... i jakież jej plon? Garstka utopionych cudzoziemców, parę sztuk drobiu i zdechły wół w brudnej wodzie przeciętej smugami prądów. Ale o owej porze, o której mowa, toń wody była gładka, niska i spokojna; mimo to jednak, jak przepowiedział mi gawiał, płynęło po niej tylu martwych Anglików, że zawadzali jedni o drugich. W owej to porze nabrałem dzisiejszej tuszy i rozmiarów. Od Agry koło Itawy i na szerokich wodach koło Iahabadu...

— Och, to rozlewisko, które dosięgło samych murów warowni Iahabadu! — przerwał z westchnieniem Adiutant. — Przypłynęli tam, jak dzikie kaczkę w rokitnię, i kręcili się w wirze... kręcili... tak... o tak!

Puścił się znowu w okropne płąsy, wijąc się jak opętaniec. Szakal spoglądał z zazdrością; rzecz prosta, że nie pamiętał straszego roku, o którym ci dwaj rozmawiali — roku, w którym wybuchł bunt sipajów<sup>94</sup>. Tymczasem Mugger ciągnął dalej:

— Tak, pod Ilahabadem leżałem sobie spokojnie w czarnej wodzie, nie fatygując się zgoła robotą. Było w czym wybierać; można było dwudziestu pominąć, by pochwycić jednego. Co najprzyjemniejsze, to to, że Anglicy nie byli tak nadziewani klejnotami, bransoletami i nagołennicami jak dzisiejsze kobiety w tych stronach. „Kto lubuje się w błyskotkach, będzie miał stryzynek za naszyjnik” powiada przysłowie... Wszystkie krokodyle we wszystkich rzekach spały się wówczas ogromnie, ale los chciał, że ja spałem się najwięcej. Wieści głosiły, że Anglików zaganiano gromadkami ku rzekom, i (klnę się na Lewą i Prawą Odnogę Wajngangi!) było to chyba prawdą! Im dalej posuwałem się na południe, tym bardziej upewniałem się co do prawdziwości tej pogłoski. Tak to z prądem rzeki dopłynąłem aż poza Munger, mijając wielkie mogiły, co patrzą w wodę...

— Znam tę miejscowość — rzekł Adiutant. — Od owego czasu Munger stał się miastem bezludnym; dziś mało kto tam mieszka.

— Następnie zacząłem z wolna i ociężałe piąć się w górę rzeki i nieco powyżej Mungeru napotkałem łódź pełną białych ludzi... żywych! O ile pamiętam, były to same kobiety; leżały pod płótnem rozpiętym na drągach i płakały głośno. W owych czasach jeszcze nie strzelano do nas, strażników brodu. Strzelby miały co innego do roboty; słyszeliśmy ich odgłos przez cały dzień i przez całą noc w głębi łądu, to dalej, to bliżej, zależnie od kierunku wiatru. Wynurzyłem się łbem tuż przed samą łodzią, bom dotąd nigdy nie widywałem żywych ludzi białych, mimo że poznałem ich wybornie... pod inną postacią. Nagie białe dziecko klęczało przechylone koło burty i zanurzało rączki w wodzie, bawiąc się szlakiem piany snującym się za łodzią. Prawdziwa rozkosz patrzeć, jak dziecko lubi płynącą wodę! Tego dnia byłem najedzony, ale miałem jeszcze w żołądku mały, niezajęty kącik. W każdym razie nie z głodu, tylko dla zabawy rzuciłem się ku rączkom tego dziecięcia. Były one tak jasne i wyraźne, że nawet nie potrzebowałem się im przyglądać, gdy je chwyciłem. Ale te rączki okazały się tak maluchne, że choć zacisnąłem porządnie szczęki (czego jestem najzupełniej pewny!), dziecko wyciągnęło je z paszczy mojej pospiesznie, nie ponosząc najmniejszego szwanku. Widocznie przesunęły się mi pomiędzy zębami... takie były maleńkie te białe rączki! Powinienem był oczywiście chwycić z boku, koło łokci... ale, powtarzam, wynurzyłem się z wody jedynie dla zabawy i w chęci zobaczenia czegoś nowego. W łodzi rozległy się krzyki, a ja nagle znów wynurzyłem się z wody, by przyrzeć się załodze. Łódź była zbyt ciężka, bym zdołał ją przewrócić. Były w niej same kobiety, ale przysłowie powiada: „Kto wierzy kobiecie, ten chodzi po bagnie zarosłym rokitiną”, ja zaś (na Prawą i Lewą Odnogę Wajngangi!) przekonałem się o prawdziwości tego przysłowia.

— Pewnego razu jakaś kobieta rzuciła mi kawałek suchej skóry rybiej — wtrącił się szakal. — Miałem apetyt na jej dziecko... ale, jak mówi przysłowie: „Lepsza jest końska pasza niż wierzgnięcie końskiego kopyta”. I jakże postąpiła twoja kobieta?

— Wypaliła do mnie z krótkiej strzelby, jakiej ani przedtem, ani potem nie zdarzyło mi się już widzieć. — Mugger miał niewątpliwie na myśli rewolwer starego typu. — Strzeliła pięć razy; owiał mnie dym, a ja rozwarłem paszczę i gapilem się jak głupi. Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Pięć strzałów... tak szybko, jak teraz macham ogonem... o, tak!

Szakal, którego coraz bardziej zaciekawiała ta opowieść, ledwie miał czas uskoczyć przed strasliwym ogonem, który śmignął w tejże chwili obok niego niby olbrzymia kosa.

— Dopiero za piątym strzałem — ciągnął Mugger najspokojniejszym w świecie głosem, jak gdyby nigdy nie nosił się z myślą, by zatłuc jednego ze swych słuchaczy — dopiero za piątym strzałem zapadłem się w wodę, a wypłynąwszy po chwili, posłyszałem, jak jeden z wioślarzy zapewniał białe kobiety, że zginąłem już niechybnie. Jedna z kul utkwiła mi pod pancerzem na karku. Nie wiem, czy ona tam jeszcze się znajduje; wiecie bowiem, że nie potrafię odwrócić głowy. Chodź no, zobacz, moje dziecko. Przekonasz się o prawdziwości mego opowiadania!

<sup>94</sup>bunt sipajów — powstanie żołnierzy indyjskich (sipajowie: miejscowi; żołnierze pochodzili z miejscowych plemion, gł. Gurkhów i Sikhów) i ludności chłopskiej przeciw Anglikom; walki toczyły się w latach 1857–1859 i zostały krwawo stłumione.



— Ja mam to uczynić? — zdziwionym głosem zawył szakal. — Czyżby taki ogryzacz kości i zjadacz starego obuwia jak ja odważył się podawać w wątpliwość opowiadanie osoby będącej chlubą naszej rzeki? Niechże mi ogon odgryzą ślepe szczeniaki, jeżeli cień podobnej myśli pojawił się w mej durnej lepecie! Obrońca Nędzarzy był łaskaw oznajmić mnie, swojemu nędznemu rabowi<sup>95</sup>, że pewnego razu poniósł ranę z rąk kobiety. To mi wystarczy! Będę powtarzał tę opowieść moim dzieciom i wnukom, nie wymagając żadnych dowodów.

— Zbytek uprzejmości bywa czasem rzeczą gorszą niż grubiaństwo; bo głosi przysłowie: „Można gościa udławić nawet miską zsiadłego mleka”. Bynajmniej sobie tego nie życzę, by twoje dzieci wiedziały, iż Mugger z Mugger Ghaut jedyną w życiu ranę odniósł z rąk kobiety. Zresztą one i tak będą miały myśl aż nadto zajęta czym innym, gdy będą zmuszone zdobywać z trudem byle ochłapy, jak to czyni teraz ich ojciec.

— Jużem dawno zapomniał o wszystkim! Nikt tu nic nie mówił! Nigdy nie było żadnej białej kobiety! Nie było nigdy żadnej łodzi! Nigdy w ogóle nic się nie zdarzyło!

To rzekłszy szakal machnął parę razy ogonem, jakby chciał nim zatrzeć wszystko w swej pamięci i usiadł poważnie na ziemi.

— Owszem, zdarzyło się wiele różnych wypadków — odrzekł powoli Mugger, dwukrotnie w ciągu jednej nocy zawiedziony w swych chytrych zamysłach co do przyjaciela.

Zaznaczyć jednak należy, że żaden z nich nie żywił do drugiego najmniejszej urazy. Prawo obowiązujące na całym dorzeczu głosi, że wolno zjadać i być zjadany, a szakal przybywał tu po to, by zjadać odpadki z wieczerzy krokodyla.

— Zostawiłem ową łódź w spokoju i popłynąłem w górę rzeki — ciągnął dalej Mugger. — Gdy dotarłem do łąch rzecznych koło Arahu, już tam nie było nieżywych Anglików. Potem nadpłynęło kilku nieboszczyków w czerwonych kaftanach. Nie byli to Anglicy, ale Hindusi i Purbihowie. Potem zaczęli nadpływać inni po pięciu i sześciu naraz... a w końcu, na przestrzeni między Arahem aż poza Agrę, miało się wrażenie, jakoby całe wioski znalazły się pod wodą. Wypływali jeden po drugim z małych rzeczulek, jak płyną pnie drzewne podczas deszczów. Gdy stan wody się podniósł, oni również podnieśli się całymi gromadami z wydm, na których dotąd spoczywali; gdy zaś woda poczęła opadać, fale chwyciły ich za długie włosy i wlokły po polach i kniei. Posuwając się na północ, słyszałem po nocach strzelaninę, w dzień zaś chlupot ciężko obutych stóp ludzkich, przechodzących w bród przez wodę, oraz ten dziwny chrzęst, jaki czynią koła ciężkich furgonów na piaszczystym dnie rzeki. Z każdą falą nadpływał jakiś nieboszczyk. W końcu nawet i mnie począł strach oblatywać i powiedziałem sobie: „Skoro takie rzeczy dzieją się z ludźmi, jakoż zdoła się ocalić Mugger z Mugger Ghaut?”. Poza tym najeżdżały na mnie jakieś łodzie bez żagli, które wciąż gorzały i dymiły, jak dymią czasem łodzie naładowane bawełną... jednakże nie szły bynajmniej pod wodę!

— Aha! — rzekł Adiutant. — Podobne łodzie przyjeżdżają z południa do Kalkuty. Są wysokie i czarne, siekają ogonem wodę i...

— Są trzy razy większe od mojej wioski?... Hę? Te łodzie, które ja widziałem, były białe i niskie, młóciły wodę nie poza sobą, lecz po bokach i nie były większe od łodzi, jakie istnieją *naprawdę*. Napędziły mi one wielkiego stracha, przeto wyszedłem z wody i powróciłem do mej rzeki, ukrywając się w dzień, a nocą podróżując pieszo, o ile nie nawinęła mi się po drodze jaka rzeczulka. Tak powróciłem do mojej wioski, nie spodziewając się zastać nikogo z jej mieszkańców. Ku mojemu jednak zdziwieniu znalazłem wszystko po dawnemu; wieśniacy orali, siali, żęli zboże i pospołu ze swym bydłem chodzili spokojnie po polach.

— A czy było jeszcze co jeść na rzece? — zapytał szakal.

— Więcej niż mi było trzeba. Nawet ja (pomimo że nie żywię się błotem) miałem dość tej strawy; zaczął mnie po trosze napelniać obawą ten ciągły napływ nieboszczyków. Słyszałem, jak we wsi opowiadano, iż wszyscy Anglicy wyginęli... atoli rychło mój lud się przekonał, że ci, którzy głową w dół płynęli z prądem, nie byli Anglikami. Wówczas gromada wiejska doszła do wniosku, że najlepiej będzie nic nie mówić, tylko płacić podatki i uprawiać rolę. Po pewnym czasie rzeka na koniec się oczyściła, a odtąd, jeżeli kto płynął po wodzie, był to sobie (com mógł naocznie stwierdzić) najzwyczajniejszy w świecie

<sup>95</sup>*rab* — niewolnik, sługa.

topielec. Zdobywanie jadła stało się rzeczą trudniejszą, jednakże rad byłem serdecznie z tej odmiany. Małe polowanie od czasu do czasu to rzecz zdrowa i przyjemna, ale... „Nawet krokodyl czasem się nasyci” powiada przysłowie.

— Co za dziwy! — mlaskał językiem szakal. — Dalibóg, że utylłem na samą myśl o takiej obfitości wybornego jadła! Ale jeżeli wolno zapytać, to co porabiał późniejszymi czasy cny Obrońca Nędzarzy?

— Uczyniłem ślub (na Lewą i Prawą Odnogę Wajngangi, dotrzymałem tego ślubowania)... Kłapałem mocno paszczką i powiedziałem sobie, iż odtąd już nigdy nie puszcze się na włóczęgę. Żyłem więc odtąd stale koło *ghaut*, wśród mych poddanych, stróżując im wiernie rok za rokiem. Oni darzą mnie za to taką miłością, że ilekroć obaczą łeb mój wznoszący się ponad wodę, rzucają nań w ofierze wiązanki kaczeńców. Los okazywał się dla mnie nader łaskawy, a cała rzeka darzy wielkim szacunkiem i względami moją słabą i zniedołężniałą osobę. Brak mi tylko...

— Tak, tak! — współczująco zakłapał dziobem Adiutant. — Nie ma takiej istoty, która by była szczęśliwa od dzioba aż do ogona! I czegoż to jeszcze brak wielkiemu Mugerowi?

— Tego białego dzieciątka, które mi się wysliznęło z paszczy — odrzekł Muger z głębokim westchnieniem. — Było wprawdzie maluchne, a jednak zapomnieć go nie mogę. Jestem już stary, ale przed śmiercią pragnąłbym zakosztować jednej jeszcze rzeczy. Wprawdzie Anglicy stąpają ciężko, hałasują, i zachowują się jak głupcy, więc polować na nich nietrudno, atoli... mam w pamięci dawne chwile, przeżyte koło Benaresu, a owo dziecię, jeżeli żyje dotychczas, pewnie też je pamięta. Być może, że przechadza się teraz po brzegu jakiejś rzeki i opowiada, jak to ongi udało mu się wyrwać ręce z zębatej paszczki Muggera z Muger Ghaut. Los był dla mnie zawsze nader łaskawy... jednakże we śnie nieraz mnie prześladuje myśl o tym małym, białym dzieciątku, przechylającym się przez burtę łodzi...

To rzekłszy, ziewnął i z trzaskiem zawarł paszczę.

— Uu-a! — sapnął. — A teraz odpocznię i podumam sobie troszkę... Zachowujcie się cicho, moje dzieci, i uszanujcie mój wiek sędziwy!

Odwrócił się sztywno i powłókł się niezdarne na sam koniec wydmy, szakal zaś i Adiutant schronili się pod drzewo wsparte konarami o cypel przylegający do mostu kolejowego.

— Ten to prowadził życie przyjemne i pełne dostatków! — uśmiechnął się szakal, badawczo przyglądając się spod oka sterczącemu ponad nim ptakowi. — I pomyśleć sobie, że ani razu nie uznał za stosowne powiedzieć mi, czy nie pozostawił dla mnie jakiego kęska na brzegu. Zapomniał (czy nie chciał wiedzieć), że ja przecie ze sto razy donosiłem mu o różnych smakołykach płynących z wodą... Jakże prawdziwe jest przysłowie: „Gdy wyczerpią się nowinki, nikt nie pamięta o szakalu i golibrodzie!”. Ha! Teraz on układa się do spoczynku... Wrrr!

— Jakimże sposobem może szakal pomagać w łowach Mugerowi? — chłodno zauważył Adiutant. — Nietrudno zgadnąć, kto lepiej na tym wyjdzie, gdy duży złodziej zawrze spółkę z małym złodziejaszkiem!

Szakal odwrócił się, zawył boleściwie i już miał się ułożyć pod pochyłym pniem drzewa, gdy nagle drgnął, przypadł do ziemi i zadarł łeb w górę, poglądając skroś przemokłych gałęzi ku krawędzi mostu sterczącej niemal tuż ponad nimi.

— Co się stało? — zapytał Adiutant, rozczapierając z niechęcią jedno skrzydło.

— Czekaj chwilę, a zobaczymy. Wiatr wprawdzie wieje od nas w ich stronę, ale zdaje mi się, że oni... ci dwaj ludzie nie na nas czatują...

— A więc to ludzie? E, to nie mam czego się obawiać. Moje stanowisko daje mi rękojmię bezpieczeństwa. Całe Indie wiedzą, że jestem święty.

Adiutant, jako wyborny a bezpłatny czyściciel ulic, ma wszędzie wstęp wolny i nikt go nie prześladuje. Wiedział o tym nasz ptak i nigdy nie uciekał przed ludźmi.

— Ja zaś niewart jestem tego, by we mnie strzelano... chyba co najwyżej starym trzewikiem! — szepnął szakal i począł znów nadłuchiwać. — Ho, ho! Co to za kroki! Słyszysz? Już ja się znam dobrze na ludzkim obuwiu! To nie skórzane ciżmy krajowców, ale podkute buty białych ludzi! Słuchaj, znowu! Żelazo szczeka o żelazo... To strzelba!

Przyjacielu, zdaje mi się, że ci hałaśliwi, stukający obcasami, głupi Anglicy przyszli pogwarzyć z Muggerem!

— Przestrzeń go tedy<sup>96</sup>! Wszak niedawno ktoś podobny do wygłodzonego szakala nazywał go Obrońcą Nędzarzy!

— Niechże mój kuzyn broni sam swej skóry. Przecież zwierzał mi się tyle razy, że nie obawia się białych ludzi. Ci zaś dwaj są bez wątpienia białymi ludźmi. Żaden wieśniak z Mugger Ghaut nie ośmieliłby się dybać na niego. Patrz! Mówiłem ci, że to strzelba. Ho, ho! Jeżeli szczęście dopisze, to pożyjemy się jeszcze przed wschodem słońca. On trochę niedosłyszysz, gdy wyjdzie z wody, a poza tym, tym razem ma sprawę nie z kobietą.

Na poręczy mostu błysnęła w księżycowym świetle jasna lufa strzelby. Mugger leżał na wydmy cicho — na równi z własnym cieniem — rozstawił nieco łapy przednie, wsunął pomiędzy nie olbrzymie łebisko i chrapał... jak krokodyl.

Na moście głos jakiś szepnął:

— Strzał zaiste osobliwy... prawie prostopadły... ale pewny! Cel wyraźny jak chałupa. Najlepiej będzie trzasnąć go poniżej głowy. Cóż to za ogromna bestia! Wieśniacy wściekną się, gdy go zabijemy. Jest to przecie *deota* (bóstwo opiekuńcze) okolicy!

— Gwiżdżę na nich! — odpowiedział drugi głos. — Ten potwór porwał mi piętnastu najlepszych kulisów<sup>97</sup>, gdyśmy ten most stawiali. Trzeba już raz z nim skończyć. Całymi tygodniami uganiałem się za nim w łodzi. Wygarnę do niego z obu łuf, a ty zaraz potem wal z Martiniego<sup>98</sup>.

— Pamiętaj, że ta pukawka kopie tęgo. Podwójna czwórka! Z takim kalibrem nie ma żartów!

— Zaraz się o tym przekona sam krokodyl... Bęc go!

Rozległ się grzmot podobny do huku armatki (największy kaliber strzelb, używanych na słonie, mało się różni od działka artyleryjskiego) i zabłysły dwie smugi płomienia. Zawtórował tej palbie przenikliwy trzask Martiniego, którego długie kule nic sobie nie robią z pancerza krokodyla. Ale pociski eksplodujące dokonały dzieła. Jeden z nich trafił Muggera tuż poza szyją, o parę cali na lewo od kręgosłupa, drugi zaś rozpękł się nieco poniżej, u nasady ogona. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto zraniony śmiertelnie krokodyl potrafi przyczołgać się na głębię i uciec. Ale Muggerowi z Mugger Ghaut już się to nie udało. Był dosłownie rozbity na trzy części. Ledwie zdołał poruszyć łbem — i legł plackiem na ziemi. Już nie żył.

Ale huk wystrzału powalił na ziemię również i szakala. Nieborak nigdy w życiu nie czuł się tak nieswojo.

— Ach, żeby to jasne gromy!... Ach, żeby to jasne gromy!... — jęczał żałośnie. — Czy to zwała się z mostu ta straszna istota, która wlecze za sobą kryte wozy po moście?

— E, to tylko strzelba! — nadrabiał miną Adiutant, choć dygotało na nim każde piórko. — Nic innego, tylko strzelba. Mugger nie żyje! Zginął marnie! Patrz, oto nadchodzą biali ludzie.

Dwaj Anglicy zbiegli z mostu i dotarli brodem do wydmy. Tu zatrzymali się, ze zdumieniem patrząc na ogromne cielsko zwierza. Jeden z krajowców odrąbał siekierą olbrzymi łeb, który aż trzech ludzi musieli taszczyć po zdziarach mielizny. Jeden z Anglików (był nim inżynier, który most budował) pochylił się nad tym łbem i zajrzał mu w zęby.

— Ostatni raz zdarzyło mi się trzymać rękę w paszczy krokodyla, gdy miałem lat pięć — odezwał się. Jechałem wówczas łodzią w stronę Mungeru. Byłem, jak mnie nazywano „dzieckiem buntu sipajów”. Nieszczęśliwa moja matka była ze mną w łodzi... Późniejszymi czasami opowiadała mi niejednokrotnie, jak wpakowała w łeb bestii pięć kulek ze starego pistoletu, pozostałego po nieboszczyku mym ojcu...

— Ho, ho! A ty się pomściłeś na samym naczelniku rodu!... Nic to, że ci przy tym pociekło trochę krwi z nosa... przekonałeś się, że pukawka kopie tęgo, jak koń narowisty! Hola, wioślarze! Wyciągnijcie ten łeb na brzeg! Wygotujemy czaszkę, bo skóra podarła się na strzępy i nie warto jej brać ze sobą. A teraz chodźmy spać. Prawda, że opłaciło się czuwanie całonocne?

<sup>96</sup>tedy — zatem, w takim razie, więc.

<sup>97</sup>kulis — tragarz.

<sup>98</sup>Martini — tu: marka broni palnej.

Rzecz ciekawa, że tę samą uwagę powtórzyli szakal i Adiutant w niecałe trzy minuty po odejściu ludzi.

#### PIEŚŃ FALI

Raz fala się ku brzegom wspięła,  
ubrana w złoty blask zachodu;  
dziewczyny białą dłoń musnęła,  
idącej szlakiem brodu.

Wstrzymaj swą nóżkę, dziewczę żwawe,  
boć nie czas jeszcze na przeprawę!  
„Zaczekaj chwilę, dziewczko luba —  
szepnęła fala — jam twa zguba!”

„Ja śpieszę, bo mnie miły woła!...  
Miałabym z głazu serce chyba...  
Nie straszą mnie na wodzie koła:  
toż się plusnęła ryba!”

To śmierć się czai po kryjomu!  
Ach, czekaj na przybycie promu!  
„Zaczekaj chwilę, dziewczko luba —  
szepnęła fala — jam twa zguba!”

„Śpieszę, bo wzywa mnie kochanek  
nie mogę wzgardą mu uchybić!...”  
Fala za falą — niby wianek —  
objęły młodą kibić...

O dziewczę! Wierne twe serduszko,  
lecz brzegu już nie dotkniesz nóżką!  
Pomknęła fala (trudna sprawa!)  
fala tak chyża — fala krwawa!...

#### *Ankus* KRÓLEWSKI

Cztery są rzeczy nienasycone —  
każda z nich łupu wciąż łaknie i czeka:  
gardziel sępa i paszcza szakala,  
ręce małpy i oczy człowieka.

„Przysłowie puszczańskie”

Gdy olbrzymi Skalny Pyton Kaa już może po raz dwóchsetny od urodzenia zmienić skórę, Mowgli, który nigdy nie zapomniał, że jedynie dzięki niemu ocalił życie podczas pewnej nocnej przeprawy na obszarze Chłodnych Legowisk (być może, że sobie ją przypominacie), przyszedł złożyć mu życzenia. Zmiana skóry wprawia węża zawsze w zły humor i przygnębienie, trwające tak długo, aż nowa skóra nie nabierze blasku i pięknego wyglądu. Kaa już nigdy nie podrwiwał sobie z Mowgliego — owszem, za przykładem innych Plemion Dżungli uznał w nim władcę kniei i znosił mu wszelkie nowiny, jakich, rzecz prosta, wiele musiał się nasłuchać wąż tak długi i długowieczny. Nikt nie mógł iść w zawody z wężem Kaa, gdy szło o znajomość życia tak zwanej średniej dżungli — tego życia, co toczy się tuż nad ziemią albo i pod nią, wśród głazów, nor i pni drzewnych. To, czego wąż Kaa nie znał, dałoby się spisać na najmniejszej z jego łusek.

Pewnego popołudnia Mowgli siedział wśród olbrzymich zwojów jego cielska, nawijając na palec zrzuconą świeżo przezeń, postrzępioną i podartą skórę, która pokręconymi

pasami zwiślała wszędy po skałach. Kaa z wielką uprzejmością podwinął się pod szerokie, gołe plecy Mowgliego, tak iż chłopak prawdziwie wypoczywał w tym żywym fotelu.

— Wybornie odzlała! — szepnął do siebie Mowgli, bawiąc się starą skórą. — O, nawet łuski z oczu wybornie odeszły! Ależ to zabawna rzecz widzieć u czyichś nóg nakrycie jego głowy!

— Co znowu! Gdzieś ty u mnie widział nogi? — nadał się Kaa. — A ponieważ cały mój ród zwykł zrzucić z siebie stare odzienie, przeto nie widzę w tym nic zabawnego. Czy tobie twoja własna skóra nie wydaje się czasem zastarzała i szorstka?

— Owszem, ale wtedy idę się wykąpać, mój Płaskogłowy! Choć i to prawda, że podczas wielkich upałów rad bym wyskoczyć ze skóry (oczywiście, bez bólu) i pohasać sobie bez tej powłoki.

— Ja się też kąpię, ale swoją drogą zmieniam też skórę. Jakże ci się podoba moja nowa odzież?

Mowgli powiódł ręką po skórnej szachownicy olbrzymiego grzbietu.

— Żółw ma grzbiet twardszy, ale mniej wzorzysty — rzekł tonem znawcy. — Żaba, moja imiennica, jest bardziej nakrapiana, ale za to mniej twarda. Skóra twoja wygląda wcale ładnie; jej deseń przypomina kropki w kielichu płomiennej lilii.

— Przydałaby jej się woda. Nowa skóra nabiera pełnej barwy dopiero po pierwszej kąpieli. Chodźmy się wykąpać.

— Zanioś cię! — rzekł Mowgli i nachylił się ze śmiechem, by podnieść z ziemi najgrubszą część węzowego kałduna. Bezowocny był to wysiłek; z równym skutkiem mógłby kto kusić się o podniesienie rury wodociągowej dwudziestostopowej<sup>99</sup> długości. Kaa leżał spokojnie, sycząc z cichego zadowolenia. Potem rozpoczęli zwykłą zabawę wieczorną. Stanęli przeciw sobie — chłopak, kipiący warem młodocianej tężyzny, i pyton, odziany w nową, wspaniałą skórę. Był to prawdziwy popis sił oraz bystrości wzroku. Ma się rozumieć, że Kaa, gdyby tylko chciał pokazać, co umie, potrafiłby zmiażdżyć dziesięciu Mowglich za jednym zamachem; atoli stare wężyisko zabawiało się ostrożnie i nigdy nie rozpełtało nawet dziesiątej cząstki swej mocy. Gdy Mowgli był już na tyle silny, by móc znieść szorstką nieco musztrę, Kaa nauczył go tej zabawy, która nadawała wprost niezwykłą gibkość i zwinność muskułom chłopca. Niekiedy ruchliwe zwoje ciała węzowego oplatały zapaśnika aż niemal po samą szyję, on zaś usiłował oswobodzić jedną przynajmniej rękę i złapać pytona za gardło. Wówczas Kaa błyskawicznie usuwał się gibkim ciałem. Mowgli, szybko przebijając nogami, starał się przydeptać pętlę olbrzymiego ogona, który wił się wstecz, szukając po omacku jakiego pnia lub skały. Najpierw kołysali się przez czas jakiś, to w jedną, to w drugą stronę, głowa przy głowie, wzajemnie wypatrując dogodnego chwytu — aż w końcu ta piękna, do posągu podobna grupa zmieniła się w kłębowisko czarnożółtych zwojów oraz szamoczących się ramion i odnóży, to tarzających się po ziemi, to znów podnoszących się w górę.

— A masz! A masz! — syczał Kaa, wykonując łbem zręczne poruszenia, którym nawet zwinna dłoń Mowgliego nie umiała zapobiec. — Patrz, jużem cię tu ugodził, Braciszku! I jeszcze raz! I jeszcze raz! Co? Zdrętwiały ci ręce? Masz jeszcze raz!

Zapasy te zawsze kończyły się w sposób jednaki, celnie wymierzonym, nagłym i potężnym rzutem głowy, który przewracał chłopca na ziemię, zmuszając go do wykonania kilku koziółków. Mowgli nigdy nie zdołał sobie wyćwiczyć oka w tym stopniu, by umiał w porę ustrzec się tego ciosu. Zresztą Kaa wyraźnie mu oświadczył, że byłyby to stracone zachody. Okazało się to i tym razem.

— Szczęśliwych łowów! — fuknął na koniec Kaa i w tejże chwili chłopak wyleciał jak z procy, na odległość może sześciu sążni<sup>100</sup> od miejsca walki. Podniósł się z ziemi, śmiejąc się i sapiąc na przemiany; w garści i za paznokciami pełno miał ziemi i trawy. Trzeba było się obmyć z tego błota i znoju — przeto ruszyli we dwójkę do miejsca, gdzie mądre wężyisko lubiło zażywać kąpieli. Było to głębokie, czarne jezioro, okolone skałami i urozmaicone zwalem pni drzewnych. Mowgli wśliznął się doń bezszelestnie, jak przystało na mieszkańca puszczy, i przepłynął je w poprzek; wychynął z niego głowę, również bez szelestu, po czym wykonał zwrot w tył, trzymając ręce za głowę, przygląda-

<sup>99</sup>dwudziestostopowy — mierzący 20 stóp; stopa: jednostka miary długości, wynosząca ok. 30,5 cm.

<sup>100</sup>sążeń — daw. jednostka miary długości, wynosząca ok. 180 cm.

jąc się księżycowi wschodzącemu sponad skał i mącąc stopą odbicie jego na wodzie. Do szlifowanego diamentu podobna głowa pytona iście jak diament przekrajała szklistą tafłę wodną i spoczęła na ramieniu chłopca. Leżeli tak jakiś czas spokojnie, moknąc do syta w chłodnej wodzie.

— Co za rozkosz! — przemówił na koniec Mowgli sennym głosem. — Ludzie, jak sobie przypominam, kładli się o tej porze na twarde kłody drzewa we wnętrzu swych glinianych paści, zagradzali starannie drogę wszelkim rzeźwiejszym powiewom powietrza, naciągali sobie stęchłe wełniane okrycia na ociężałe głowy i śpiewali złowrogo przez nosy. W dżungli daleko przyjemniej!

Ze skały ześliznął się w tej chwili zwinny wąż kobra, napił się wody, rzucił im pozdrowienie: „Szczęśliwych łowów!” — i oddalił się.

— Ps-s-t! — syknął Kaa, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał. — A więc masz w dżungli wszystko, czego dusza zapagnie, Mały Bracie!

— O, nie! — zaśmiał się Mowgli. — Ot, dobrze by było, gdybym co miesiąc mógł zapolować na nowego, równie potężnego Shere Khana... i to własnoręcznie, bez odwoływania się do pomocy bawołów! Pragnąłbym też, by słońce świeciło w porze deszczowej, a deszcze przysłoniły słońce w czasie skwarów letnich. Cieszyłbym się też, gdybym nigdy nie wracał z próżnymi rękami, skoro mam ochotę upolować kozła; nie zadowala mnie też kozioł, gdy rad bym upolować jelenia, a nie wystarcza mi jeleni, gdy celem mych łowów jest *nilghai*. Ale zdaje mi się, że pomiędzy nami nie ma nikogo, kto by nie doznawał uczuć podobnych.

— Czyż doprawdy nie zyczysz sobie nic więcej? — jął dopytywać się wąż-olbrzym.

— Czegóż bym mógł sobie jeszcze życzyć? Wszak mam dżunglę i łaskę dżungli. Czyż można marzyć o czymś więcej pomiędzy wschodem i zachodem słońca?

— Ale... ale... kobra mi mówił... — zaczął Kaa.

— Jaki znów kobra? Ten, który odszedł przed chwilą, nie mówił nic... Zajęty był polowaniem.

— Nie, innego kobrę mam na myśli.

— Czy często się wdajesz z jadowitym plemieniem? — spytał Mowgli. — Ja ustępuję im z drogi. Kobry w kłach swoich noszą śmierć, a to rzecz wcale nie przyjemna... zwłaszcza że one są tak małe i dostrzec je trudno. Ale jakież to gad z tobą rozmawiał?

Kaa obrócił się z wolna w wodzie, jak parowiec na morzu, i rzekł:

— Przed trzema czy też czterema miesiącami polowałem na obszarze pamiętnych ponoć dla ciebie Chłodnych Legowisk. Zwierzyna, którą ścigałem, uciekła z wrzaskiem na cysterny, chroniąc się do domu, który kiedyś rozwalilem dla ciebie, i tam zapadła się pod ziemię.

— Ależ mieszkańcy Chłodnych Legowisk nie żyją w norach! — przerwał Mowgli, który wiedział, że Kaa mówi o małpach.

— Ta istota nie żyła tam, ale... jej właśnie chodziło o życie — odparł Kaa, a język drgał mu jakoś dziwnie. — Wpadła w norę ciągnącą się bardzo daleko. Poszedłem w ślad za zbiegiem i niebawem miałem już w gębie zdobycz. Przespawszy się po tych łowach, jałem posuwać się naprzód.

— Pod ziemią?

— Nie inaczej. W końcu zetknąłem się z jakimś Białym Kapturem, który zaczął opowiadać o różnych, nieznanym mi wpierych dziwach i pokazał wiele rzeczy, jakich nigdy przedtem nie miałem sposobności oglądać.

— Czy nową zwierzynę? Byłyż to pomyślne łowy? — spytał Mowgli, odwracając się szybko na bok.

— Nie była to zwierzyna... o, nie! Połamałbym sobie na tym wszystkie zębiska!... Atoli Biały Kaptur opowiadał mi (a mówił tak, jak gdyby naprawdę znał się na sprawach ludzkich), że ludzie nie wahają się dać życia, byle tylko mogli zobaczyć te dziwy.

— Chodźmy więc je zobaczyć — rzekł Mowgli. — Pamiętam, że i ja kiedyś byłem człowiekiem.

— Wolnego! Wolnego! Wszak nic innego, tylko pośpiech zgubił Żółtego Węża, co pożerał słońce... Ale do rzeczy... Otóż wiedliśmy wówczas pod ziemią dłuższą rozmowę, w czasie której wspomniałem i o tobie, nazywając cię człowiekiem. Na to odezwał się Biały Kaptur (a jest on tak stary jak dżungla): „Wiele to już czasu upłynęło, odkąd nie

widziałem człowieka. Poproś go, by tu przyszedł i przyjrzał się stosom tych rzeczy, za których najmniejszą cząstkę niejedyn człowiek gotów położyć swe życie”.

— E, to na pewno jakaś znowu zwierzyna... Z drugiej strony wiem jednak, że jadowite stworzenia nie odznaczają się uprzejmością i nie zwykły nam donosić, że zwierzyna znajduje się w pobliżu.

— Bo też nie jest to bynajmniej zwierzyna. To... to... to... ja sam nie wiem, co to takiego.

— Chodźmy więc tam! Nigdy jeszcze nie widziałem Białego Kaptura, a chciałbym też zobaczyć i te inne dziwowiska. Czy on na nie poluje?

— Gdzie tam! Przecież to są przedmioty martwe. On powiada, że jest ich strażnikiem.

— Aha! To tak jak wilk pilnuje mięsa, które zawlókł do swego leża. Chodźmy!

Dopłynął do brzegu, wytarzał się w trawie, by się wysuszyć, i ruszyli we dwójkę do Chłodnych Legowisk — owego opustoszałego miasta, o którym jużście pewno słyszeli. W tym to czasie Mowgli wcale już nie lękał się małp, natomiast małpy okazywały przed nim śmiertelną trwogę. Jak było, tak było, dość, że w ową porę Plemię Małp grasowało w dżungli, przeto Chłodne Legowiska, oblane poświatą miesięczną, ciche były i puste. Kaa wdarł się na taras, gdzie stały zwaliska altany królowej, przesunął się po rumowisku i zapuścił się w zasypaną do połowy klatkę schodową, która wiodła z środkowej komnaty pod ziemię. Mowgli rzucił hasło wężom:

— Ja i ty jes-s-steś-s-śmy z-z-z jednej krwi! — i jął czołgać się na czworakach w ślad za pytonem. Czołgali się przez czas dłuższy spadzistym korytarzem, który skręcał kilkakrotnie w różne strony, aż w końcu doszli do miejsca, gdzie korzenie jakiegoś wielkiego drzewa, wyrastające o trzydzieści stóp nad ich głowami, wyważyły olbrzymi głąz ze ściany. Przeleźli przez ten otwór i znaleźli się w ogromnej komnacie, której kuliste sklepienie było również nadwerężone korzeniami drzewnymi, tak iż przez szczeliny przesączało się w ciemną głąb tu i ówdzie światło drobnymi skrawkami.

— Nie ma co mówić, bezpieczna nora — rzekł Mowgli, podnosząc się na nogi — jednakże za daleko położona, by w niej bywać codziennie. Ale cóż tu jest godnego widzenia?

— A ja to nic? — ozwał się głos jakiś w głębi komnaty i Mowgli spostrzegł jakąś białą zjawę, wyłaniającą się z wolna z mroku. Jął przyglądać się jej ruchom, coraz lepiej rozpoznawał jej kształty i już niebawem miał przed oczyma olbrzymiego kobrę, największego, jakiego zdarzyło mu się widzieć w życiu. Gad ten mierzył bez mała osiem stóp długości, zaś barwa jego skóry, wyblakłej wskutek długiego przebywania w ciemności, przypominała odcień starej kości słoniowej. Nawet okulary na wypuszczonym kapturze spłowiwały już, przybierając kolor bladej żółty. Oczy gorzały jak rubiny, przydając osobliwego uroku dziwnej postaci.

— Pomyś-s-łnych łowów! — zasyczał Mowgli, który nie rozstawał się nigdy ani z nożem, ani z dobrym wychowaniem.

— Co słyhać w mieście? — odezwał się Biały Kobra, nie odpowiadając na jego pozdrowienie. — Co słyhać w wielkim, warownym mieście... w mieście stu słoniów<sup>101</sup>, dwudziestu tysięcy koni i niezliczonych gromad bydła... w mieście Króla Dwudziestu Królów? Słuch mi stępieł i już od dawna nie słyszałem gongów wojennych.

— Nad naszymi głowami szumi knieja<sup>102</sup> — odrzekł Mowgli. — Ze słoni znam tylko Hathiego i jego trzech synów. Co się tyczy koni, było ich trochę w wiosce, ale wszystkie powybiła Bagheera... A co to jest król?

— Mówiłem ci — szepnęła Kaa do kobry — mówiłem ci już cztery miesiące temu, że twoje miasto z dawna przestało istnieć.

— O, nie! Moje miasto... miasto leśne, którego bram strzegą baszty królewskie... to miasto zginąć nie może. Zbudowano je, jeszcze zanim ojciec mego ojca wylął się z jaja, przeto trwać będzie i wtedy, gdy synowie mych synów zbieją jak ja. Tak! Miasto to wznosił Salomdhi, syn Chandrabii, wnuk Viyei, a prawnuk Yegasuriego, za dni Bappa Rawala. Czyją jesteście trzodą?

<sup>101</sup>słoniów — dziś popr. forma: słoni.

<sup>102</sup>knieja — puszcza, las, gąszcz leśny.

— Zbiłem się doszczętnie z tropu — bąknął Mowgli, zwracając się do Kaa. — Nie rozumiem jego mowy.

— Ja również. On jest bardzo stary. Ojcie Okularników, tu wszędy wokół jest jeno knieja, jako była od początku.

— A zatem — zapytał Biały Kobra — kimże jest ten oto, który siedzi bez trwogi przede mną, nie zna imienia króla, a przemawia przez usta ludzkie naszą mową? Któż jest ta istota uzbrojona nożem, a przemawiająca wężowym językiem?

— Nazywają mnie Mowgli — brzmiała odpowiedź. — Pochodzę z dżungli. Wilki są moimi współplemięncami, a obecny tu Kaa jest mi bratem. A kimże ty jesteś, Ojcie Okularników?

— Jestem strażnikiem skarbu królewskiego. Tę skalę ponad mną<sup>103</sup> zbudował radża Kurrum za lat owych, gdy jeszcze miał ciemną skórę... iżbym groził śmiercią każdemu, kto by tu się zakradł w złodziejskich zamiarach. Potem przez otwór zniesiono tu skarby i posłyszałem śpiewy mych opiekunów, braminów.

— Hm! — mruknął Mowgli. — Miałem już raz do czynienia z braminem, gdy przebywał w ludzkiej gromadzie i... co wiem, to wiem... Tylko patrzeć, a skądś przylezie jakieś lichy!

— Pięć razy od czasu, gdy jestem strażnikiem, podnoszono kamień, ale zawsze w tym celu, ażeby dosypać skarbów, nie zaś ujmować. Nie ma bogactw, które by się mogły mierzyć z tymi oto bogactwami, z tym skarbem stu królów. Atoli wiele, wiele czasu upłynęło, odkąd ostatni raz poruszono głaz nade mną, przeto mi się wydaje, iż w moim mieście wygasła pamięć o skarbie.

— Miasta już nie ma. Popatrz no w górę. Oto tam widać korzenie wielkich drzew, rozsadzających kamienie. Drzewa nie zwykły rosnać pospołu z ludźmi — przekonywał go Kaa.

— Po dwakroć i trzykroć ludzie znaleźli drogę do tego miejsca — odrzekł Biały Kobra gniewnie — atoli nie odzywali się słowem, póki nie spotkali się ze mną, idąc po omacku w ciemności; wówczas wydawali krótki okrzyk... i nic więcej... A wy przyszlście tu sobie we dwójkę. Człowieku i wężu, i staracie się mnie omamić, bając mi, że miasto moje już nie istnieje i że skończyły się dni mego stróżowania. Ludzie zmieniają się nieco z wiekiem, ale ja nie zmieniam się nigdy! Póki nie podniesie się kamień, póki nie wejdą tu bramini, śpiewając znane mi pieśni, póki nie nakarmią mnie ciepłym mlekiem i nie wyniosą mnie z powrotem na światło dzienne, póty ja, ja... ja... i nikt inny... jestem strażnikiem skarbu królewskiego! Powiadacie, że miasto wymarło i tu oto widać odziumki drzew? Schylcież się więc i zabierzcie, co się wam podoba. Na całej ziemi nie ma skarbu jako ten. Człowiecze o wężowym języku, jeżeli ujdiesz żyw tą drogą, którą tu przybyłeś, tedy ukorzą się przed tobą królowie i będą sługami twymi!

— Znowu straciłem trop! — zauważył chłodno Mowgli. — Czyżby jaki szakal dogrzebał się aż tutaj i pokąsał tego Białego Kapcana... chciałem powiedzieć, Kapturnika? Wściekła się doprawdy ta gadzina! Ależ, Ojcie Okularników, ja tu nie widzę nic takiego, co by warto było zabrać!

— Na bogów słońca i księżyc! Toż-ż-ż ten s-s-smyk na ś-ś-śmierć osz-szalał! — syknął kobra. — S-s-spojrzyj tylko, boć oczom twoim dano oglądać s-s-skarby, jakich nie widział żaden z ludzi! Dopuszczę cię do tej łas-s-ski, zanim zamkną się twoje olś-ś-śnione oczy!

— Niedobrze by na tym wyszedł, kto by w dżungli wspominał o swej łasce Mowgliemu — wycedził chłopak przez zęby — ale, jak mi wiadomo, ciemność zmienia całą postać rzeczy. Ano, przyjrżę się, skoro tak ci na tym zależy.

Jął wytrzeszczonymi oczyma rozglądać się po całej komorze, a potem podniósł z ziemi garść jakichś świecidełek.

— Aha! — ozwał się. — To mi jakby przypomina owe fatalaszki, którymi zabawiano się w Ludzkiej Gromadzie; cała różnica w tym, że tamte były brązowe, te zaś żółte.

Rzuciwszy na ziemię złote monety, ruszył dalej. Posadzka komory była zasłana na kilka stóp głębokości pieniędzmi złotymi i srebrnymi, które wysypawszy się z przetłalych worów, z czasem rozsuly się po ziemi warstwami, jak układa się piasek podczas odpływu

<sup>103</sup>ponade mną — dziś: nade mną.



wody. Pomędzy nimi, nad nimi i spod nich, niby uwięzłe w piasku szczęty okrętowe, sterczały nabijane turkusami i karbunkulami *howdah*<sup>104</sup> z dutowanego srebra, brzożone płytkami kowanego złota. Były tam palankiny i lektyki do przenoszenia monarchiń, oprawione w srebro i wykładane emalią, o drążkach z rękojeściami agatowymi i bursztynowych frędzlach. Były i złote świeczniki, obwieszane dziurkowanymi szmaragdami, które migotały na każdym z ramion. Były srebrne płaskorzeźby na pięć stóp wysokie, przedstawiające nieznaną jakichś bożków z drogimi kamieniami zamiast oczu. Były wyzłacane kolczugi, naszywane po bokach paciorkami spróchniałych już i szerniałych ziarenek roślinnych. Były szyszaki grzebieniaste okolone wianuszkami krwistych rubinów; były tarcze z laki, szylkretu i skóry nosorożca, okute listwami i guzami z czerwonego złota i zdobne szmaragdami po krawędzi; były wetknięte w pochwę miecze o brylantowych rękojeściach, sztylety i noże myśliwskie; były złote ofiarne misy i warząchwie, przenośne ołtarzyki o niewidzianych nigdy kształtach; były agatowe czarki i bransolety; były kadielnice, grzebienie, słoiki z wonnościami, henną i proszkiem do czernienia rzęs, suto ozdobione złotem; pierścionków, kolczyków, naramiennic, czepców kosztownych i przepasek było wprost bez liku; były też trzy, na siedem palców szerokie, sznury szlifowanych diamentów i rubinów oraz drewniane skrzynie, trzykrotnie okute żelazem, w których drewno zetlało już na proch, odsłaniając znajdujące się we wnętrzu stosy nieszlifowanych szafirów, opali „kocich oczu”, diamentów, szmaragdów i granatów.

Biały Kobra mówił prawdę. Żadnymi pieniędzmi nie dałoby się opłacić ani cząstki tego skarbu, co tu się nagromadził od wieków jako plon wielu handlów, podatków, wojen i grabieży. Już sam zapas bitej monety przerastał wszelką cenę, a cóż dopiero mówić o złożach drogich kamieni! Dość powiedzieć, że waga nieobrobionego złota i srebra dosięgała dwustu albo i trzystu ton. W dzisiejszych Indiach każdy władca tubylczy, choćby najuboższy, posiada skarb, który wciąż się pomnaża; choć zdarza się, że któryś z tych oświeconych książąt wyprawi czterdzieści lub pięćdziesiąt zaprzężonych w bawoły wasągów<sup>105</sup> naładowanych srebrem, by zmienić je w banku na rządowe banknoty, to jednak większość radzów woli przechowywać w skrytości zarówno swój skarbiec, jak też wiadomość o nim.

Atoli<sup>106</sup> Mowgli, jak łatwo zgadnąć, nie rozumiał wcale, do czego służą te wszystkie świecidła. Początkowo przypadły mu do gustu noże, rzucił je jednak niebawem, gdy przekonał się, że nie mają tej wagi, co jego nóż własny. W końcu wszakże, na przodku *howdah*, zagrzebanego do połowy w stosie pieniędzy, znalazł coś takiego, co mu się spodobało. Był to długi na dwie stopy *ankus*, czyli bodziec używany na słonie — podobny nieco do małego bosaka. Jego szpic był z jednego błyszczącego rubinu, a o jakie osiem cali poniżej rękojeść była otoczona zwartym kręgiem nie szlifowanych turkusów, dających dłoni dostateczne oparcie. Dolna krawędź była z agatu, ozdobionego wieńcem floresów, w których listki były ze szmaragdów, a kwiecie z rubinów osadzonych w chłodnym, zielonym kamieniu. Resztę rękojeści stanowił trzonek z kości słoniowej, natomiast samo żeleźce — zarówno ostrze, jak i krzywik — było ze stali napuszczanej złotem i okrytej rysunkami przedstawiającymi łowy na słonie. Te właśnie rysunki przykuły uwagę Mowgliego, który zauważył, że mają one coś wspólnego z jego przyjacielem Hathim.

Biały Kobra szedł ślad w ślad za nim.

— Czy nie warto umrzeć, by posiadać rzecz taką? — zapytał. — Czyż nie wyświadczyłem ci wielkiej łaski?

— Nie wiem, o co ci chodzi — odrzekł Mowgli. — Te przedmioty są twarde i zimne, i nie nadają się do jedzenia. Atoli tę drobnostkę — to mówiąc, podniósł *ankus* — pragnąłbym wynieść stąd i obejrzeć lepiej w świetle słonecznym. Powiadasz, że wszystko, co tu się znajduje, należy do ciebie. Czy więc nie podarujesz mi tej jednej rzeczy? Przyniosę ci za to parę żab do jedzenia.

Biały Kobra aż się zatrzęsł ze złośliwej uciechy.

— Rozumie się, że ci to podaruję — odpowiedział. — Podaruję ci wszystko, co tu się znajduje... póki stąd nie odejdziesz.

<sup>104</sup>*howdah* — palankin; zadaszone siedzisko mocowane na grzbiecie słonia, niekiedy mające postać małego pokoju.

<sup>105</sup>*wasąg* — wóz czterokołowy, odkryty, używany do przewozu osób i bagaży.

<sup>106</sup>*atoli* (daw.) — jednak; spójnik oznaczający przeciwstawienie, kontrast.

— Ależ ja już odchodzę. W tej norze jest ciemno i chłodno, a mam ochotę zabrać do dżungli ten kolczasty przedmiot.

— S-s-spójrz, co leży koło twej s-s-stopy!

Mowgli sięgnął ręką i podniósł z ziemi jakiś przedmiot biały i gładki.

— To czaszka ludzka — rzekł spokojnie. — A tam leżą jeszcze dwie inne.

— Ci ludzie przyszedli tutaj przed wieloma laty, by zabrać s-s-stąd s-s-skarb. Ja przemówiłem do nich w ciemności, a oni spoczęli cicho... na wieki.

— E, na co mi znów byłby potrzebny ten skarb, jak ty go nazywasz? Jeżeli pozwolisz mi zabrać stąd ten bodziec, to życzę ci szczęśliwych łowów. Jeżeli nie pozwolisz, to również niech ci służą szczęśliwe łowy! Nie mam zwyczaju walczyć z Jadowitym Plemieniem, a przy tym nauczono mnie Czarnoksięskiego Zaklęcia, używanego przez wasze Plemię.

— Tutaj obowiązuje tylko jedno Czarnoksięskie Zaklęcie: moje!

Kaa z rozgorzałymi oczyma rzucił się przed siebie.

— A któż to mnie prosił, żeby mu s-s-sprowadzić człowieka? — syknął.

— Oczywiście ja! — zaseplenił stary kobra. — Już-ż-ż dawno nie zdarzyło mi się s-s-spotkać człowieka... i to jeszcze człowieka, co by się wys-s-sławił naszą mową!

— Ależ ani słowem nie wspominaliśmy o łowach. Jakoż teraz wrócę do dżungli i wyznam, iż-ż-ż wydałem go na ś-ś-śmierć oczywistą? — nadąsał się Kaa.

— Ja nigdy nikogo nie uprzedzam o łowach. Co się zaś tyczy tego, jak masz wrócić do dżungli... patrz, oto tu jest dziura w ścianie... A teraz ucisz się, opasły małpożerco! Wystarczy jeno, bym tknął twego karku, a puszcza nie ujrzy cię już więcej. Żaden człowiek, który tu wszedł, nie wyszedł stąd cało! Jestem strażnikiem skarbcza królewskiego grodu.

— Ależ powiadam ci, biała glis-sto żyjąca w ciemnościach, że już nie ma ani króla, ani mias-s-sta! — fuknął Kaa. — Wszędy<sup>107</sup> wokoło jest dżungla.

— Skarbiec jeszcze pozostał. Ale jakoś sobie poradzimy! Zaczekaj chwilę, s-s-skalny wężu, i przypatrz się, jak nam ten s-s-smyk zaraz poskacze. Mamy tu dos-s-syć miejsc-s-s-sca do wyścigów. Życie każdemu jes-s-s-t mile! Pohas-s-saj s-s-sobie s-s-serdeńko, mój chłopczysiu żwawy! Hej, w s-s-skok!

Mowgli położył spokojnie rękę na głowie pytona i szepnął:

— Ta biała stwora miała widocznie dotychczas do czynienia tylko z członkami Ludzkiej Gromady, ale nie wie jeszcze, ktom ja zacz<sup>108</sup>! Skoro się domaga łowów, zaraz będzie je miała!

To rzekłszy, jednym ruchem podniósł wżwyz obwisły dotąd brzeszczot *ankusa* i cisnął go przed siebie. Pocisk ugodził kobrę tuż pod zgrubieniem w tyle głowy i przeszedł na wylot, przytwierdzając gada do drzwi komnaty. W mgnieniu oka Kaa całym swym ciężarem przytłoczył wijące się cielsko przeciwnika, obezwładniając je od ogona po sam kaptur. Łeb, sterczący na sześć cali ponad kapturem, miotał się zaciekle to w prawo, to w lewo, a ślepią gorzały krwawym blaskiem.

— Dobij! — szepnął Kaa widząc, że Mowgli sięga do noża.

— Nie! — odrzekł Mowgli, obnażając ostrze. — Nie będę nigdy zabijał, o ile mnie do tego głód nie zmusi. Ale przypatrz no się, mój Kaa.

Uchwycił kobrę poniżej kaptura, otworzył mu przemocą paszczę nożem i odsłonił straszliwe jadowite kły szczęki górnej. Były czarne i spróchniałe, iż ledwo trzymały się w dziąsłach. Biały Kobra, jak to bywa w starości z każdą żmiją, postradał już z dawna broń swą najskuteczniejszą: truciznę.

— *Thuu* (spróchniały pień)! — rzekł Mowgli, po czym odsunąwszy na bok pytona, wyrwał *ankus* i uwolnił Białego Kobrę.

— Kto inny powinien być teraz strażnikiem królewskiego skarbu! — ozwał się z powagą. — Ty już na nic się nie zdasz, pniu spróchniały! *Thuu!* Pohasaj sobie, serdeńko! *Thuu!*

— Jes-s-stem zhańbiony! Zabij mnie! — syczał z bólu Biały Kobra.

<sup>107</sup>*wszędzy* (daw.) — wszędzie.

<sup>108</sup>*ktom ja zacz* (daw.) — kim ja jestem.

— Nie mam ochoty cię zabijać. Szkoda o tym gadać zresztą. No, my już odchodzimy. Zabieram z sobą ten kolczasty przedmiot na dowód, że cię zważyłem i wystawiłem na pośmiewisko.

— A zatem uważaj, żeby ta rzecz w końcu nie zabiła ciebie samego! To ś-ś-śmierć! Pamiętaj, że to ś-ś-śmierć! Ta rzecz sama wystarczy, by poginęli od niej wszyscy mieszkańcy mojego mias-s-sta! Niedługo będziesz się nią cieszył, leś-ś-śny człowieku, albo i ten, kto weźmie ją od ciebie! Dla niej będą się ludzie zabijali, zabijali, zabijali! Moja siła już zwiotczała i zeschnęła, ale ten *ankus* s-s-spełni za mnie s-sswą powinność! To ś-ś-śmierć! To ś-ś-śmierć! To ś-ś-śmierć!

Mowgli przelazł przez dziurę i znów poczołgał się wąskim korytarzem, zmierzając ku wyjściu. Rzuciwszy po raz ostatni okiem w stronę komnaty, dostrzegł jeszcze Białego Kobrę, jak uniesiony wściekłością kruszył sobie nieszkodliwe zębiska o głupowate twarze złotych bałwanów leżących na ziemi, sycząc przy tym:

— To ś-ś-śmierć! To ś-ś-śmierć!

Wyszedłszy z lochu, Mowgli i Kaa z radością i ulgą powitali światło dzienne i ojczyzną dżunglę. *Ankus*, iskrzący się żywo w blasku poranka, napełnił chłopca niemal taką radością, jaką przejąłby go pęk niespotykanego dotąd kwiecica wetknięty we włosy.

— Ależ nawet oczy Bagheery nie błyszczą tak jasno, jak ten oto przedmiot! — zawołał z zachwytem, obracając rubin wokół. — Muszę pokazać to Bagheerze!... Ale cóż to miał na myśli *Thuu*, bając coś o śmierci?

— Nie potrafię ci na to odpowiedzieć — rzekł Kaa. — Jestem aż po sam czubek ogona przejęty s-s-smutkiem, iż s-s-stary kobra nie zakosztował s-s-smaku twego noża. W Chłodnych Legowiskach zawsze czai się jakieś lichy... zarówno na ziemi, jak i pod ziemią. Ale teraz jestem głodny. Czy nie zechciałbyś dziś towarzyszyć mi w łowach?

— Niestety, nie! Bagheera musi obejrzeć tę moją zdobycz. Szczęśliwych łowów!

I odbiegł w podskokach, wymachując wielkim *ankusem* i zatrzymując się od czasu do czasu, aby nasycić oczy jego widokiem. Tak doszedł w końcu do tej części dżungli, w której zwykle przebywała Bagheera. Jakoż znalazł ją tam, jak zapijała wodą świeżo upolowaną zwierzyńcę. Chłopak ją opowiadał od początku do końca wszystkie swe przygody. Pantera słuchała, przyglądając się *ankusowi* i obwąchując go czasem, gdy zaś posłyszała relację o ostatnich słowach Białego Kobry, jęła mruczeć przytakująco.

— Więc uważasz, że Biały Kaptur mówił prawdę? — zapytał Mowgli skwapliwie.

— Urodziłam się w klatce królewskiego zwierzyńca w Udajpurze, więc mam tu w dołku uczucie, że znam się nieco na ludziach. Wiem, że niejedynemu człowiek byłby gotów polować i zabijać trzy razy w ciągu nocy, byle zdobyć ten oto tylko jeden kamień.

— Ależ właśnie ten kamień zawadza i cięży mej dłoni. To broń niewygodna. Znacznie wolę mój mały, jasny nożyk. Przyjrzyj się zresztą: ten czerwony kamień nie nadaje się wcale do jedzenia! Czemuż by więc ludzie mieli dla tak głupiej rzeczy polować i głowy sobie wzajemnie rozbijać?

— Idź, prześpij się, mój Mowgli. Żyłeś pomiędzy ludźmi, a jednak...

— Aha, przypominam sobie! Ludzie zabijają i polują nie dla potrzeby, lecz dla zabicia czasu i przyjemności. Zbudź się, Bagheero, bo chciałbym się dowiedzieć, do czego służy ten kolczasty przedmiot.

Bagheera — której spać się chciało setnie — niechętnie odemknęła oczy i jęła nimi mrugać złośliwie.

— Przedmiot ten sporządzili ludzie, aby kląć nim do krwi głowy synów Hathiego. Widywałam rzecz podobną na ulicach Udajpuru, przed klatkami naszego zwierzyńca. Do tego ościenia przylgnęła krew niejednego z krewniaków Hathiego.

— I na cóż oni dźgają tym ościeniem w głowy słoni?

— By w ten sposób wrazić im do głowy Prawo Ludzkie. Ludzie nie mają ani kłów, ani pazurów, więc wymyślają takie oto dziwa, i jeszcze gorsze.

— Coraz to więcej krwi, im bardziej zbliżam się choćby do rzeczy wyrobionych rękoma Ludzkiej Gromady! — rzekł Mowgli z obrzydzeniem, a *ankus* zaczął mu już nieco ciężyc w dłoni. — Gdybym o tym wiedział, nigdy bym nie wziął w rękę tego paskudztwa. Przedtem widziałem krew Messui na krępujących ją powrozach, teraz zaś czuję krew Hathiego. Nie chcę mieć przy sobie tej rzeczy! Patrz, co z nią zrobię!

*Ankus* warknął w powietrzu, zamigotał i utkwiał ostrzem w ziemi pośród kępki drzew, o pięćdziesiąt sążni opodal.

— Teraz ręce moje oczyściły się od piętna śmierci — to mówiąc Mowgli jął wycierać dłonie o świeżą, wilgotną ziemię. — *Thuu* powiadał, że śmierć będzie szła w ślad za mną. Nie wiem, czy mu wierzyć, bo jest to gad stary, biały i bzikowaty.

— Czy biały, czy czarny, czy śmierć, czy życie, mało mnie to wzrusza. Ja kładę się spać, Mały Bracie. Nie umiem polować przez całą noc i wyc przez cały dzień, jak to czynią niektóre plemiona.

To rzekłszy, Bagheera odeszła do wiadomej sobie myśliwskiej kryjówki odległej o dwie mile. Mowgli zaś wdrapał się z łatwością na drzewo, które wydało mu się dogodnie, związał razem kilka pnących się lodyg i w przedsym czasie, niż zdołaliśmy to opowiedzieć, bujał się już w przepysznym hamaku na wysokości pięćdziesięciu stóp ponad ziemią. Wprawdzie nie czuł się nieswojo w jaskrawym świetle słonecznym, jednakże idąc za nawyczkami swych przyjaciół, starał się jak najmniej w nim przebywać. Zasnął niebawem, rojąc przez sen, że zabawia się rzucaniem przepięknych kamyczków. Gdy się obudził, już wśród gałęzi rozlegały się donośne głosy wszelkiego stworzenia, a ziemię znów zalegał szary zmierzch wieczorny.

— E, nie zawadzi chyba, że sobie zerknę jeszcze raz na tę zabawkę — rzekł sam do siebie i ześliznął się po drabince pnączy na ziemię. W tejsze chwili jednak posłyszał przed sobą w ciemności jakieś prychnanie. Rozpoznał Bagheerę.

— Gdzie się podział ten kolczasty przedmiot? Nie widzę go! — zawołał Mowgli.

— Zabrał go jakiś człowiek. Oto ślad tego człowieka.

— No, w takim razie przekonamy się, czy *Thuu* powiedział prawdę. Jeżeli to żądło istotnie grozi śmiercią, to człowiek ten umrze niebawem. Chodźmy za nim.

— Zapolujemy sobie wpierw — doradziła Bagheera. — Pustka w żołądku źle wpływa na bystrość wzroku. Ludzie chodzą zazwyczaj krokiem powolnym, a dżungla jest okryta rosą, która nam ułatwi znalezienie choćby najłżejszego śladu.

Z łowami uwinęli się prędko, niemniej prawie trzy godziny zbiegły, nim uporawszy się z jedzeniem i piciem, mogli na koniec puścić się tropem człowieka. Mieszkańcy kniei wiedzą dobrze, że żadne okoliczności nie upoważniają do tego, by śpieszyć się z posiłkiem.

— Czy sądzisz, że ten szpikulec odwróci się w dłoni człowieka i zabije go? — zapytał Mowgli. — *Thuu* opowiadał, że w tym kolcu siedzi śmierć.

— Dowiemy się o tym, gdy go wykryjemy — odrzekła Bagheera, biegnąc z głową przy ziemi. — Widzę, że tu idzie pojedyncza stopa — chciała przez to powiedzieć, że widzi ślad jednego tylko człowieka a brzemię, które niesie, wcisnęło mocno w ziemię jego pięty!

— Hail! Toż to jasne, jak wszystkie pioruny! — odpowiedział Mowgli.

Poczęli biec wartkim, krętym klusem gończym poprzez gmatwaninę cieniów i błasków księżycowych, idąc wiernie śladami dwóch bosych nóg ludzkich.

— Tu już biegł szybko — rzekł Mowgli, gdy dochodzili do wilgotnej i grząskiej polany. — Palce jego nóg są rozwarłe szeroko. Ale czemu w tym miejscu nagle skręcił w bok?

— Zatrzymaj się! — krzyknęła Bagheera, odsadzając się przepysznym skokiem na możliwie największą odległość; albowiem gdy ślad przestaje być jasny i wyraźny, najlepszą rzeczą bywa przerzucić się naprzód, nie zostawiając przy tym własnych śladów, by nie mieszały się z innymi. Stanąwszy na ziemi, Bagheera odwróciła się w stronę Mowgliego, wołając:

— Tu idzie nowy ślad na spotkanie tamtego! Stopa jest znacznie mniejsza, a palce zwracają się ku środkowi.

Mowgli podbiegł i przyjrzał się śladom.

— To stopa myśliwca gondyjskiego! — zawołał. — Przypatrz się! Tędy on włókl łuk po murawie! Teraz rozumiem, dlaczego pierwszy ślad tak nagle zбочzył. Człowiek o dużej stopie ukrył się przed człowiekiem mającym małą stopę.

— Prawdę mówisz! — potwierdziła Bagheera. — A teraz musimy się rozłączyć, byśmy nie wśliznęli się wzajemnie w trop i nie zacierali śladów. Ja będę szła za dużą stopą; a ty, Mały Bracie, pójdiesz za Gondem, który ma małą stopę.

To rzekłszy, Bagheera jednym susem wróciła na ślad pierwotny, zostawiając Mowglię pochyłającego się nad cudacznym, palcami do środka obróconym śladem małego dzikusa leśnego.

— A teraz — mówiła do siebie Bagheera, posuwając się krok za krokiem po linii większych odcisków — ja, Duża Stopa, skręcam tu w bok. Teraz chowam się za skałę i waruję tu cicho, nie ośmielając się nawet ruszyć nogą. Ogłaszaj swoją drogę, Mały Bracie.

— Teraz ja, Mała Stopa, dochodzę do skały — mówił Mowgli, biegnąc swym szlakiem. — Teraz siadam pod skałą, wspierając się na prawej ręce i przytrzymując łuk nogami. Czatuję tu długo, przeto ślad mych stóp wrył się głęboko w ziemię.

— Ja to samo — odezwała się Bagheera ukryta za skałą. — Czatuję, opierając koniec ościenia o kamień. Szpic się ześliznął, bo na kamieniu widać rysę. Ogłaszaj swoje ślady, Mały Bracie.

— Jedna... dwie gałązki... i jedna duża gałąź są ułamane — mówił Mowgli półgłosem. — A teraz... w jakiż sposób mam to głosić? Aha! Teraz rzecz się wyjaśniła! Ja, Mała Stopa, oddalam się z głośnym tupaniem i wrzawą, tak iżby mnie posłyszał człek o dużej stopie...

Jął krok za krokiem oddalać się od skały, wchodząc w gęstwę drzew, i coraz bardziej podnosił głos, w miarę zbliżania się ku wielkiej siklawie.

— Idę — coraz — dalej — tam — gdzie — huk — spadającej — wody — przygłusza — moje — wołanie — i — tutaj — się — zatrzymuję! Odkrzyknij się ze swego tropu, Bagheero, Duża Stopo!

Pantera przez jakiś czas uwijała się na wszystkie strony, by wymiarkować, jakim szlakiem ciągną się spod skały ślady Dużej Stopy. Niebawem jednak dała znać o sobie.

— Wyczoiłam się na klęczkach spoza skały, ciągnąc za sobą ościę. Nie widząc nikogo, zaczynam biec. Ja, Duża Stopa, umiem biec szybko. Ślad jest wyraźny. Idźmy każdy swoją drogą! Ja zmykam!

To mówiąc, Bagheera mknęła rysującym się wyraziście dużym śladem, a Mowgli kroczył drobniejszym śladem Gonda. Przez czas pewien panowała w puszczy cisza.

— Gdzie jesteś, Mała Stopo?! — zawołała Bagheera.

Odpowiedział jej na to głos Mowglięgo z odległości niespełna pięćdziesięciu sążni z prawej strony.

— Um! Um! — znacząco chrząknęła Bagheera. Oba ślady biegną pobok<sup>109</sup>, zbliżając się coraz bardziej ku sobie!

Przebiegli znów dobre pół mili, pozostając wciąż w jednakowym oddaleniu od siebie. Naraz Mowgli, który nie trzymał głowy tak nisko przy ziemi jak Bagheera, zawołał:

— Spotkali się z sobą! Szczęśliwych łowów! Patrz! Tu stała Mała Stopa, oparłszy się kolanem o skałę... a tam widać Dużą Stopę.

O niecałe dziesięć sążni od nich leżało na zwale głazów ciało chłopca z okolicznej wioski, przeszyte na wylot przez pierś małą, pierzastą strzałą gondyjską.

— I cóż powiesz na to, Mały Bracie? — łagodnie zagadnęła Bagheera. — Czy *Thuu* istotnie jest tylko starym wariatem? Jedną śmierć w każdym razie jużśmy widzieli!

— Idziemy dalej! Ale gdzież się podział ów cierń o czerwonym oku... pijący krew słoni?

— Może... może ma go obecnie człowiek o małej stopie. Widzę znowu tylko ślad pojedynczy.

Ślady drobnego człowieczka, który najwidoczniej pędził szybko, dźwigając na lewym ramieniu jakiś ciężar — biegly nieprzerwanym ciągiem dokoła długiego zakosu niskiej, wypalanej trawy, gdzie każdy odcisk wpadał od razu w oczy tropicielom, jakby był wytłoczony w rozpalonej sztabie żelaznej.

Żaden z łowców nie odezwał się ani słowem, póki nie dotarli do małej kotliny, na której dnie tały się świeże jeszcze popioły obozowego ogniska.

— Znowu! — krzyknęła Bagheera, stając w miejscu jak skamieniała.

Koło ogniska leżał osiniaczony zewłok małego Gonda, z nogami zagrzebanymi w popiele.

Bagheera wzrokiem pytającym spojrzała na Mowglięgo.

<sup>109</sup> pobok — obok siebie.

— Tego dokonano laską bambusową — wyjaśnił chłopak, ledwo rzuciwszy okiem na nieboszczyka. Sam posługiwałem się takim kijem, gdym służył za pastucha bawołów w Ludzkiej Gromadzie. Żałuję teraz, że sobie pokpiwałem ze starego kobry. Widzę, że on znał się na ludziach, jak ja sam powinienem być na nich się poznać! Czyż nie mówiłem, że ludzie mordują nie z potrzeby, ale ot, dla zabicia czasu?

— W rzeczywistości jest trochę inaczej. Zabijają się dla różnych czerwonych i błękitnych kamyczków — odpowiedziała Bagheera. — Pamiętaj, że kiedyś przebywałam w królewskim zwierzyńcu w Udajpurze.

— Jeden, dwa, trzy, cztery tropy — rzekł Mowgli, pochylając się nad zgliszczami ogniska. — Ślady czterech ludzi mających stopy obute. Szli oni nie tak szybko, jak chodzą Gondowie. Ale cóż złego mógł im wyrządzić ten mały leśny człeczyna? Przypatrz się, Bagheero! Oni tu stali w pięciu i rozmawiali przez czas jakiś, zanim jego zabito. Wracajmy, Bagheero! W brzuchu mi coś zaciężało i coś tak we mnie skacze to w dół, to w górę, jak gniazdko wilgi na czubku gałązki.

— Niedobre to łowy, gdy wypuszcza się zwierzynę znajdującą się tuż obok. W drogę! — krzyknęła pantera. — Tych osiem stóp obutych nie mogło zajść daleko!

Przez całą godzinę nie przemówili do siebie ani słowa, posuwając się szerokim szlakiem wydeptanym obutymi stopami czterech ludzi.

— Ludzie zawsze bywają skwapliwsi do jadła niż do biegu — odrzekł Mowgli, mknąc nurkiem wśród niskich krzaków młodej dżungli, którą teraz przetrząsali.

Bagheera, biegnąc na lewo od niego, zawarczała nagle w jakiś dziwny sposób, niedający się opisać.

— Otóż mamy takiego, który już zginął... pożarty! — zawołała.

Pod jednym z krzaków leżał bezładny kłęb pstrej odzieży, a koło niego była rozsypana garść mąki.

— Zginął również od bambusowego kija — odpowiedział Mowgli. — Przypatrz się! Tym białym pyłem żywią się ludzie. Oni zabrali zdobycz temu człowiekowi, który dźwigał ich pożywienie, a jego samego oddali na żer Chilowi.

— To już trzeci! — stwierdziła Bagheera.

— Przyniosę Ojcu Okularników dużo świeżych i tłustych ropuch, żeby się stary najadł do syta! — rzekł Mowgli sam do siebie. — Ta dziwna rzecz pijąca krew słoni jest chyba wcieloną śmiercią... ale i tak jeszcze nie wszystko rozumiem.

— Chodź dalej! — rzekła Bagheera.

Nie uszli jeszcze i pół mili, gdy naraz posłyszeli złowrogą pieśń pomoru, rozgłaszaną przez wronę Ko spośród gałęzi drzewa tamaryszkowego. Pod tym właśnie drzewem leżeli jacyś ludzie, otaczając półprzygasłe, dymiące ognisko, nakryte blachą, na której widać było szerniały i zwęglony placek z praśnej mąki. Tuż przy ognisku spoczywał nabijany rubinami i turkusami *ankus* królewski, skrząc się i błyszcząc w świetle słonecznym.

— Dziwnie sprawny jest ten przedmiot! Tylu ludzi sprzątnął w tak krótkim czasie! — zauważyła Bagheera. — Ale jak oni pomarli, mój Mowgli? Na żadnym z nich nie widać ani sińca, ani skaleczenia.

Mieszkaniec dżungli dzięki swemu doświadczeniu zna się lepiej na trujących jagodach i ziołach niż niejeden lekarz. Mowgli powąchał dym wznoszący się znad ogniska, odłamał kawałek zwęglonego placeka, wziął go do ust i natychmiast wypluł z obrzydzeniem.

— Jabłko śmierci! — zawołał, odchrząknąwszy po kilkakroć. — Człowiek, któregośmy w pierw spotkali, musiał wmieszać tę truciznę do jadła przeznaczonego dla tych, co się go pozbyli, a przedtem zabili Gonda.

— Ładne łowy, nie ma co mówić! Cios za ciosem! Trup za trupem... — zauważyła Bagheera.

„Jabłkiem śmierci” nazywają mieszkańcy dżungli kolczasty owoc dziedzierzawy, najstraszliwszą i najprędzej działającą trucizną, jaką znają Indie.

— I cóż dalej? — spytała pantera. — Mamyż teraz my oboje wymordować się wzajemnie dla tego krwawookiego narzędzia zagłady?

— Czy ono umie mówić? — zapytał Mowgli szeptem. — Zali wyrządziłem mu krzywdę, gdym odrzucił je precz od siebie? To jednak pewne, że ani tobie, ani mnie nie zdoła ono uczynić nic złego, boć nie pożądamy tego, o co ubiegają się ludzie. Gdyby

Trucizna, Klejnot,  
Morderstwo

tę rzecz tu pozostawić, na pewno nie omieszkałyby zabijać człowieka jednego za drugim, i to z taką szybkością, z jaką spadają z drzewa orzechy strącone wichurą. Nie miłuję ludzi, to prawda, ale sześć trupów w ciągu jednej nocy to i dla mnie za dużo!...

— E, co się tym przejmować! — mruknęła Bagheera. — Ludzie to ludzie, nic więcej. Mordują się wzajemnie i jakoś im z tym dobrze!... Ów pierwszy mały człowiek leśny polował naprawdę zręcznie.

— Ludzie to po prostu szczeniaki, które gotowe potopić się, byle ugryźć kawałek księżycowego blasku zwierciadłacego się na wodzie. Ale cała wina jest po mojej stronie! — mówił Mowgli takim tonem, jak gdyby znał się wybornie na wszystkim. — Już nigdy nie przyniosę do puszczy żadnych obcych wymysłów... choćby były od kwiatów piękniejsze! Ten zaś dziwotwór — dodał biorąc *ankus* ostrożnie w rękę — winien wrócić do Ojca Okularników. Wprzód jednak musimy się wyspać, a nie chciałbym spać obok tych ludzi... uśpionych... Trzeba też pogrzebać tę błyszczącą gadzinę... bo gotowa znów nam uciec i zabić jeszcze z sześciu ludzi. Wykop mi jamę pod tym drzewem.

— Ależ, Mały Bracie — burknęła Bagheera, podchodząc ku wskazanemu miejscu. — Powiadam ci, że ten krwio pijca nic tu nie jest winien. Całą biedę ściągną na siebie tylko ludzie!

— Wszystko jedno! — zachnął się Mowgli. — Kop jamę, ale głęboką! Gdy się przebudzimy, odgrzebiemy znów to dziwo i zaniesiemy je tam, skąd je wzięłem!

\*

W dwie noce później, gdy Biały Kobra siedział markotnie w głębi mrocznej komory, osamotniony oraz pełen żalu i wstydu z powodu poniesionej straty, nagle przez szczelinę w murze przeleciał z furkotem królewski *ankus* nabijany turkusami i z głośnym szczękiem upadł na warstwę złotych monet.

— Ojcie Okularników! — zawołał Mowgli, chowając się przezornie za murem. — Dobierz sobie któregoś z młodszych a co tęszych i roztropniejszych plemieńców i we dwójkę pilnie strzeżcie królewskiego skarbcza, by żaden człowiek nie wy dostał się stąd żywcem.

— Aha! Mój *ankus*-s-s wraca do mnie! *Wsz-sz-szak* mówiłem, że w nim jest ś-ś-śmierć! Ale jak to się ss-stało, żeś ty jeszcze żyw? — słabym głosem zasyczał stary kobra, owijając się pieczołowicie wokół rękojeści *ankusa*.

— Sam tego pojąć nie mogę! Na Byka, który był okupem za mnie! Toż ten cudak położył sześciu ludzi trupem w ciągu jednej nocy! Nie pozwól, by miał jeszcze kiedyś wyjść stąd na światło dzienne!

#### PIEŚŃ MŁODEGO MYŚLIWCA

Nim wrzaśnie horda małp obrzydła i nim paw Mao otrząśnie skrzydła,  
nim Chil ścierwnik śmignie skrzydłem przez powietrzny szlak —  
przez puszcę mknie niepostrzeżenie cień drobny, nikły, śląc westchnienie:  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

Cichusko — hen — przez uroczy ska cień baczny, czujny się przeciska  
i szept się szerzy wśród ostępu kniej i wydm, i łach —  
i pot się perli na twej skroni, bo szept ten goni wciąż i goni:  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

Nim księżyc wszędzie nad górami i w srebrne smugi je popłami,  
gdy wszelki zwierz, skuliwszy ogon, drży w wilgotnych mgłach —  
tuż poza tobą, w nocnej ciszy, czyjś oddech sapie, parska, dyszy:  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

Uklęknij żwawo! Łuk napinaj, powietrze świstem strzał przecinaj  
i ostrą włócznię pogrąż w pustych, urągliwych krzaczach!

Nie stanie się twym chęciom zadość: drży dłoń, a w licach widna bladość...  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

Gdy w kłębach kurzu grzmi huragan, gdy bór się wali, wichrem smagan,  
gdy tnie ulewa, rozmywając grząski żwir i piach —  
nad ryk zawiei i nad gromy głos huczy groźny, nieznajomy:  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

Strumienie z brzegów wystąpiły i z trzaskiem pędzą skalne bryły,  
a każdą żyłkę liścia widać w błyskawicy skrach.  
Twój głos zamiera, dech się późni, a serce wali jak młot w kuźni:  
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody — och, to Strach!

### *Quiquern*

Mieszkańcy Wschodnich Lodów topnieją jako śnieg:  
zebrzą o cukier i kawę; idą, gdzie idzie biały człek!  
Mieszkańcy Lodów Zachodnich umieją walczyć i kraść:  
sprzedają futra handlarzom, duszę sprzedają w obcą własność<sup>110</sup>.  
Mieszkańcy Lodów Południa z wielorybników biorą wzór:  
ich żonom nie brak świecideł, za to w namiotach pełno dziur...  
Lecz Ludy Najstarszych Lodów, gdzie biały człek już szczelny<sup>111</sup>,  
zbroją się zębem narwala; ich kraj — to ziem najdalszy kres!

#### Przekład pieśni

— Patrz! Otworzył oczy!  
— Połóż go z powrotem na futrze. Będzie z tego szczeniaka tęgi pies. Gdy skończy  
cztery miesiące, nadamy mu imię.  
— A jakie? — zapytała Amoraq.  
Kadlu powiódł oczyma wokoło, po wnętrzu śnieżnej lepianki obficie zasłanej futrami,  
aż na koniec zatrzymał wzrok na postaci czternastoletniego Kotuka, siedzącego na pryczy  
i strzążącego guziki z zębów morsa.  
— Nazwij go moim imieniem! — ozwał się Kotuko, uśmiechając się szeroko. — On  
mi się kiedyś przyda.

Kadlu odpowiedział mu również szerokim uśmiechem — tak szerokim, iż skośne  
oczeki niemal znikły w tłuszczu płaskich policzków — i kiwnął głową w stronę Amoraq,  
nie zważając na zajadłe skowyczenie suki, gniewnej, iż nie może osiągnąć swego szcze-  
nienia szamocącego się w małym worku z fokowej skóry, zawieszonym ponad ciepłym  
kagankiem tranowym. Kotuko zajął się znów struganiem kości, zaś Kadlu zwinął pęk  
skórzanych psich uprzęży i cisnął w głąb małej bokówki, po czym zdjął z siebie ciężką  
skórę reniferową, stanowiącą jego strój myśliwski, złożył ją na fiszbinowej kracie ponad  
drugim kagankiem, usiadł na narach<sup>112</sup> i jął<sup>113</sup> krajać na plasterki kawałek zmarzniętego  
mięsa, czekając, rychłoli<sup>114</sup> żona jego, Amoraq, przyniesie mu zwykły obiad składający  
się z gotowanego mięsa i czerniny.

Od samego świtu bawił na łowach koło jam focznych — osiem mil opodal — i wrócił  
dopiero przed chwilą, przywożąc jako zdobycz aż trzy ogromne foki. W głębi długiego  
i niskiego korytarza czy lochu wiodącego do wewnętrznych drzwi domu słychać było  
warczenie i szczekanie psów, które, wyprężone z sań i na resztę dnia zwolnione z roboty,  
biły się z sobą o miejsce w najcieplejszym kącie.

<sup>110</sup>własność — własność, posiadanie.

<sup>111</sup>szczelny (daw.) — umrzeć.

<sup>112</sup>nary — prycza, prymitywne łóżko.

<sup>113</sup>jął — zaczął.

<sup>114</sup>czekając, rychłoli — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czekając, czy rychło; *rychło*: prędko.



Gdy naszczekiwania stały się zbyt głośne, Kotuko zwałkł się ociężale z legowiska i pochwycił harap<sup>115</sup> o giętkiej, osiemnaście cali<sup>116</sup> mierzącej fiszbinowej rękojeści oraz długiej na dwadzieścia pięć stóp<sup>117</sup>, twardej pletni skórzanej.

Gdy wszedł w głąb lochu, podniosła się wrzawa tak przeraźliwa, jak gdyby psy wszystkie zamierzały pożreć go żywcem. Nie było to wszakże nic innego, jak zwykle przymilanie się przed jedzeniem. Gdy dogramolił się do końca lochu, sześć kosmatych łbów jęło wodzić za nim ślepiami niecierpliwie. On zaś podszedł do wieszaka ze szczęk wielorybich, na którym wisiało mięso przeznaczone dla psów; jał odkrawać szerokim ostrzem włóczyńni potężne płaty tego zmarzniętego mięsiwa i stał w miejscu, trzymając w jednej ręce ów płat, w drugiej zaś harap. Wywoływał kolejno po imieniu wszystkie psy, poczynając od najślabszego — a biada psu, który nadbiegł niewołany, bo ostrokończysty rzemień nie omieszkabły spaść z trzaskiem i szybko jak błyskawica, wydzierając mu z grzbietu szmat skóry i kudłatej sierści. Nie pozostało więc zwierzętom nic innego, jak warknąć gniewnie, kłapać raz zębami — i dławiąc się otrzymaną porcją — zmykać z powrotem do lochu, gdy tymczasem chłopak stał nadal na śniegu pod jaskrawą zorzą północną i dokonywał wymiaru sprawiedliwości. Na samym ostatku przychodził po swą należność czarny arcypies — olbrzymi przodownik sfory, który utrzymywał porządek wśród psów idących w zaprzęgu; Kotuko obdarzył go podwójną porcją mięsa, jako też dodatkowym chłaśnięciem bicza.

— Ach, prawda! — odezwał się w końcu, zwijając harap. — Mam ci przecie jeszcze ponad kagankiem jednego psiaka, który będzie piszczal wniebogłosy. Szarpok! Do nory!

Przeczołgał się z powrotem wśród zbitych w gromadę psów, otrzepał suchy śnieg z kozucha bijakiem fiszbinowym, położonym koło drzwi przez Amoraq, ostukał skórzany okap domu, by strząsnąć sople lodowe, grożące opadnięciem z śniegowej kopuły, i siadł z podwiniętymi nogami na worku.

Psy w lochu chrapały i skomlały przez sen, niemowlę w głębokiej futrzanej torbie na plecach Amoraq wierzgało nóżkami i dławiło się chlapiącym płaczem, a matka świeżo nazwanego szczenięcia legła przy boku Kotuka, wlepiwszy wzrok w ciepły i bezpieczny tobolek z fokowej skóry, zawieszony nad szerokim, żółtym płomieniem kaganka.

Wszystko to działo się hen daleko na północy, poza Labradorem — poza Cieśniną Hudsona, gdzie wielkie przyplwy morskie druzgocą o brzeg lodową skorupę — na północ od Półwyspu Melville'a — ba, na północ od Cieśniny Fury and Hecla — na północnym brzegu Ziemi Baffina, tam, kędy Wyspa Bylota widnieje ponad lodowiskiem Cieśniny Lancasterskiej, niby miseczka z budyniem wywrócona dnem do góry. Na północ od Cieśniny Lancasterskiej już mało co jest nam znane, oprócz kraju Ellesmere'a i Północnego Devonu; atoli i tam żyją z rzadka ludzie, niejako najbliżsi sąsiedzi samego bieguna.

Kadlu był Inuitą — czyli, jak kto woli, Eskimosem, a jego plemię (liczące, ogółem wzięwszy, około trzydziestu osób) zaludniało Tununirmiut, czyli „kraj, która leży poza wszystkim”. Na mapach określono to pustkowie jako Zatokę Popasu Okrętowej Załogi, jednakże nazwa inuicka jest o wiele lepsza, gdyż kraj ten istotnie leży na samym krańcu świata. Przez dziewięć miesięcy w roku bywa tam tylko lód i śnieg, i nawałnica za nawałnicą — oraz mróz, jakiego nie potrafi sobie nawet wyobrazić ten, kto nie oglądał nigdy zera na termometrze. Na dobitkę przez sześć na owych dziewięć miesięcy panują tam nieprzebite ciemności — i to właśnie jest najstraszniejsze. W ciągu trzech miesięcy letnich mróz chwyta tylko co drugi dzień i w każdą noc; wówczas to na południowych stokach lodowców śnieg taje po trosze i garstka przyziemnych łóz wypuszcza kosmate baze, a wątle porosty skalne lub inne jakoweś roślinki zdają się kwitnąć; w też porę gdzieśgdzie uwalnia się z lodów morze i obrzeża się usypiskami drobnego żwiru i okrągłych kamyków, a gładkie głazy i pasiaste opoki wznoszą się ponad ziarnistym śniegiem. Wszystko to jednak przemija po upływie kilku tygodni; sroga zima na nowo okuwa łąd w twarde dyby, a na pełnym morzu wielkie kry lodowe zaczynają ścierać się i spierać, kłębić się i gnębić, szastać się i zrastać z sobą — w końcu wszystko przymarza, krzepnie,

<sup>115</sup>harap — bicz myśliwski używany najczęściej na psy, zbudowany z krótkiej rękojeści, do której przymocowana jest długa, zwężająca się plecionka rzemienna, przechodząca na końcu w plecionkę z włosa.

<sup>116</sup>cal — jednostka miary długości; ok. 2,5 cm.

<sup>117</sup>stopa — jednostka miary długości; ok. 30,5 cm.

tęższe i tworzy się gruby na dziesięć stóp pomost od strądu<sup>118</sup> aż hen ku przestworom morskiej głębinie.

Zimą Kadlu uganiał się za fokami aż do skraju lodowisk lądowych, dźgając je włócznią, gdy wynurzyły się z lodowych świści i przeregli celem nabrania tchu. Foka musi mieć otwartą toń morską, w której by mogła przebywać i polować ryby; tymczasem skorupa lodowa niekiedy ciągnie się bez przerwy czterdzieści mil od najbliższego lądu. Dalekie więc nieraz musiały być jego wyprawy. Na wiosnę, gdy lody topniały, cofał się wraz ze swą drużyną w głąb stałego lądu, gdzie rozbijano namioty ze skór, chwytało w sidła przelotne ptactwo lub zabijano młode foki, wygrzewające się w słońcu na wybrzeżu. Później zapuszczano się na południe Ziemi Baffina, gdzie ścigano renifery i zgarniano całoroczny zapas łososi w nielicznych strumieniach i jeziorach. We wrześniu lub październiku wracano na północ, gdzie urządzano polowanie na woły piżmowe lub powszednim obyczajem — na foki. Wędrówki te odbywano przy pomocy psich zaprzęgów, zdolnych przebiec po dwadzieścia do trzydziestu mil dziennie, czasem zaś posuwano się wzdłuż wybrzeża w wielkich skórzanych „babskich kajakach”. Wówczas to psy i dzieci leżały potulnie u stóp wioślarzy, a kobiety nuciły różne pieśni, przemykając się od przylądka do przylądka po zimnej i gładkiej wodzie. Wszystkie przedmioty zbytku, jakie znano w Tununirmiucie, pochodziły z południa, a więc przyniesione wodą kawałki drzewa, przydatne jako płozy do sanek, dalej pręty żelazne do wyrabiania grotów harpuna, noże o stalowych ostrzach, blaszane kociołki, w których o wiele lepiej było przyrządzać strawę niż w dawniejszych naczyniach z miękkiego steatytu, także krzesiwo lub nawet zapalki, kolorowe wstążki dla kobiet, tanie lusterka tudzież czerwone sukno do obrębiania kaftanów reniferowych. Kadlu sprzedawał południowym Inuitom piękny ząb narwala, żółtawy a spiralnie skręcony, oraz zęby wołu piżmowego, cenione na równi z perłami; ci zaś z kolei wiedli handel z wielorybnikami oraz stacjami misyjnymi w cieśninach Ekseterskiej i Cumberlandzkiej; tak podjęty łańcuch posuwał się coraz dalej i zdarzało się, że kociołek, kupiony przez kucharza okrętowego w bazarze Bhendy, dokonywał swego żywota nad pełnym tranu kagankiem kędyś w mroźnym obrębie koła podbiegunowego.

Kadlu, jako tęgi myśliwy, miał pod dostatkiem żelaznych harpunów, noży do zdrapywania śniegu, oszczepów używanych na ptaki oraz wszelkich przyrządów ułatwiających życie podczas wielkich mrozów tamecznych<sup>119</sup>.

Był on ponadto naczelnikiem swojego plemienia, czyli jak go zwano, „człowiekiem, który na wszystkim znał się z doświadczenia”. Tytuł ten nie dawał mu żadnych praw szczególnych — chyba to, że czasami udało mu się namówić przyjaciół do zmiany łowiska; niemniej jednak Kotuko zwykł był nieco zadzierać nosa z tego powodu — ot tak, jak go zadzierać potrafią ospali i tłuszczem nalani Inuici — i wodził rej pomiędzy chłopcami, ilekroć wyszli nocą bawić się piłką przy świetle księżycy lub śpiewać dziecięce śpiewki przy blaskach zorzy polarnej.

Ale w czternastym roku życia Inuita czuje się już mężczyzną, przeto Kotuko znudził się wyrobem sideł na dzikie ptactwo i młode lisy, a już całkiem obrzydło mu pomaganie kobietom w niemilej czynności żucia skór foczych i reniferowych (nic nie czyni skóry w tym stopniu giętką i podatną) — czynności zapełniającej całkowicie owe dłużące się dni, gdy dorośli mężczyźni wyruszą na polowanie.

Kotuko marzył o tym, by mógł chodzić do *quaggi*, czyli domu śpiewaczego, gdy mężczyźni zbierali się tamże celem odprawienia jakichś tajemniczych obrzędów — gdy *angekok*, czyli szaman, zgasiwszy światła, budził we wszystkich obecnych dreszcz jakiejś rozkosznej trwogi, gdy słychać było kroki Ducha Renifera, dudniące po dachu, i gdy włócznia, rzucona kędyś w nieprzeniknioną ciemność nocy, wracała, obryzgana ciepłą krwią. Marzył o tym, by mógł wieczorami z wyrazem zmęczenia na twarzy, jak przystało na pana domu, ciskać wielkie buciory na siatkę ponad ogniskiem i z przybyłymi w odwiedzinę łowcami zasiąść do gry przypominającej ruletkę, a sporządzonej domowym sposobem z blaszanej miski i gwoźdźcia. Marzył jeszcze o wielu, wielu innych rzeczach i zajęciach, ale starsi śmiali się z niego i powiadali:

<sup>118</sup>*strąd* (z kaszub.) — strefa lądu najbliższa morzu.

<sup>119</sup>*tameczny* — tamtejszy.

— Zaczekaj, aż się znajdziesz w powijaku, mój Kotuko. Polowanie to nie to samo co branie zdobyczy!

Teraz jednak, odkąd ojciec nadał jego imię szczeniakowi, sprawa przedstawiała się o wiele jaśniej. Inuita nie podaruje dobrego psa synowi, póki chłopak nie nabędzie pewnych wiadomości z zakresu psiej tresury; Kotuko zaś był święcie przekonany, że wie już w tym zakresie wszystko, co potrzeba.

Gdyby szczeniak nie miał istic żelaznego zdrowia, na pewno by zdechl wkrótce bądź z przejedzenia, bądź z nadmiaru ćwiczeń.

Kotuko bowiem sporządził mu małą uprząż z długą szleją i ciągnął go tam i z powrotem po podłodze izby, wrzeszcząc:

— *Aua! Ja au!* (Na prawo!) *Choiachoi! Ja choiachoi!* (Na lewo!) *Obaho!* (Stój!)

Szczeniakowi mocno się nie podobało to tyrpanie go — niczym ryby schwytej na wędcę; atoli było ono jeszcze istnym rajem w porównaniu z pierwszym zaprzęgnięciem do sanek. Siedział właśnie na brzegu i bawił się szleją z foczej skóry, biegnącej od jego uprzęży do *pitu*, czyli olbrzymiego rzemienia na przodzie sań — aż tu nagle sfera psów ruszyła i pomknęła co sił w nogach! Biedny psiak poczuł, że ciężkie, na dziesięć stóp długie sanie najeżdżają mu na grzbiet i zaczynają go wlec po śniegu; Kotuko śmiał się i śmiał, aż mu łzy pociekły po twarzy. Odtąd już zmienił się dla psiaka rodzaj ćwiczeń — ćwiczone go mianowicie codziennie okrutnym batogiem, który świstał jak wiatr nad lodami; towarzysze dogryzali mu — nie tylko szyderstwem, ale i zębami — że nie zna się na swej robocie; uprząż wżerała mu się w skórę, a co najgorsza, nie pozwalano mu już spać razem z Kotukiem — przeto musiał zadowalać się legowiskiem w lochu, i to w najzimniejszym kącie. Ciężkie to były czasy dla szczenięcia.

Chłopak też się uczył, równie prędko jak pies. Atoli kierowanie saniami, zaprzęgniętymi w psy, jest rzeczą wprost rozpaczliwą. Każdy z psów — począwszy od najsłabszych, znajdujących się tuż obok woźnicy — jest przyprzężony do osobnej szlei, która przechodzi pod jego lewą nogą przednią i przymocowana jest do głównego rzemienia za pomocą guza i pętli; pętlę tę można rozluźnić jednym ruchem ręki, a tym samym oswobodzić jednego z psów idących w zaprzęgu. Bywa to rzeczą konieczną, zwłaszcza u psów młodych, którym szleja nieraz wplątuje się między nogi tylne, wrzynając się niemal do kości. Poza tym niektóre psy mają zwyczaj składać w biegu wizytę swoim psim przyjaciółom, przeskakując smycze swych sąsiadów. Wynikają z tego różne bójkki, a skutek jest taki, że nazajutrz rzemienie bardziej są zawikłane niż nieobeschły jeszcze niewód<sup>120</sup> rybacki.

Umiejętne używanie długiego bata może wybawić z kłopotu woźnicę. Każdy inuicki niedorostek chlubi się, że włada wybornie tym narzędziem; wszakże o ile łatwą jest rzeczą trafić w oznaczone miejsce na ziemi, o tyle trudniej znacznie przychodzi wychylić się z sań w pełnym biegu i chlasnąć po grzbiecie — tuż poza szyją — upatrzonego psa, wymykającego się spod uderzeń. Gdy ktoś zwymyśla jednego psa za „urządzenie wizyt”, a przez omyłkę trzepnie innego, zaraz na tym tle wybucha zażarta bójka pomiędzy oboma, zmuszająca resztę sfory do zatrzymania się w miejscu. Jeśli zaś ktoś wda się w rozmowę z towarzyszem lub zacznie śpiewać coś sobie pod nosem, psy również stają, odwracają się, przysiadają na ziemi i oczekują rozkazów.

Kotukowi kilkakrotnie się zdarzyło, że go psy poniosły, gdy zapomniał zahamować sanie przy stawianiu; połamiał też niejedyn bat i poszarpał niejedyn rzemień, zanim zasłużył na to, by mu można było powierzyć lekkie sanki zaprzężone w całość — osiem sztuk liczącą — psią sforę.

Odtąd miał się za nader ważną osobę, a gdy z mężnym sercem i sprawną ręką mknął po czarnym, gładkim lodzie, to ponad onymi płaszczyznami oddech jego zionął takimi kłębkami pary, jakie snują się za sforą rozszczekanych psów. Przebywszy mil dziesięć, zatrzymywał się na łowisku w pobliżu foczych kryjówek; tu odpinał od głównego rzemienia jedną szleję, wyzwalał wielkiego psa-przodownika, najmędrszego z całej sfory. Gdy pies zwęszył miejsce, gdzie kryją się foki, Kotuko-chłopak przewracał sanki płozami do góry i przytwierdzał je w miejscu za pomocą głęboko wbitych w śnieg dwóch rogów jelenich, które sterczały w górę niby rączki dziecinnego wózka. Następnie czołgał się ostrożnie, cał za całem, a stanąwszy przy otworze, czatował, rychło wynurzy się z niego spragniony

<sup>120</sup>niewód — rodzaj sieci.

tchu łeb foczy. Doczekawszy się tej chwili, błyskawicznie miotał swój oszczep, opatrzone długą liną, i niebawem wyciągał swą zdobycz na brzeg lodu; podbiegał tu czarny pies-przodownik i już we dwójkę wlekli niezwywą fokę ku saniom. Psy, zaprzężone do sanek, szczerkały wniebogłosy i pienili się z wściekłości, a Kotuko kładł przed nimi długi bicz, niby zaporę z rozżarzonego żelaza, na ten czas, póki ciało fokki nie stwardniało od mrozu. Powrót do domu był uciążliwym zadaniem. Obładowane sanie szły z trudnością po szorstkiej, lodowej grudzie, a psy — zamiast ciągnąć — przysiadły na ziemi i żarłocznie spoglądały na fokę. W końcu jednak, wydobywszy się na utartą koleinę, wiodącą do wsi, zadzierały ogony, schylały łby ku ziemi i pędziły jak oszalałe po dźwięczącym lodzie.

Kotuko zaś intonował *Angutivan tai-na tau-na-ne taina*, czyli *Pieśń powracających łowców*, a z mijanych chałup, leżących pod ciemnym, gwiazdami usianym niebem, odbzmiewały wtórzące mu nawoływania i pozdrowienia.

Gdy pies Kotuko zmężniał równie jak pan jego i imiennik, zaczął zabawiać się też na swój sposób. Wywalczał sobie mianowicie coraz większe znaczenie w psiej gromadzie — tocząc jedne po drugich uporczywe boje — aż pewnego pięknego wieczoru, podczas otrzymywania porcji żywności, złapał za gardło wielkiego czarnego przodownika (Kotuko-chłopiec przyglądał się temu obojętnie) i uczynił z niego, jak się Inuici wyrażają, „drugiego psa”. W ten sposób zaawansował na stanowisko przodownika; odtąd biegał zawsze przy długim rzemieniu, o pięć stóp przed resztą sfory, nosił ciężką i grubą obrożę z miedzianego drutu i miał za obowiązek uśmierzać wszelkie psie bójki i zwady czy to w zaprzęgu, czy w wyprzęgu. W pewne dni wpuszczano go do izby mieszkalnej i karmiono gotowanym mięsem, czasami zaś pozwalano mu spać na pryczy obok chłopca-imiennika.

Był również wybornym psem gończym na łowach na fokki, a umiał też naprowadzić wołu piżmowego pod oszczep myśliwski, to okrążając zwierzynę, to skubiąc ją po łydkach zębami. Nie dość tego. Zdobywał się i na to, co dla psa pociągowego jest szczytem brawury, a mianowicie stawał do oczu posepnemu, wiecznie głodnemu wilkowi polarnemu, który bywa największym postrachem wszelkich psów wśród śniegów Północy.

Obaj Kotukowie — opatulony w futra chłopak i długowłose, żółte psisko o zajadłej mordzie, białych kłach i zwężonych ślepiach — polowali zawsze we dwójkę czy to w dzień, czy to w nocy, nie uważając reszty psiej sfory za godne siebie towarzystwo. Jedynym zajęciem Inuicy jest zdobywanie jada i futer dla siebie i swej rodziny.

Kobiety inuickie robią ze skór odzienie, a od czasu do czasu pomagają w zastawianiu sidła na mniejszego zwierza; atoli głównego zapasu żywności — a Inuici lubią grzeszyć obżarstwem — dostarczyć muszą mężczyźni. W razie niedostatku nie ma od kogo pożytyć, kupić ani wyżebrać choćby kęsa stawy, przeto nieboracy bywają wtedy skazani na wymarcie.

Ale o takich możliwościach Inuita nie zwykł myśleć, póki go nie przycisnie prawdziwa bieda. Kadlu, Kotuko, Amoraq i niemowlę, po całych dniach wierzącące w skórzanym mieszkach i przeżuwające gruzły tranu, czuli się w tym wspólnym pożyciu tak szczęśliwi, jak może żadna rodzina na tym świecie. Pochodzili z plemienia bardzo łagodnego (Inuita rzadko wybucha gniewem, a prawie nigdy nie bije dziecka), z plemienia, które nie wie, co to kłamstwo ani kradzież. Czuli się zadowoleni, iż mogą wśród tych przenikliwych, rozpaczliwych mrozów ubijać włócznią zwierzynę, rozjaśniać twarz gnuśnym, kleistym uśmiechem, opowiadać sobie wieczorami dziwne baśnie o wrózkach i upiorach, objadać się, póki starczy miejsca w żołądku, a w czasie długich, kagankiem rozjaśnionych nocy przysłuchiwać się monotonnej, wiekuiście jednakowej piosence *Amna aya, aya amna, ah, ah!* nuconej przez kobiety naprawiające odzież oraz przybór myśliwski.

Ale podczas jednej okropnej zimy wszystko ich zawiodło. Obywatele Tununirmiut powrócili z dorocznego połowu łososi i pobudowali się na świeżym lodzie na północ od Wyspy Bylota, gotowi iść w pościg za fokkami, gdy morze zaczęło zamarzać. Atoli jesień była wczesna i sroga. Przez cały wrzesień szalały ustawiczne nawałnice, tak silne, że podważyły świeży lód, gruby ledwie na cztery do pięciu stóp, i wypchnęły go w głąb lądu, piętrząc olbrzymią — na dwadzieścia mil szeroką — zaporę poszarpanej, bryłowanej kry, najeżonej ostrymi iglicami, po której niepodobna było ciągnąć sanek. Krawędź lodów, gdzie fokki zwykły żerować w zimie, znajdowała się może o dwadzieścia mil poza tą zaporą.

Mieszkańcy Tununirmiut nie potrafili tam dotrzeć — jednakże i tak udaloby się im jakoś przeżyć tę zimę dzięki zapasom mrożonych łososi i stężonego tranu oraz zastawianym siłom, gdyby nie to, że w grudniu jeden z ich drużyny łowieckiej napotkał *tupik*, czyli namiot ze skór zwierzęcych, a w nim ledwie żywe trzy kobiety i jedną dziewczynę kędyś z Dalekiej Północy. Były same i bezradne; mężczyźni z ich plemienia wyjechali w skórzanych kajakach polować na długozębego narwala i poginęli, rozbiwszy się o lody. Inuita nigdy nie odmawia kęsa stawy przybyszowi — boć nie wie, czy sam nie będzie zmuszony o nią żebrać. Przeto Kadlu, rad nierad, porozdzielał kobiety pomiędzy chaty zimowego osiedla.

Amoraq przygarnęła do swego domu dziewczynę, mogącą liczyć około lat czternaśtu, i uczyniła z niej jakby służebnicę w gospodarstwie. Z kroju jej wyżębionej spódnicy oraz po długim, jakby brylantowym wzorku na jej białych reniferowych pantalonach wynioskowano, że przybyła z kraju Ellesmere'a. Nigdy dotąd nie widywała ani blaszanych naczyń, ani sań z drewnianymi płozami; mimo to Kotuko-chłopiec i Kotuko-pies bardzo ją polubili.

Tymczasem wszystkie lisy powędrowały na południe; nawet skunksy, te gderliwe, tępogłowe złodziejzki, pładujące wśród śniegu, nie zadawały sobie trudu, by włóczyć się po linii pustych pułapek zastawionych przez Kotuka. Gromada straciła dwóch najlepszych myśliwych, którzy zostali szpetnie pogruchotani w walce z wołem piżmowym — to zaś przyczyniło roboty innym. Kotuko wyprawiał się dzień po dniu na lekkich saneczkach myśliwskich, zaprzężonych w sześć lub siedem najsilniejszych psów, wypatrując — póki go nie zabolaly oczy — czy w jakiej lodowej świści lub przerebli nie obaczy wynurzającego się łba fok. Pies Kotuko uganiał hen na wszystkie strony, zapędzając się niekiedy bardzo daleko.

Wśród lodowisk panowała tak głucha cisza, iż gdy o trzy mile opodal udało mu się wykryć norę fok, to stłumiony, pełen podniecenia jego skowyt dobiegał do uszu chłopca z taką wyrazistością, jak gdyby pies znajdował się tuż przy nim. Wówczas chłopak podjeżdżał bliżej, budował sobie niziuchny wał ze śniegu, by uchronić się od zaciekłych szturmów dokuczliwego wichru, i czatował na fokę — czasem dziesięć, czasem dwanaście, czasem nawet dwadzieścia godzin — wlepiając oczy w maluchny znaczek nad przerebłą, mający dopomagać do wycelowania rzutu harpunem. Pod nogami miał Kotuko małą wyściółkę z foczej skóry, a golenie osłaniał oponą zwaną *tutareng* — tą właśnie, o której mu dawniejszymi czasy wspominali starzy myśliwi, nazywając ją powijakiem; zabezpiecza ona od zamrznięcia nogi człowieka, zmuszonego czatować godzinami nieruchomo na wynurzenie się czujnej fok. Takie milczące przesiadywanie w skórzanym worku przy temperaturze 40° poniżej zera nie daje chyba silnych wrażeń myśliwemu — w każdym razie nie ma powodu wątpić, iż jest to najuczulliwsza praca, jaką znają Inuici.

Gdy udało się upolować fokę, pies Kotuko wyskakiwał naprzód, wlokąc za sobą smycz, i pomagał chłopcu ciągnąć zdobycz ku saniom, przy których kulily się zgłodniałe, posępne i wymęczone psy, węsząc wiatr ciągnący od szczeliny w lodzie.

Upolowana foka nie starczała na długo, boć w wiosce każda z gąb miała prawo do kęsa stawy. Nie zmarnowano ani żył, ani kości, ani skóry. Psie porcje przeznaczono teraz dla ludzi, a psy karmiła Amoraq strzępami starych letnich namiotów skórzanych, wyciągniętych spod legła.

Sfóra wyła i wyła raz po raz dzień cały, a i po nocach budziła się, by wyc przeciągłe z głodu. Po kagankach w każdej chacie poznać było można, że mieszkańcom zagraża śmierć głodowa. W dawniejszych, dobrych czasach, gdy tranu było pod dostatkiem, płomień w łódkowatych naczyniach strzelały na dwie stopy wwyż — siejąc miłe, żółtawe, łagodne światło. Teraz w najlepszym razie dosięgały sześciu cali wysokości — bo ilekroć knot z mchu ukrecony rozjarzył się zniecka choć na chwilę żywszym ogniem, natychmiast Amoraq przezornie pogrążała go głębiej — a cała rodzina z niepokojem śledziła ruchy jej ręki. Straszliwa jest śmierć głodowa wśród przejmujących mrozów, alic większą grozę budzi śmierć w ciemności. Wszyscy bez wyjątku Inuici lękają się tej ciemności, która gnębi ich corocznie przez sześć miesięcy bez przerwy, przeto gdy w lodowych chatynkach poczną przygasać światła kaganków, w dusze ludzkie wdziera się nieopisany zamęt i niepokój...

Ale nie był to koniec niedoli. Nadciągały gorsze jeszcze czasy.

Wyglodzone psy co noc zgrzytały zębami i wyły w głębi podziemia, wpatrując się w wyiskrzone gwiazdy i chwytając w nozdrza wicher lodowaty. Gdy milkło ich wycie, pod drzwiami chaty zapadała cisza tak ciężka i zwarta, niczym zaspą śniegową, a ludzie słyszeli pulsowanie własnej krwi w wąskich przewodach narządu słuchowego oraz dudnienie własnych serc, które zdało się im głośnie jak odległy warkot bębnow szamańskich.

Jednej nocy pies-Kotuko, który od pewnego czasu — zwłaszcza idąc w zaprzęgu — był niesłyszalnie markotny, zerwał się nagle i otarł się łbem o kolano swego imiennika. Chłopiec poklepał go pieszczotliwie, ale pies parł wciąż łbem naprzód jak ślepy, łasząc się przy tym dziwnie.

Wówczas to ocknął się Kadlu, ujął oburącz potężną, jakby wilczą paszczkę i wpatrzył się w zasze bielmem oczy. Pies zaskomlał, jak gdyby się czegoś przeraził, zaczął trząść się między kolanami Kadlu. Sierść zjeżyła mu się na szyi, zawarczał groźnie, jak gdyby poczuł obcego przybysza, wreszcie jął szczekać radośnie, tarzać się po ziemi jak małe szczenię i gryźć but swojego pana.

— Cóż to mu się stało? — zapytał Kotuko przejęty niepokojem.

— To choroba... psia choroba — odpowiedział Kadlu.

Pies podniósł pysk w górę i zaczął znów wyc długo, żałośliwie.

— Nigdy nie widział czegoś podobnego — rzekł chłopak. — I cóż z nim teraz będzie?

Kadlu wzruszył nieznacznie ramionami i przeszedł na drugi koniec izby, szukając krótkiego, ostrego harpuna, z którym zwykle udawał się na łowy. Pies powiódł za nim oczyma, zawył znów i przebiegłszy przez loch, gdzie pozostałe psy rozstąpiły się przed nim w pośpiechu, wypadł na dwór. Znalazłszy się na śnieżnej przestrzeni, jął ujadać zaciekle, jakby wpadł na trop wołu piżmowego. Szczekał tak czas jakiś, skakał i miotał się jak opętany, aż w końcu przepadł gdzieś w ciemności.

Przyczyną tych wszystkich dziwnych objawów była nie wścieklizna, ale najwykleszy w świecie obłąd. Głód i chłód, a nade wszystko przerażająca ciemność wywołały zamęt w biednej psiej głowie. Trzeba zaś wiedzieć, że gdy już raz pojawi się w psiarni owa psia choroba, to szerzy się niepowstrzymanie jak pożar. Uległ jej w czasie najbliższych łowów drugi pies, który począł szarpać się w uprzęży, rwać wodze i gryźć swych towarzyszy, aż w końcu dopadł go Kotuko i nie bez trudności pozbawił życia.

Potem znów czarny „drugi pies”, który dawniej był przodownikiem sfory, zaczął ni z tego, ni z owego szczekać, jakby przywidział mu się ślad jakiegoś renifera; gdy go odczepiono od *pitu*, rzucił się na pobliską bryłę skalną, jak gdyby ją chwycił za gardło, a następnie znikł kędyś w dali jak jego poprzednik, wlokąc za sobą uprzęż.

Od tego czasu nikt już nie chciał wyprowadzać psów na polowanie — przeznaczono je bowiem do innego użytku. Psy wiedziały, co je czeka, więc choć je powiązano i karmiono z ręki, jednakże w ich ślepiach malowała się rozpacz i trwoga. Na domiar złego stare baby zaczęły opowiadać straszne historie zwłaszcza o spotkaniach z widmami łowców zaginionych w czasie ostatniej jesieni, i o groźnych przepowiedniach, jakie posłyszały z ust tych niesamowitych przybyszów.

Kotuko niczym się tak nie martwił jak utratą swego psa. Głód był dlań mniejszym zmartwieniem, bo choć Inuici są skłonni do obżarstwa, jednakże umieją też i głodować. Ale głodówka wespół z mrozem, ciemnością i groźnym niebezpieczeństwem odbiły się w końcu na jego siłach, iż począł słyszeć dziwne jakieś głosy, odzywające się jakby pod czaszką, i dostrzegał kącikiem oka jakieś dziwne, nieistniejące ludzkie postaci. W pewną noc, po dziesięciogodzinnym czatowaniu koło „ślepej” przerębli, zdjął z nóg worek skórzany i z próżnymi rękami wracał do osady. Ledwie się trzymał na nogach i w głowie mu się kręciło ze zmęczenia, toteż przystanął na chwilę, by oprzeć się plecami o wielki głaz, lekko osadzony — niby ramię wagi — na samotnie sterczącej iglicy lodowej.

Ciężar chłopca wytrącił rzecz całą z równowagi: głaz runął ze swej podpory i począł z jękiem i zgrzytem staczać się po śliskiej, lodowej spadziźnie tuż poza plecami chłopca, który ledwo miał czas uskoczyć w bok i uniknąć śmierci.

Przygoda ta wydała się Kotukowi dostateczną wskazówką. Wychowano go w wierze, że każda skała i głaz ma w swym wnętrzu żyjącą istotę, czyli *inua*. Jest to najczęściej jednooka stwora rodzaju żeńskiego, zwana *tornaq*. Otóż ilekroć taka *tornaq* chciała przyjść z pomocą człowiekowi, toczyła się za nim w swej kamiennej postaci widzialnej, dopytując się, czy

Pies, Szaleństwo

Wierzenia, Potwór

nie zechciałby jej obrać swoją opiekunką. W czasie letnich roztopów nieraz się zdarza, że wsparte dotąd na krach lodowych głazy i skały toczą się lub wędrują po powierzchni łądu — stąd to, jak łatwo wnosić, urosły podania o żywych kamieniach.

Kotukowi szumiała — przez dzień cały zresztą — krew w uszach, on jednak wyobraził sobie, że to przemawia doń *tornaq*, ukryta w kamieniu. Zanim dotarł do domu, był święcie przekonany, że odbył z nią długą rozmowę; ponieważ wszyscy uważali to za rzecz całkiem możliwą, przeto nikt mu nie przeczył.

— Ona mówiła: „Skaczę, skaczę w dół z mego siedliska na śniegu!” — krzyczał Kotuko, pochylając się naprzód i wodząc zapadłymi głęboko oczyma po słabo oświetlonej chatynce. — Ona powiedziała: „Będę twoją przewodniczką”. Tak jest! „Zaprowadzę cię”, powiada, „do miejsc, gdzie roi się od fok”. Jutro więc wyruszę, a *tornaq* będzie mi przewodniczką.

Naraz w drzwiach chaty ukazał się *angekok* — szaman miejscowy. Kotuko opowiedział mu po raz drugi całą powyższą opowieść, nie opuszczając z niej ani słowa.

— Idź tam, gdzie cię wiodą *tornait* (duchy skalne), a one obdarzą nas pożywieniem — rzekł *angekok*.

Dziewczyna z Dalekiej Północy leżała od kilku już dni tuż obok kaganka, mało co jedząc, a jeszcze mniej mówiąc. Gdy jednak nazajutrz Amoraq i Kadlu przyładzili dla syna małe ręczne saneczki, kładąc w nie cały jego przybór myśliwski oraz cały zapas tranu i mrożonego mięsa, jaki zdołali zaoszczędzić, ona wstała z legowiska, ujęła sznur sanek i śmiałym krokiem poczęła iść przy jego boku.

— Twój dom jest moim domem — odezwała się, gdy wyrobione z kości saneczki zaczęły wśród zgrzytu i stuku sunąć poza nimi poprzez przerażającą głuszę nocy podbiegunowej.

— Mój dom jest twoim domem — odpowiedział Kotuko — ale mnie się zdaje, że oboje razem zawędrujemy do Sedny.

Sedna jest to imię władczyni podziemia. W jej straszliwej krainie — jak wierzą Inuici — każdy człowiek musi po śmierci przebyć rok cały, zanim podąży do *Quadliparmiut*, czyli miejsca wiecznej szczęśliwości, gdzie nie ma mrozów, a tłuste renifery przybiegają na każde zawołanie.

Po całej osadzie biegly okrzyki:

— *Tornait* przemówiły do Kotuko! One mu wskażą przeziory w lodach, gdzie będzie można zaopatrzyć się w focze mięso.

Głosy te niebawem pochłoneła mroźna ciemność lodowych pustkowi. Kotuko i dziewczyna szli ramię w ramię, ciągnąc wspólnymi siłami linę pociągową lub popychając sanki przez najeżone lodozwały. Kierowali się ku Morzu Podbiegunowemu. Kotuko twierdził, że *tornaq* kazała mu iść na północ — przeto szli wytrwale w tym kierunku, mając nad głową konstelację *Tuktudjung*, czyli Renifera, noszącą u nas miano Wielkiej Niedźwiedzicy.

Szlakiem tym, skoś rumowiska lodowych okruchów i zębatych ostrokołów kry, żaden Europejczyk nie przeszedłby ani pięciu mil dziennie. Oni jednak radzili sobie wybornie. Umieli lekkim skrętem ręki w przegubie przeprowadzić sanki dokoła każdego wzniesienia, jednym szarpnięciem wydobyć je z lodowej rozpadliny, a paroma spokojnymi ciosami utorować sobie bez nadmiernego wysiłku wygodną drogę tam, gdzie na pozór piętrzyły się nieprzebyte zawady.

Dziewczyna nie mówiła nic, tylko zwieszała głowę, a miotane wiatrem długie kosmyki na skunksowej obszewce jej gronostajowego kaptura smagały ją po szerokiej, ciemnej twarzy. Niebo nad głowami ich obojga miało gęstą barwę czarnego aksamitu, zaś na horyzoncie, gdzie rzędy wielkich gwiazd płonęły na kształt latarni ulicznych, mieniło się wstęgami ciemnej czerwieni. Od czasu do czasu przetaczała się po wysokim stropie zenitu zielonawa fala światła północnych, zamigotała jak bandera na szczycie masztu — i zniknęła. Kiedy indziej rozbłysła nagle na tle ciemności gwiazda spadająca i równie prędko gasła, wlokąc za sobą snop iskier. Wówczas ukazywała się przed oczyma wędrowców pełna bruzd i ostrych kantów powierzchnia lodów, dziergana i obrzeżona pasmami przedziwnych kolorów: czerwieni, brązu i sinego błękitu. Przy zwykłym świetle gwiazd wszystko zmieniało się w jednolitą szronową szarzyznę.

Gwiazda

Jak sobie przypominacie, lodowa skorupa powykrzywiła się i pozapadała pod nawałną burz jesiennych — toteż ruiną swoją przypominała obraz trzęsienia ziemi. Były tam przeróżne parowy i wąwozy; były wyrwy w lodzie, podobne wydrążonym przez ludzi żwirowiskom; nie brak też było sopli i okruchów, przymarzniętych do pierwotnej płyty lodowej; trafiały się też tafle starego, czarnego już lodu, który wepchnięty ongi<sup>121</sup> nawałnicą pod krawędź zamrzętego obszaru, wydobył się z czasem znów na powierzchnię. Obok brył krągłych szczyrzyły się, na kształt zębatej piły, ostre wręby lodowych przedmurzy, przystrojone wykwitami śniegu naniesionego przez wiatry, kiedy indziej zasię rozwierała się kilkadziesiąt akrów powierzchni obejmująca zapadłość, leżąca na pięć lub sześć stóp poniżej poziomu pól śnieżystych. Z niewielkiej odległości można było wziąć owe bryły lodowe za fokę, morsa, przewrócone sanie albo i gromadkę łowców, ba, nawet za samego białego niedźwiedzia-upióra o dziesięciu nogach. Wszystkie te zjawy miały taki wygląd, jak gdyby były gotowe lada chwila zerwać się do życia — ale wokoło nie było słyhać najbliższego szmeru ni echa. Wśród tej ciszy i pustki, gdzie co pewien czas rozbłyskiwały nagle i równie prędko gasły dziwne, nieziemskie światła, snuły się sanie z zaprzężonymi do nich ludźmi — niby jakieś blade, senne zwidy-niewidy, jakieś mary nocne, jawiące się w snach o końcu świata, wyśnionych iście na samym końcu świata...

Ilekrót poczuli zmęczenie, Kotuko budował tak zwaną przez myśliwców „budę”, czyli maluchną lepiankę śniegową, gdzie siedzieli skuleni, usiłując rozgrzać zmarznięte mięso nad kagankiem. Przespawszy się nieco, ruszali w dalszą drogę. Przebywali po trzydziści mil dziennie, by posunąć się pięć mil na północ. Dziewczyna milczała uporczywie, natomiast Kotuko mruczał wciąż coś pod nosem, a od czasu do czasu nucił pieśni, jakich nauczył się w domu śpiewaczym; były to pieśni o lecie, renach i lososiach, rażąco sprzeczne z porą roku i sytuacją. Niekiedy oświadczał, że słyszy *tornaq* przemawiającą doń półgłosem, po czym z dzikim rozpędem wbiegał na pierwszy lepszy wzgórek, trzęsąc rękoma i wykrzykując coś groźnym głosem. Prawdę powiedziawszy, Kotukowi już niewiele brakowało do szaleństwa. Jednakowoż dziewczyna była przekonana, że prowadzi go duch opiekuńczy i że wszystko skończy się pomyślnie.

Nie zdziwiła się przeto nawet wówczas, gdy po czwartym marszu całodziennym Kotuko — z oczyma palającymi jak dwie kule ogniste — nagle oznajmił jej, że *tornaq* postępuje za nimi w postaci psa o dwu głowach. Dziewczyna spojrzała w kierunku wskazanym przez Kotuka i rzeczywiście wydało się jej, że dostrzega jakąś Istotę, która w tej chwili zsunęła się w rozpadlinę.

Nie była to na pewno istota ludzka, ale wiadomo, że *tornait* wolą ukazywać się w postaci fok, niedźwiedzi i wszelakich zwierząt. Mógł to być sam biały dziesięcionogi niedźwiedź-upiór, jeżeli nie coś jeszcze gorszego, bo Kotuko i dziewczyna byli tak zmorzeni głodem, że nie dowierzali już swemu wzrokowi. Od czasu wyjścia z wioski nie upolowali nic, a nawet nie dostrzegli śladu zwierzyny. Zapasy, jakie mieli z sobą, mogły im starczyć ledwie na tydzień; tymczasem zaś już z oddali nadciągała zawierucha. Burza podbiegunowa zdolna jest trwać przez dziesięć dni bez przerwy, a wówczas każdy, kto znalazł się w czystym polu, skazany jest na śmierć nieuchronną.

Kotuko wznosił chatę śniegową, dostatecznie wielką na pomieszczenie sanek ręcznych (przezorność nakazuje, by nie rozstawać się z zapasami żywności), a gdy nadawał odpowiedni kształt bryle, mającej stanowić zwornik sklepienia, ujrzał Istotę pozierającą<sup>122</sup> nań z małego lodowego cypla, znajdującego się o pół mil opodal. Powietrze było mgliste, przeto owa zjawka zdawała się zmieniać wciąż w swych zarysach; miała jakoby czterdzieści stóp długości i dziesięć stóp wysokości, a ogon ciągnął się na stóp dwadzieścia. Dziewczyna również ją dostrzegła, ale zamiast krzyknąć głośno z trwogi, odezwała się spokojnie:

— To *Quiquern*. Ciekawam, co się teraz stanie.

— On chce ze mną mówić — rzekł Kotuko, ale szpadel drżał mu w ręce przy tych słowach, bo choć to człek nieraz podaje się za przyjaciela straszliwych i nieznananych duchów, to jednak rzadko kiedy ma ochotę poprzeć czynem swoje słowa...

*Quiquern* jest to widziadło olbrzymiego, bezwłosego i bezzębego psa, który — wedle

Wierzenia, Potwór

<sup>121</sup>ongi — kiedyś, dawniej.

<sup>122</sup>pozierać (gw.) — spoglądać.



wierzeń inuickich — żyje na Dalekiej Północy i wędruje po tych okolicach, gdzie ma wkrótce zdarzyć się coś niezwykłego. Mogą to być zdarzenia pomyślne lub niepomyślne — atoli nawet szamani nie lubią wspominać o *Quiquernie*. Jego pojawienie pobudza psy do szaleństwa. Ma on, podobnie jak widmo niedźwiedzia, kilka zapasowych par odnóży — jakoż i Istota wyczyniająca dziwne skoki wśród mgły miała więcej nóg, niż ich sobie liczy pies zwyczajny.

Kotuko i dziewczyna schronili się pośpiesznie do lepianki: ma się rozumieć, że gdyby *Quiquern* zechciał, mógłby na przekór wszelkim zabiegom rozszarpać ich w kawałki; bądź co bądź jednak wielką pociechę dawała im świadomość, że gruba ściana śniegowa oddziela ich od okropnej ciemni, zalewającej świat cały. Wichura rozwrzeszczała się przeraźliwym hukiem i gwizdem, niby pędzący pociąg błyskawiczny, i szalała przez trzy dni i trzy noce, nie zmieniając ani trochę swej nuty i nie słabnąc ani na chwilę. Oni przez siedemdziesiąt dwie godziny podsycali kaganek kamienny ogrzewający ich kolana, żuli ledwie że ciepłe mięso focze i przyglądali się smugom czarnego kopciucha, osiadającego na stropie lepianki.

Dziewczyna przeliczała leżące na sankach zapasy, z trudem mogące wystarczyć na dwa dni, a Kotuko oglądał żelazne ostrza i z żył reniferowych sporządzone wiązadła harpuna, oszczep używany na foki oraz sidła na ptaki. Innego zajęcia nie było.

— Rychło... bardzo rychło... pójdziemy do Sedny — szepnęła dziewczyna. — Za trzy dni położymy się i pomrzemy. Czyż twoja *tornaq* nic nam nie poradzi? Zaśpiewaj jej jakąś pieśń szamańską, a może się tu zjawi...

Głosem przeraźliwym — na nutę najwyższą, jaką mógł z gardła wydobyć — Kotuko jął zawodzić guślarskie pieśni i zaklęcia. Nie pieśń to była raczej, ale wycie. Burza z wolna zaczęła przycichać. W połowie jego śpiewów dziewczyna zerwała się i przyłożyła urękawiczoną dłoń, następnie zaś głowę do lodowego dna lepianki. Kotuko poszedł za jej przykładem i leżeli tak na kłęczkach oboje, patrząc sobie wzajemnie w oczy i nadsluchując każdą niejako tkanką swego ciała. On odhupał cienką szczyptę fiszbinową z leżących na sankach sidła na ptaki i wyprostowawszy ją, wetknął prostopadle w małą szparkę w podłodze, przytrzymując dłonią górny koniuszek.

W ten sposób powstał przyrząd niemal tak czuły, jak igła busoli. Odtąd zamiast nadsluchiwać, przyglądali się. Pręcik drgnął ruchem ledwie dostrzegalnym, potem chwiał się regularnie przez parę sekund, znieruchomiał na chwilę i znów zaczął drgać, tym razem już wskazując inną stronę świata.

— Jeszcze za wcześnie! — ozwał się Kotuko. — Jakaś duża płyta lodowa musiała się oderwać gdzieś opodal.

Dziewczyna wskazała na pręcik i potrząsnęła głową.

— Nadszedł czas wielkiego pęknięcia lodów — odpowiedziała. — Przyłóż ucho do ziemi, a posłyszysz stukanie.

Tym razem, gdy przyklękli, posłyszeli dziwne, stłumione jęki i stukanie, rozlegające się jakoby tuż pod ich nogami. Odgłosy te czasem przypominały skomlenie ślepego szczeniątka, zawieszzonego nad kagankiem; czasem zgrzyt głazu toczącego się po twardej skorupie lodowej; to znów przygłuszony warkot bębna — ale wszystkie brzmiały przewlekłe i niewyraźne, jak gdyby przedostawały się tu przez małą słuchawkę z wielkiej, bardzo wielkiej odległości.

— Tak jest! Pójdziemy do Sedny, ale nie na śmiertelnym łożu! — rzekł Kotuko. — To lody pękają. Oszukała nas *tornaq*. Zginiemy już niebawem!

Jakkolwiek cała ta rozmowa mogłaby się komuś wydać niedorzeczna, to jednak Kotukowi i dziewczynie groziło teraz istotnie poważne niebezpieczeństwo. Szalejąca od trzech dni burza przygnała z południa, od Zatoki Baffina, zawałę głębinnej wody, która wtargnąwszy daleko w głąb lądu, spiętrzyła się na krawędzi lodowego cypla, ciągnącego się w kierunku zachodnim od Wyspy Bylota. Na dobitkę, silny prąd, który przebiega na wschód od Cieśniny Lancasterskiej, przyniósł ciągnące się milami zatory kry, która nie zdążyła stężeć w jednolitą skorupę. Ta kra tłukła tysiącem ostrych taranów w ścianę lodów, którą jednocześnie miękły i podwazywały zaciekle nurty wezbranej morskiej kipieli.

To, czemu przysłuchiwali się Kotuko i dziewczyna, było tylko słabym odgłosem walk rozgrywających się o trzydzieści lub czterdzieści mil opodal walk tak wstrząsających, że na samo ich wspomnienie drżała z trwogi mała wróżbiarska laseczka fiszbinowa.

Otóż powiadają Inuici, że gdy lód raz się przebudzi po długim śnie zimowym, niepodobna przewidzieć, co się zdarzyć może lada chwila, bo twarda masa lodowej skorupy staje się podówczas tak niestała i zmienna, jak obłoki na niebie. Snadź<sup>123</sup> owa burza była przedwczesną burzą wiosenną i wszystkiego można się było po niej spodziewać.

Wszelakoż ci dwoje, zagrożeni niepewnymi losy, czuli się szczęśliwsi niż przódy<sup>124</sup>. Nie trąpili się, że pękający lód może się rozewrzeć pod ich stopami; wiedzieli, iż byłby to dla nich kres mąk wyczekiwania. Na krach i złomach lodowych lubiły snuć się i hasać planetniki i duszki, diablęta i jędze, więc łącznie mogli zstąpić do Sedny wraz z całą hałastrą najprzeróżniejszych dziwnych istot, których sam widok napęnia człeka przerażeniem.

Gdy po burzy opuścili lepiankę, łoskot nadbiegający od krańców widnokręgu wzmagął się ustawicznie i rósł w siłę, a topniejący po wierzchu lód pojękiwał i gwarzył wszędy wokół.

— Patrz no! On tam na nas czeka! — rzekł Kotuko.

Na szczycie wzgórzka siedziała owa ośmionoga istota, którą widzieli przed trzema dniami. Siedziała — a raczej kuliła się — i wyła przeraźliwie.

— Chodźmy za nim! — ozwała się dziewczyna. — Może on wskaże nam jakąś drogę, która nie wiedzie do Sedny.

Wzięła w ręce linę i poczęła ciągnąć sanie, ale nogi się pod nią gięły i zataczała się z osłabienia.

Tymczasem potwór podniósł się i jął z wolna, niezgrabnie posuwać się po lodowych garbach na zachód, w stronę ładu. Szli i szli za nim, ścigani przez coraz bliższy huk, biegnący znad morskiego wybrzeża. Na obszarze trzech albo i czterech mil widać było skorupę lodową popękaną i porysowaną we wszystkich kierunkach. Wielkie połacie lodu grubego na dziesięć stóp, a mierzące od kilku sążni kwadratowych do dwudziestu akrów powierzchni, podrygiwały, nurkowały, kłębiły się oraz wskakiwały na siebie wzajemnie albo też na nieprzebitą jeszcze skorupę — niesione i miotane kipiącą morską powodzią. Te napastliwe i miażdżące bryły były jakby pierwszą linią wojska wysłanego przez rozszalały żywioł wodny przeciw żelaznej potędze mroźnego królestwa.

Wśród ich nieustannego huku i trzasku cichnął niemal doszczętnie chrzęst płatów kry, spychanych od razu całą więzią pod brzeg lodu — jakby ktoś wrzucał w pośpiechu talię kart pod sukno. Tam, gdzie woda była płytka, te płaty piętrzyły się jedne na drugich, póki najniższy z nich nie zarył się na pięćdziesiąt stóp w muliste dno; wówczas morze przybierało barwę mętną i póty parło na zaporę brudnego lodu, aż w końcu łamała się pod coraz to rosnącym naciskiem i dawała swobodne przejście bałwanom. Jakby nie dość było kry i macierzystego lodowiska, nawałnica i prądy morskie nanosiły od strony Grenlandii lub z północnego wybrzeża Zatoki Melville'a prawdziwe góry lodowe. Nadjeżdżały one z wielką okazałością, w okwieciu białej piany, podobne staroświeckim statkom o rozwiniętych wszystkich żaglach. Były pomiędzy nimi olbrzymie i masywne turnice — rzekłbyś, gotowe ruszyć z posad wszelki łąd napotkany, ale gdy już docierały do lodowego obszaru, osiadały przed nim bezradnie, kręciły się w kółko i pływały się w brudnych mydlinach piany, wśród miazgi rozbryzgiwanych sopli. Natomiast inne — mniej okazałe — wrzynały się w zrąb macierzystego lodu i rozmiatając na oba boki całe tony pryskających okruchów, ryły w nim szlak mający nieraz całą milę długości.

Niektóre uderzały niby tasaki, wyrąbując w lodzie kanały o poszarpanych brzegach, inne zaśię rozpryskiwały się w istną ulewę odłamków, ważących po kilka ton każdy z osobna, a przewalających się i wirujących kłębem wśród lodowych wzniesień. Inne znowu, osiadłszy na mieliznach, wynurzały się całkowicie z wody, wiły się jakoby w bólu i waliły się całym ciężarem na bok, wystawiając grzbiet swój na chłostę wodnej przelewy. To gromadzenie się lodowych zatorów, to ich miażdżenie się wzajemne, ich wiązanie się, piętrzenie i wyginanie w najrozmaitsze postacie widoczne było, jak okiem sięgnąć, na całej północnej rubieży lodowiska.

Z miejsca, gdzie znajdował się Kotuko z dziewczyną, cały ten zamęt wydawał się — ot, nieznaczną falą, pełznącą niemrawo gdzieś na widnokręgu. Fala ta jednak zbliżała się ku nim coraz bardziej z każdą chwilą, a hen daleko od strony ładu słyszeli głucho dudnienie

<sup>123</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

<sup>124</sup>przódy a. wprzódy — najpierw.

przypominające huk dział pośród mgły. Świadczyło to, że lodowa masa została wtłoczona pomiędzy niepożyte rafy Wyspy Bylota, znajdującej się gdzieś poza nimi, na południu.

— Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widział! — bąknął Kotuko, wytrzeszczając oczy głupawo. — Toż jeszcze nie czas! Jakimże sposobem mogłaby o tej porze roku pękać skorupa lodowa?

— Idźmy za nim! — krzyknęła dziewczyna, wskazując na zjawę, która utykając, to znów biegnąc nierównym krokiem, posuwała się przed nimi.

Ruszyli w ślad za nią — szli, szli, z całej mocy ciągnąc saneczki — a hucząca nawała lodów podchodziła ku nim coraz bliżej. W końcu położenie stało się wręcz groźne.

Polą lodowe, otaczające ich oboje, poczęły ze wszech stron trzeszczeć i pękać, a ukazujące się szczeliny na przemian to zwierały się, to rozwierały, niby zębce zgłodniałych wilków. Atoli tam, gdzie usadowiła się zjawa — na wzgórk, zasypanym zwałami brył lodowych, a mierzącym z górą pięćdziesiąt stóp wysokości — był bezruch i martwa cisza. Kotuko rzucił się gwałtownie naprzód, pociągnął za sobą dziewczynę i wygramolił się na podnóże wzgórka. Rozhovor<sup>125</sup> lodów wokoło nich stał się coraz głośniejszy, ale wzgórek trwał w miejscu nieporuszenie. Dziewczyna spojrzała na towarzysza pytająco on zaś zgiął prawe ramię i podniósł je łokciem wwyż. Był to używany przez Inuitów znak ogłaszający bliskość lądu w ogóle, w szczególności zaś wyspy.

Tak jest! Ośmionożne dziwo przywiodło ich na ląd — na jakąś daleką od kontynentu wysepkę, obmurowaną granitem, obwiedzioną wydmami piasku, ale tak dla niepoznaki schowaną, zakutą i spowitą w pancierz białej śreni, iż nikt by się nie domyślił, że to mocny ląd, nie zaś nietrwiała skorupa. Granice tej wysepki odsłoniły się i zarysowały wyraźnie dopiero dzięki odpartemu zwycięsko atakowi kry, podruzgotanej o skały, powalonej w nieruchomej bezsile. Od strony północnej ukazała się powabna wydma, odrzucająca w bok miazgę lżejszego lodu, podobnie jak lemiesz pługa odkłada skiby miękkiej gliny. Co prawda groziło niebezpieczeństwo, że któraś z tafli lodowych, wypchnięta większym ciężarem, może przerzucić się przez brzeg i zrównać jakby strychnicem wierzchołek wysepki, ale Kotuko i dziewczyna nie martwili się tym wcale. Zbudowali sobie chałupkę ze śniegu i zabrali się do jedzenia, słuchając, jak lód tłucze o brzeg i ześlizguje się z jego powierzchni.

Dziwna zjawa znikła kędyś, więc Kotuko, kucnąwszy tuż koło kaganka, jął opowiadać o władzy, jaką miał nad duchami. Bąkał i bąkał, i zapalał się coraz bardziej, plotąc zgoła niestworzone historie. Nie dobrnął jednakże do ich końca, gdyż dziewczyna nagle poczęła śmiać się do rozpuku, kołysząc się przy tym gwałtownie to w tył, to naprzód.

Spoza jej ramienia wysunęły się nagle jakieś dwie głowy — jedna czarna, druga żółta — i jęły z wielką trudnością, cal po calu, wpychać się do wnętrza śnieżnej lepianki.

Były to głowy dwóch psów — a miały wyraz tak zawstydzony i smętny, że w całym świecie próżno byś szukał czegoś im podobnego. Jednym z psów był Kotuko, drugim zaś wielki czarny przodownik. Oba wyglądały dobrze, były wypasione i jakoby już całkiem zdrowe na umyśle — tylko przypadek jakiś powiązał je z sobą w sposób zgoła osobliwy. Pamiętajcie, że czarny przodownik zbiegł razem z uprzężą. Spotkawszy się z psem-Kotukiem, niewątpliwie wdał się z nim w bójkę czy zabawę — wobec czego jego lejce zawikłały się w pleciony drut obroży Kotuka, tak iż żaden z psów nie mógł dostać się do rzemienia i rozgryźć go, gdyż ich karki stykały się bezpośrednio z sobą. Ta przygoda, wraz z niemożnością swobodnego polowania na własny rachunek, wyleczyła je niechybnie z obłądu. Oba psy były zdrowe jak ryby.

Dziewczyna przywlokła do Kotuka oba zawstydzone zwierzęta i zaśmiewając się do łez, zawołała:

— Patrz, oto ten *Quiquern*, który nas doprowadził do bezpiecznego lądu! Nie widzisz, że ma osiem nóg i dwie głowy?

Kotuko rozciął rzemień krępujący psy, a one — nie posiadając się z radości — rzuciły mu się na pierś, starając się w psim języku wyjaśnić, jakim sposobem powróciły do niego i do zdrowia. Kotuko pogładził ich spaśne i kudłate grzbiety i rzekł z uśmiechem:

— Aha! Znalazły żywność! Zdaje mi się, że nie od razu powędrujemy do Sedny. Moja *tornaq* przysłała mi tutaj te psiska! Choróbsko już je opuściło.

<sup>125</sup>rozhowor — rozmowa.

Przywitawszy się z Kotukiem, oba psy — zmuszone przez kilka ostatnich tygodni sypiać, jadać i polować razem w przykładowej zgodzie — natychmiast, jak na komendę, rzuciły się sobie do gardła i lepianka śnieżna stała się widownią okrutnej walki.

— Głodne psy nie żrą się z sobą! — zauważył Kotuko. — One tu gdzieś polowały sobie na foki. Prześpijmy się spokojnie, bo już na pewno będziemy mieli pożywienie.

Gdy się zbudzili, ujrzeli koło wybrzeża wysepki otwartą przestrzeń wodną — bo pokruszone kry dawno już pognały w stronę lądu. Pierwszy odgłos morskiego przyboju jest prawdziwą muzyką dla ucha Inuity, gdyż zwiastuje nadchodzącą wiosnę. Kotuko i dziewczyna ujęli się za ręce i uśmiechnęli się do siebie. Wyraźny, donośny huk przyboju pomiędzy lodami wskrzesił w nich wspomnienie wypraw na reny i łososie oraz czarownego zapachu rozkwitającej łożyny. Gdy tak patrzyli, morze, pokryte szumowinami zwelionej kry, zaczęło z wolna klarować, krzepnąć znów pod tchnieniem mroźnego wichru, ale na widnokręgu rozlewała się powódź jaskrawej czerwieni; odbłask niewidocznej tarczy słonecznej.

Słońce nie tyle wstawało, ile raczej ziewnęło sobie głośno przez sen — boć jasność ta trwała zaledwie przez parę minut. W każdym razie była to już zapowiedź nowego okresu w roku. Oni to czuli oboje i byli spokojni o przyszłość.

Szukając psów, Kotuko znalazł je w zażartej bójce nad świeżo ubitą foką, która właśnie ścigała ławicę ryb gnaną wiatrem. Była to pierwsza z dwudziestu czy trzydziestu fok, jakie w ciągu tego dnia wylądowały na wysepce, a zanim morze zamarzyło z powrotem, już setki zuchwałych czarnych łbów foczych uwijały się po wolnych jeszcze od lodu płycznach i mknęły w zawody z krą bujającą się po falującej toni.

Jakże miło było pożywiać się znowu foczą wątróbką, napełniać kaganki obficie tranem i przyglądać się płomieniowi strzelającemu na trzy stopy w górę! Ale skoro morze pokryło się ponownie lodową skorupą, Kotuko i dziewczyna obarczyli saneczki ciężkim ładunkiem, zmuszając psy do niebywałej wprost harówki, bo niepokoił się na myśl o tym, co też dzieje się w wiosce. Wichura wciąż dawała się tego we znaki, ale oni nic sobie nie robili z wszelkich trudów boć łatwiejszą jest rzeczą ciągnąć sanie naładowane brzemieniem smacznego mięsiwa niż polować o głodzie. Dwadzieścia pięć zabitych fok zagrzebali na wszelki wypadek na lodzie koło wybrzeża, po czym ruszyli pośpiesznie ku rodzinnemu osiedlu.

Psy, dowiedziawszy się od Kotuka, jaka je czeka nagroda, same wskazywały im drogę, więc choć nie było żadnych drogowskazów, jednakże po dwóch dniach głośnym szczekaniem powitały wioskę. Tylko trzy psy im odpowiedziały — albowiem wszystkie inne już od dawna były zjedzone. W chatach panowała niemal zupełna ciemność, ale gdy Kotuko huknął:

— *Ojo!* (gotowane mięso) — odpowiedziało mu kilka słabych głosów. Gdy zaś chłopak wszedł do osady i chodząc od chaty do chaty, jął wyraźnie po imieniu nawoływać jej mieszkańców, odkrzykiwano mu się wszędzie bez zwłoki. Nie brakło nikogo.

W godzinę później w chacie Kadlu płonęły kaganki, grzano wodę z roztopionego śniegu, garnki zaczynały skwierczeć i bulgotać, a ze śniegowej złodzi nad okapem sączyły się ciurkiem perliste krople: to Amoraq gotowała ogromny obiad dla całego osiedla. Niemowlę ssało z lubością tęgi skrawek soczystej tłustości, a bracia łowiecka jęła z wolna i z namaszczeniem opychać się po samo gardło foczym mięsem. Kotuko i dziewczyna długo opowiadali wszystkim biesiadnikom swoje przygody.

Oba psy siedziały pośrodku, a ilekroć posłyszały swe imiona, natychmiast nastawiały uszy i robiły minę wielce zawstydzoną. Powiadają Inuici, że pies, który wyleczył się z obłądu, jest już przed jego skutkami zabezpieczony na całe życie.

— *Tornaq* nie zapomniła o nas — mówił Kotuko. — Wichur dał, lód pękał, a foki płynęły za rybami spłoszonymi burzą. Nowe jamy focze znajdują się o niecałe dwa dni drogi od nas. Niech więc jutro wyruszą co najtężsi myśliwi i przywiozą tu te dwadzieścia pięć fok, które na zapas zagrzebałem w śniegu. Zanim je pozjadamy, będziemy mogli wszyscy znowu polować na foki, na własnym naszym łowisku.

— A ty co zamierzasz zrobić? — zapytał go szaman miejscowy tym tonem, jakiego używał wobec Kadlu, najbogatszego obywatela Tununirmiut.

Kotuko spojrział na dziewczynę z Dalekiej Północy i rzekł:

— *MY* wybudujemy chatę.

I wskazał ręką w stronę północno-zachodnią, bo w tym kierunku od ojczystej sadyby zakłada chatkę syn lub córka, wstępując w związki małżeńskie.

Dziewczyna podniosła ręce dłońmi w górę, potrząsając desperacko głową. Była przecież cudzoziemką, ledwie uratowaną od głodowej śmierci, i nie mogła wnieść żadnego wiana w dom swojego małżonka.

Amoraq zerwała się z tapczanu i poczęła rzucać na kolana dziewczynie kamienne kaganki, żelazne zgrzebła, blaszane kociołki, skóry reniferowe, obszywane zębami wołu piżmowego oraz prawdziwe szydła, jakich używają okrętnicy do łatania żaglowego płótna — słowem, dała jej najpiękniejszą wyprawę ślubną, na jaką zdobyć się można na dalekich obszarach strefy podbiegunowej. Dziewczyna schyliła głowę do samej niemal ziemi.

— Weź sobie także i te dwa zwierzaki! — dodał ze śmiechem Kotuko, wskazując psy, które przytknęły zimne pyski do twarzy dziewczyny.

— Hm! — chrząknął poważnie *angekok*, jakby to on obmyślił całą wyprawę. — Gdy Kotuko opuścił wioskę, udałem się do śpiewaczego domu i poczęłem zawodzić czarno-księskie pieśni. Śpiewałem je przez noc całą, przyzywając Ducha Renifera. *Moje* to śpiewanie sprowadziło ową wichurę, która przełamała lody i przywiodła ku Kotukowi oba psy, właśnie w chwili gdy mu zagrażała śmierć niechybna. *Mój* też śpiew przygnał foki za nawałą kry pokruszonej. Ciało moje leżało w *quaggi*, ale mój duch biegł po lodzie, służąc za przewodnika Kotukowi i psom na każdym ich kroku. Tak jest, *jam* to wszystko uczynił.

Wszyscy byli najedzeni i senni, więc nikt się nie sprzeciwiał jego słowom. *Angekok* uraczył się jeszcze jednym kęsem gotowanego mięsa i wraz z innymi ułożył się do snu w ciepłej, rześcicie oświetlonej izbie, nasyconej przemiałą wonią tranu...

Kotuko, który umiał pięknie rysować na sposób inuicki, wyrył na długiej tabliczce kościanej z dziurą w rękojeści — szereg obrazków przedstawiających opowiedziane tu przygody. Gdy z końcem owego roku, pamiętnego czarodziejским pęknięciem lodów w zimowym okresie, udał się wraz z dziewczyną na północ, do kraju Ellesmere'a, zostawił tabliczkę w chacie swego ojca. Pewnego razu zgubił ją Kadlu nad jeziorem Nettilling koło Nikosiring, gdzie mu się połamały sanie na twardym żwirze nadbrzeżnym. Następnej wiosny znalazł ją tam jeden z Inuitów Nadjeziornych i sprzedał ją w Imigen pewnemu człowiekowi, który służył za tłumacza wielorybnikom na Cieśninie Cumberlandzkiej; ten zaś sprzedał ją Hansowi Olsenowi, który był później bosmanem na wielkim parowcu, wożącym turystów do Północnego Przylądka w Norwegii. Gdy skończył się sezon turystyczny, parowiec kursował na linii Londyn-Australia, zatrzymując się po drodze na Cejlonie. Tam Olsen sprzedał tabliczkę syngaleskiemu jubilerowi za dwa sztuczne szafiry. Ja znalazłem ją wśród różnych rupieci w jednym domu w Kolombo — i przepisałem ją od początku do końca, tłumacząc jej treść na nasz język.

### *Pieśń powracających łowców*

#### *Angutivun Taina*

Podaję swobodny przekład *Pieśni powracających łowców*, śpiewanej przez Inuitów po odbyciu łowów na foki. Nadmienię, że Inuici mają zwyczaj powtarzać każdą rzecz po wiele razy.

Rękawice nam skrzepliły od zmarzniętej krwi ciepłej,  
Śnieg na szubach nam przywarł jak puch dzikich łabędzi.  
Hej, wracajmyż do chaty — łup przywozimy bogaty —  
Z polowania, znad lodów krawędzi!

*Au jana! Aua! Oba! Haq!*

Głośno szczeka psów sfera i w zaprzęgu het pędzi!  
Długie bicze klaskają, bo myśliwcy wracają  
Z polowania, znad lodów krawędzi!

Idziem w ślady za foką, w jej kryjówkę głęboką:  
Już słyszymy jej chrobot — w odległości trzech piędzi...

Kryć się w mig za lodozwał!... Nikt się słowem nie ozwał...  
Czatujemy na lodów krawędzi...

Foka z wód się wychyli — my się porwiem w tej chwili —  
Oszczepami ją po łbie!... Nikt niech ciosów nie szczędzi!  
Zanim zipnąć zdołała, już ją łowcy dobili  
I powlekli po lodów krawędzi...

Rękawice nam skrzepliły od zamarłej krwi ciepłej,  
W oczy tnie nas zawieją, wiatr w powieki nas śwędzi —  
Lecz my śpieszymy do żon i przywozimy im plon  
Z polowania, znad lodów krawędzi!

*Au jana! Aua! Oba! Haq!*  
Głośno szczeka psów sfora i w zaprzęgu het pędzi!  
Więc niewiasty poznają, że mężowie wracają  
Z polowania, znad lodów krawędzi!

#### RUDE PSY

W imię nocy srebrzystych i cudnych,  
gdy wzrok bystro w dal sięga,  
gdy się święcą fortele łowieckie,  
chyży bieg i urocza włóczęga!  
W imię wonnych poranków, gdy w trawie  
jeszcze iskrzy się rosa,  
gdy wśród mgły można napaść znienacka  
na zwierzynę z ukosa!  
W imię wrzawy kamratów, gdy zwierza  
osaczą nagle wśród kniej!  
W imię trudów zdobyczą owocnych  
i hałasów conocnych!  
W imię snów całodziennych w ojczyściej pieleszy —  
hej, kto żyw, niech się zerwie i na krwawy bój śpieszy!  
O hej! o hej! o hej!

Po najeździe dżungli na ludzkie osiedla rozpoczął się najszcześniejszy okres w życiu Mowgliego. Odtąd już chłopak doznawał zupełnego spokoju sumienia jak człowiek, który wypłacił się z wszystkich swych długów i należności. Cała dżungla była z nim na stopie przyjacielskiej, bo cała dżungla go się bała. To, czego dokonał, co widział i słyszał, gdy bądź samopas, bądź z czwórką swych kamratów wędrował pośród różnych plemion, złożyłoby się na wiele, wiele opowieści, z których każda byłaby równie długa jak niniejsza.

Przeto też nigdy już wam nie opowiem, jak uszło na sucho Mowgliemu spotkanie z oszalałym słoniem mandalajskim, który uśmiercił dwadzieścia dwa woły, wiozące do skarbcza rządowego jedenaście wozów z pieniędzmi, i rozsypywał po ziemi błyszczące rupie; jak Mowgli razu pewnego walczył przez noc całą z krokodylem Jacalą i złamał sobie nóż myśliwski na twardym, opancerzonym grzbiecie potwora; jak następnie znalazł nowy, dłuższy nóż, zawieszony u szyi człowieka zabitego kłami odyńca; jak wytropił tego odyńca i śmiercią jego okupił nabycie noża; jak podczas wielkich głodów omal na śmierć go nie stratały przebiegające stada rozjuszonych a w biegu niepowstrzymanych jeleni; jak ocalił mrukliwego słonia Hathiego, wskazując mu czyhający nań dół z ostrym kołem na dnie; jak następnie sam wpadł w misterną pułapkę, zastawioną na lamparty, i jak Hathi odwzajemnił mu się za przysługę, rozbijając na miazgę grube belki jego więzienia; jak doił pasące się na żuławach dzikie bawolice i jak... Ale na razie trzeba się zadowolić jedną tylko opowieścią.

...Ojciec Wilk i Matka Wilczyca już pomarli, a Mowgli odśpiewał im tren żałobny, zawalwszy wielkim głazem wnijsię jaskini. Baloo bardzo się zestarzał i zniedołężniał, a nawet Bagheera, która miała nerwy ze stali i żelazne muskuły, czasem przecie trochę poszkapiała się w łowach. Akela z szarego stał się mlecznobiały od starości; widać mu było wszystkie żebra, a chodził tak, jakby miał nogi z drewna. Toteż Mowgli wyręczał go w łowach i zaopatrywał w zwierzynę.

Tymczasem młode wilczki, potomstwo rozwiązanej Drużyny Seeoneeńskiej, rosły i rozmnażały się, ciesząc się pełnią dobrobytu; gdy zaś nabrało się już około czterdziestu takich samowolnych, bezpańskich wagabundów-pięciolatek, Akela jął im doradzać, by sprzymierzyły się w Gromadę, wybrały sobie herszta i poddały się wilczemu prawu, jak przystało na członków Wolnego Plemienia.

Mowgli nie wtrącał się do tych spraw, boć — jak sam się wyraził — skosztował już kiedyś gorzkich owoców i wiedział, na jakim drzewie rosną. Atoli gdy Phao, syn Phaony (którego ojcem był Szary Tropicielec z czasów naczelnictwa Akeli), wywalczył sobie wedle Praw Dżungli pierwszeństwo w drużynie — gdy pod gwiaździstym niebem na nowo rozbrzmiewać poczęły stare hasła i śpiewy, Mowglię skusiło wspomnienie — i jął przychodzić na Skalę Narady. Siadywał przy boku Akeli, powyż Phaona, a ilekroć raczył zabierać głos, cała drużyna w ciszy wielkiej słuchała, póki nie skończył mówić. Wróciły się czasy szczęśliwych łowów i snu szczęśliwego. Nikt obcy nie śmiał wdzierać się w obszary puszczańskie, należące do plemienia Mowglięgo, jak teraz nazywano wilczą drużynę. Wilczki nabierały tuszy i siły, a na obrzęd oględzin przyprowadzano zawsze spory zastęp wilczątek. Mowgli zawsze brał udział w oględzinach. W żywej pamięci miał ową noc, gdy dzięki pewnej czarnej panterze pewne голуśkie bobo zostało członkiem Wilczej Gromady. Toteż przeciągłe wołanie:

— Przyjrzyjcie się, przyjrzyjcie się, o Wilcy! — budziło w jego sercu dreszcze dziwnych uczuć.

Resztę czasu spędzał daleko, w głębi dżungli, gdzie zaznawał coraz to nowych przyjemności, widoków, spostrzeżeń i wrażeń.

Pewnego wieczoru o zmierzchu, gdy biegł marudnie przez chaszczę, wlokąc przeznaczoną dla Akeli połowę upolowanego kozła, a towarzysząca mu czwórka wilków-kamratów poszturchiwała się wzajemnie i z uciechą przewracała się po trawie — nagle opodał rozległ się wrzask, jakiego nie słyszano od czasów nieświętej pamięci Shere Khana. *Pheal* taką nazwę nosi ów okrzyk przeraźliwy, jaki wydaje szakal, gdy poluje na ochłapy zostawione przez tygrysa lub gdy zanoszą się na jakieś wielkie łowy. Jeżeli potraficie sobie wyobrazić bezładny zespół nienawiści, tryumfu, trwogi i rozpacz, na dobitkę przetkany nutą przebiegłej złośliwości, to możecie sobie jako tako wyobrazić ów *pheal*, który rozbrzmiał nagle hen gdzieś poza Wajngangą — i skonał w pogłosie drgających zawodzeń i jęków. Wilki najeżyły sierść i poczęły warczeć. Mowgli porwał się do noża i stanął jak skamieniały.

— Wątpię, by jakiś Pręgowaty ośmielił się tu polować — rzekł na koniec.

— To nie krzyk przodownika — zauważył Szary Brat. — To jakieś wielkie łowy! Słuchajcie!

Wycie ozwało się znowu, brząc na przemian to łkaniem, to zjadliwym chichotem — jak gdyby paszcza szakala była tak miękka i do wszelkich dźwięków podatna jak wargi człowieka. Mowgli nabrał tchu całą piersią i popędził ku Skale Narady, zagarniając po drodze i przynaglając do biegu zaniepokojone wilki należące do stada. Phao i Akela siedzieli już razem na Skale, a poniżej usiedli w napięciu inni. Samice z młodymi gnały cwałem do jaskiń, bo gdy zabrzmiał *pheal*, nie czas wtedy wałęsać się temu, co słabe i bezbronne.

Przez długi czas nie było słyhać nic prócz pluskotu fal Wajngangi płynących w wieczornej pomroce oraz szelestu wiatrów pomiędzy liśćmi drzew leśnych. Naraz gdzieś poza rzeką rozległo się nawoływanie wilka. Nie był to żaden z wilków należących do drużyny, te bowiem co do jednego znajdowały się pod Skalą. Zew przeszedł w przeciągłe, rozpaczliwe ujadanie, które głosiło:

— *Dhole! Dhole! Dhole! Dhole!*

W chwilę potem usłyszano odgłos stóp biegnących z trudem po gołoborzu i ukazał się chudy, ociekający wodą wilczur, naznaczony na boku krwawą pręgą i utykający na prawą

łapę przednią. Rzucił się w środek sejmującego koła i padł u stóp Mowgliego, ciężko dysząc i tuląc do ziemi spienioną paszczkę.

— Jakże idą łowy? Któż waszym naczelnikiem? — z powagą spytał Phao.

— Szczęśliwych łowów! Jestem Won-tolla! — brzmiała odpowiedź.

Znaczyło to, że jest Wilkiem Samotnikiem, żyjącym w ustronnej norze i mającym w pieczy jedynie siebie i swą rodzinę: miano Won-tolli oznacza jakby sobie-pana czy wywołkę, słowem, istotę żyjącą z dala od wszelkiej gromady.

Przybysz dyszał ciężko i widać było, jak mu się serce tłukło gwałtownie.

— Kto nadciąga? — zagadnął go Phao; takie bowiem pytanie zadaje każdy, kto żyw w dżungli, posłyszawszy zew *pbealu*.

— *Dhole!*... *Dhole!*... krwiożercze rude psy dekańskie! Nadciągnęły w nasze północne strony, głosząc, że Dekan opustoszał i że zabrakło w nim zwierzyny. Gdy ten oto księżyc był jeszcze na nowiu, miałem przy sobie czworo istot najbliższych: samicę i troje małych. Ona zaprawiała dziatwę do łowów na trawiastym stepie, czając się na kozła, jak to jest w zwyczaju u nas, mieszkańców nieosłoniętej przestrzeni. O północy słyszałem, jak wyły pospołu, oznajmując<sup>126</sup> sobie wzajem tropy. Gdy wionął chłodny dech poranku, znalazłem ich skostniałych... nieżywych... wśród murawy! A było ich czworo, o Wolne Plemię!... Czworo ich było jeszcze przy nowiu księżycu! Jąłem dochodzić praw... mego odwetu i doszedłem, iż winowajcami były *dhole!*

— Ileż ich było? — zapytał Mowgli, a z gardzieli wilków dobyły się groźne pomruki.

— Nie wiem... Trzy z nich już nigdy nie wybiorą się na łowy... Atoli było ich tam więcej... znacznie więcej. Toteż przegnały mnie precz jak kozła... Umknąłem na trzech nogach... Przypatrzcie się, obywatele Wolnego Plemienia... Przyjrzyjcie się, o Wilcy!

To rzekłszy, wysunął pogruchotaną łapę przednią, szerniałą od krwi zastygłej. Wzwyż od niej biegły po całym boku zwierzęcia ślady okrutnych ukąszeń, a na podgardlu widać było jedną straszliwą ranę.

— Pożyw się — rzekł Akela, odsuwając się od mięsiwa, które mu był przyniósł Mowgli.

Przybysz rzucił się skwapliwie na to jadło.

— Nie straciecie nic na swej uczynności! — odezwał się z pokorą, zaspokoiwszy głód jako tako. — Jeno mi dodajcie nieco sił, obywatele Wolnego Plemienia, a będę polował razem z wami. Moja nora, która tętniła życiem, gdy miesiąc był na nowiu, teraz jest milcząca i pusta, a krwawy dług nie został jeszcze splecony w zupełności!

Phao, posłyszawszy, jak gracko gość chrupie potężne gnacisko, pokiwał potakująco łbem i mruknął z uznaniem:

— No! No! Przydadzą się nam tak silne zębce i szczęki! Czy przy rudych psach były i szczenięta?

— Nie! Nie! Sami tylko łowcy... Chyba co najętsze psiska z całej gromady... Olbrzymie i mocne co się zowie!

Wymiarkować stąd można było, że *dhole*, czyli krwiożercze rude psy dekańskie, ruszyły na wyprawę wojenną. Nie ma takiego wilka, który by nie wiedział, że nawet tygrys nie zdierży im w łowach. Zwierzęta te biegają zwartą kupą przez dżunglę, obalając na ziemię i rozdzierając na strzępy wszystko, cokolwiek stanie im na drodze. Co do wzrostu i przebiegłości ustępują wilkom, za to przewyższają je siłą i liczebnością. Dla przykładu dość wspomnieć, że nie uważają za stosowne zwać się gromadą, póki nie zbiorą się w sile co najmniej stu osobników, gdy natomiast czterdzieści wilków uchodzi już za pokaźną gromadę.

W wędrówkach swych Mowgli dotarł kilkakrotnie aż na granicę wyżynnych, bujną trawą porosłych stepów Dekanu, przeto natrzył się nieulekłym psom, śpiącym, hasającym lub iskającym się w zachronie drobnych zaklesłości gruntu oraz gęstszych kępach trawy, zastępujących im jaskinię. Żywił dla tych stworzeń nieopisaną nienawiść i wżgardę, jako że nie miały tej woni, co Wolne Plemię, nie mieszkały w norach, a co najgorsze, miały — w przeciwieństwie do niego i jego przyjaciół — długie włosie pomiędzy palcami. Wszelakoż dzięki Hathiemu wiedział dobrze, jak groźnym zjawiskiem jest gromada rudych psów urządzających łowy. Sam Hathi zwykł był od nich stronić. Póki ich kto nie

<sup>126</sup>oznajmując — dziś: oznajmiając.



wytępi do szczętu albo póki nie zabraknie im zwierzyny, nawałą niszczącą posuwają się naprzód, mordując wszystko po drodze.

Akela też wiedział coś niecoś o rudych psach, przeto odezwał się spokojnym głosem:

— Lepiej umierać w Gromadzie niż w bezhołowni i samotności. Szczęśliwe będą to łowy, a na pewno ostatnie w moim życiu. Ale ty, Mały Braciszku, licząc wedle wieku ludzkiego, masz jeszcze przed sobą wiele dni życia. Idź na północ i wypoczywaj, a jeżeli choć jeden wilk pozostanie przy życiu po tym najeździe, na pewno otrzymasz wieść o przebiegu bitwy.

— Ho, ho! — ozwał się Mowgli, srogo naburmuszony. — Mamże zaszyć się w trzęsawisku, żywić się płotkami i sypiać na drzewie czy też udać się pod opiekę *bandar-logu* i żywić się orzechami, patrząc z góry na wasze boje?

— Będzie to bój śmiertelny — rzekł Akela. — Jeszcze nigdy nie spotkałeś się z krwiożerczą czeredą rudych psów... Nawet Pręgowaty...

— No, no! — odrzekł pobłaźliwie Mowgli. — Wszak nie kto inny, ale ja zabiłem pręgowaną stworę... A teraz słuchajcie! Ojcem moim był wilk, matką była mi wilczyca, a pewien sędziwy, szary wilk (obecnie już osiwiiał) był mi ojcem i matką. Dlatego (tu głos podniósł) powiadam wam, że jeżeli nadejdą tu *dhole* (o ile nadejdą), Mowgli i Wolne Plemię będą w tych łowach wspólnie nadstawiać swej skóry! Tak wam powiadam, klnąc się na tego Byka, który był okupem za mnie, na tego Byka, którego dała za mnie Bagheera w dawnym bardzo, niepamiętnym dla was czasie! Oświadczam to wszem wobec głośno, by słyszały drzewa dżungli i fale rzeczne zachowały pamięć tego ślubowania, nawet gdybym ja o nim zapomniał. Powiadam oto, że ten mój nóż będzie jakoby kłębem naszej drużyny... a nie jest on bynajmniej tępy! Takie jest słowo dane wam przeze mnie!

— Oj, nie znasz tych psów, człeczko mówiący wilczym językiem! — zawołał Won-tolla. — Co do mnie, to jedynie pragnę uiścić się im z krwawego długu, zanim mnie one rozedrą na sztuki. One posuwają się z wolna, mordując wszystko po drodze, ale za dwa dni odzyskam siłę i powrócę, by dług mój spłacić. Co się jednak was tyczy, obywatele Wolnego Plemienia, radzę, byście udali się na północ i zadowalali się lada kęsem jadła, póki *dhole* precz sobie nie pójdą. Łowy to są, łowy srogie! Nie można zmrużyć oka spokojnie!

— Słuchajcie tego przybłądy! — roześmiał się Mowgli. — Hej, Wolne Plemię! Mamyż iść na północ, żywić się jaszczurkami i szczurami wodnymi, aby przypadkiem nie spotkać *dholów*? Ta psiarnia będzie nam bezkarnie wytępiała zwierzynę i ogałacała łowiska, a my schowamy się tchórzliwie na północy, czekając, póki tym panom nie spodoba się oddać nam tego, co do nas prawnie należy?! Toż to psy... psie syny... rude, bezdomne sobaki-wypędkki o żółtych podbrzuszkach i owłosionych stopach! Przychodzą na świat po sześć, po osiem naraz, jak małe szcury-skokczki Chikai... I my, Wolne Plemię, mielibyśmy uciec pomiędzy plemiona północy i tam żebrać o resztki lada zdechłego bydłęcia! Znacież przysłowie „na północy robactwo, na północy wszy”! My to dżungla! Wybierajcież tedy, wybierajcie! Piękne to będą łowy! W imię Gromady... w imię całego Plemienia... w imię legowisk i barłogów... w imię łowów na obszarze puszczy i poza nią... w imię samic uganiających za zwierzyną oraz maleńkich szceniąt igrających w głębi jaskiń... pójdziemy wszyscy wraz... na bój!... na bój!

— Na bój! — odpowiedziała Gromada jednym potężnym szczeknięciem, które w ciszy nocnej zagrzmięło jak łoskot i trzask walącego się drzewa.

— Zostańcie przy nich! — zawołał Mowgli do swej czwórki. — Każdy kiel nam się dziś przyda! Phao i Akela niech poczynią przygotowania do bitwy, ja zaś pójdę policzyć te psy.

— Toż to śmierć! — krzyknął Won-tolla, zrywając się z miejsca. — Cóż taki chłystek jak ty poradzi wobec rudego psa? Pamiętaj, że nawet Pręgowaty...

— Widzę, że z ciebie prawdziwy wywłoka — odkrzyknął mu się Mowgli — ale pomówmy z sobą dopiero wtedy, gdy *dhole* wszystkie polegą. Życzę wam wszystkim pomyślnych łowów!

I uniesiony dzikim podnieceniem, pomknął na oślep w czarny mrok nocy, nie zważając na to, co miał pod stopami; nic też dziwnego, że wkrótce runął jak długi na ziemię,

uwadziwszy<sup>127</sup> o splątane cielsko pytona Kaa, czatującego na tropie zwierzęcym koło rzeki.

— Kusz-sz-sz! — ofuknął go wąż gniewnie. — Czyż zgadza się z obyczajami dżungli urządzenie hałasów i tartasów po nocy i przeszkadzanie drugim w łowach... zwłaszcza gdy zwierzyzna tuż-tuż nadciąga?

— Przyznaję się do winy — odrzekł Mowgli, powstając. — Ciebie to właśnie szukam, o Płaskogłowy, ale ilekroć cię spotkam, jesteś dłuższy i szerszy o całą długość mej ręki! Nikt w całej dżungli mierzyć się z tobą nie może, o mądry, stary, silny i przepiękny Kaa!

— Dokądże trop ten zmierza? — spytał Kaa łagodniejszym głosem. — Nie dalej jak miesiąc temu pewne Człowieczątko, uzbrojone nożem, rzucało mi na łeb kamienie i lżyło mnie, niby żbik nikczemny, brzydkimi przezwiskami... za to, że mi spałem na otwartej polanie.

— Tak, tak... i jeszcze za to, że gdy Mowgli polował, tyś rozpędzał na cztery wiatry wszelką ściganą przez niego zwierzyinę... Tak, Płaskogłowy, zamiast usunąć mi się z drogi i przepuścić zwierzyinę, leżałeś jak pień głuchy i nie zważałeś na moje gwizdania — odrzekł spokojnie Mowgli, sadwiąc się na wzorzystych splotach węzowych.

— Teraz zaś to samo Człowieczątko przychodzi do tegoż płaskogłowego węża i głaszcze go czuлыми i pochlebnymi słowami, mówiąc o nim, że jest mądry, silny i urodziwy; a rzeczony stary Płaskogłowiec wierzy wszystkiemu i zwija się w kłębek... ot tak... robiąc z siebie krzesło dla tegoż Człowieczątka rzucającego kamieniami... No i cóż? Czy ci teraz wygodnie? Czy Bagheera potrafiłaby ci sporządzić tak wygodne legowisko?

To mówiąc, Kaa podług swego zwyczaju utworzył z siebie rodzaj miękkiego hamaka, w którym Mowgli mógł bujać się przyjemnie. Chłopak wyciągnął przed siebie rękę w ciemności i jął przygarniać ku sobie giętką, do zwojów liny podobną szyję pytona, a gdy już miał na swoim ramieniu jego płaską głowę, opowiedział mu wszystko, cokolwiek zdarzyło się tej nocy w dżungli.

— Być może, że mądry — rzekł Kaa, dosłuchawszy do końca — ale że głuchy, to pewna... W przeciwnym bowiem razie dosłyszałbym *pheel* niechybnie. Teraz już się wcale nie dziwię, że trawożercy czują się tak nieswojo... Jaka może być liczba tych rudych psów?

— Jeszczem ich nawet nie widział. Kwapiłem się do ciebie i zetknąłem się z tobą zaraz po wyruszeniu w drogę. Tyś starszy od Hathiego... Ale powiadam ci, o Kaa — mówiąc to, Mowgli aż wił się z uciechy — to dopiero będą pyszne łowy! Niewielu z nas doczeka drugiej zmiany księżyca!

— Czy ty będziesz się do tego mieszał? Pamiętaj, że jesteś człowiekiem... i przypomnij sobie, jaka to gromada wygnała cię precz. Niechaj wilki się same rozprawiają z psami. Tyś jest człowiekiem.

— Zeszłoroczne orzechy są w tym roku już czarną ziemią — odrzekł Mowgli. — Prawda, że jestem człowiekiem, ale tej nocy oświadczyłem, że jestem wilkiem... a tego już cofnąć niepodobna. Wezwałem rzekę i drzewa na świadków mego postanowienia. Wiedz przeto, że póki *dhole* nie odejdą stąd lub nie wyginą, póty należę do Wolnego Plemienia!

— Do Wolnego Plemienia! — sarknął Kaa. — Powiedz raczej: wolnych złodziejasz-szków! Zaplątałeś się w węzeł ś-ś-śmierci gwoli pamięci zdechłych już wilków. Takich łowów nie możesz nazywać sz-sz-szczęśliwymi!

— Słowo się rzekło. Rzeka i drzewa są świadkami. Póki *dhole* nie wyginą, nie mogę słowa cofnąć.

— Isz-sz! — syknął pyton. — To zmienia zupełnie całą rzeczy postać! Myślałem, że będę mógł zabrać cię z sobą na trzęs-sawis-ska północne... jednakże s-s-słowo... nawet słowo małego, bezwłosego nagus-ska-człeczyny... jest słowem... i powinno być ś-ś-święte! Otóż ja, Kaa, powiadam ci...

— Namyśl się dobrze, Płaskogłowy, byś i ty nie zaplątał się w węzeł śmierci. Nie potrzebuję twego słowa, bo wiem dobrze...

<sup>127</sup>uwadzić — dziś: zawiadzić.

— Niechże i tak będzie! — zgodził się Kaa. — Nie będę dawał s-słowa... ale co zamierzasz robić, gdy nadejdą *dhole*?

— One muszą przepłynąć Wajngangę. Przyszło mi na myśl, by zastąpić im drogę na płytkiej wodzie. Zębiska mej drużyny wspomogłyby siłę mego noża. Tak dżgając, szarpiąc i gryząc napastników, moglibyśmy zawrócić ich w dół rzeki albo nieco ochłodzić im gardziele.

— *Dhole* nie zawracają z drogi, a ich gardziele goreją zawziętością — odpowiedział Kaa. — Gdy skończą się te łowy, nie będzie już ani Człowieczątka, ani wilczęcia... pozos-s-staną jeno same suche kostki...

— No i jest się czym martwić! Jak pomrzemy, to pomrzemy! Będą to łowy, jakich świat nie widział. Ale młody jest jeszcze mój żywot, bo niewiele pór deszczowych było mi dane oglądać. Nie jestem ani mądry, ani silny. Masz może jaki lepszy pomysł, mądry wężu Kaa?

— O, jam już widział sto... i jeszcze raz sto pór deszczowych! Zanim Hathi stracił mleczne zęby, jam już pozostawiał za sobą znaczny ślad na piasku! Klnę się na Pierwsze w świecie Jajko, że jestem starszy od wielu drzew i że widziałem wszystko, co w ciągu wielu lat działo się w dżungli!

— Ale teraz mamy do czynienia z nowym zgoła rodzajem łowów — odrzekł Mowgli. — Nigdy wszak się dotąd nie zdarzyło, by *dhole* przeciągały naszym szlakiem.

— Wszystko, co jest, było już kiedyś, a to, co będzie, jest tylko powtórzeniem zdarzeń z jakiegoś dawnego, zapomnianego roku. Siedź cicho, bo teraz będę przeliczał zbiegłe moje lata.

Przeszło godzinę Mowgli leżał na wznak wśród wężowych skrętów, zabawiając się nożem, a tymczasem Kaa, położywszy łeb nieruchomo na ziemi, rozmyślał o wszystkim, co kiedykolwiek był widział, słyszał i poznał, począwszy od dnia, w którym wylął się z jajka. Oczy jego mżyły światłem jak zwietrzałe opale, zaś od czasu do czasu głowa poruszała się sztywnie to w lewo, to w prawo, jak gdyby polował przez sen. Mowgli drzemał spokojnie, bo wiedział, że nie masz to jak przespać się przed polowaniem, a spać umiał o każdej porze czy to dnia, czy nocy.

Naraz poczuł, że Kaa staje się coraz grubszy i większy, jakoby się rozdymał, a z paszczy jego zaczął wychodzić syk przypominający zgrzytanie miecza dobywanego z pochwy.

— Widziałem wszystkie umarłe lata — syczało stare wężysko. — Widziałem wielkie drzewa, stare słonie oraz nagie jeszcze skały, nieporosłe mchem i poszarpane. Czy ty jeszcze żyjesz, mój Człowieczku?

— Toż dopiero przed chwilą wzeszedł księżyc — odpowiedział Mowgli. — Nie rozumiem, o co ci...

— A kysz! Zginięcie, maryl! Oto znów je-stem s-s-sobą, wężem Kaa! Zresztą byłem niemal przekonany, że czasu upłynęło niewiele... Teraz pójdziemy nad rzekę, a pokażę ci, w jaki s-sposób damy s-sobie radę z rudymi psami.

Wykonał zwrot w tył i pomknął — prosto i chyżo jak strzała — ku głównemu łożysku Wajngangi, po czym rączo, na wyścigi z Mowglim, przebrnął łączę, co oddzielała od brzegu Skałę Pokoju.

— Nie płyń! — zawołał. — Ja prędeż się przeprawię, niżbyś ty potrafił! Hop, na mój grzbiet, Mały Braciszku!

Mowgli oplótł lewą ręką szyję węża, prawą rękę opuścił wzdłuż ciała i wyprostował nogi; Kaa począł piersią pruć prąd rzeczny, w czym nikt nie mógł nigdy mu zrównać. Kręgi wypartej wody sfaldowały się na kształt krezy wokół szyi Mowgliego, a jego nogami miotał to w lewo, to w prawo gwałtowny wart rzeczny, wywołany śmigłymi poruszeniami wężowego cielska. O jaką milę ponad Skałą Pokoju koryto Wajngangi zwęza się w gardziel skał wapiennych, mierzących od osiemdziesięciu do stu stóp wysokości, a słup wody przewala się, niby olbrzymia młynówka, poprzez stawidła potężnych, szorstkich i przykrych głazów. Ale Mowgli nic sobie nie robił z wody — bo żaden prąd, choćby najsilniejszy, niezdolen<sup>128</sup> był przejąć go trwogą. Rozejrzał się po obu zboczach przelo-

<sup>128</sup>niezdolen — dziś: niezdolny.

mu, krzywiąc nosem<sup>129</sup>, bo poczuł w powietrzu słodkavo-kwaśny zapach, podobny temu, jaki bije z wielkiego mrowiska w upalny dzień letni.

Instynktem wiedziony, chłopak natychmiast schował się całkowicie pod wodę, wynurzając jeno nieznacznie głowę celem nabrania oddechu. Tymczasem Kaa zakotwiczył się podwójnym skretem dokoła podwodnej skały i stanął pośrodku rwącego i pędzącego nurtu, obejmując mocno Mowgliego opłotem swych pierścieni.

— Tu jest Siedlisko Śmierci! — rzekł Mowgli. — Po cóżeśmy tu przybyli?

— One śpią... — syknął Kaa. — Hathi nie zszedłby z drogi Pręgowatemu, atoli i Hathi, i Pręgowaty, gdyby się tu nawet znaleźli we dwójkę, musieliby zejść z drogi rudym psom... O nich zasię powiadają, że jakoby nie ustępują nikomu. Ale chciałbym wiedzieć, przed kim cofnęłoby się małe Plemię Skalne!... Władco dżungli, powiedz mi teraz: kto jest władcą dżungli?...

— One! Właśnie one! — szepnął Mowgli. — Tu jest Siedlisko Śmierci! Oddalmy się stąd!

— Nie! Przypatrz się, one śpią. Wszystko tak, jak było... jak było wówczas, gdy m jeszcze ledwie dosięgał długości twojego ramienia.

Popękane i zwietrzałe skały w pieninach Wajngangi były z dawien dawna — bodajże od czasów powstania dżungli — siedzibą Małego Plemienia Skalnego, czyli skrętnych, zajadłych, czarnych, dzikich pszczół indyjskich. Mowgli wiedział, że wszelkie ślady, ludzkie czy zwierzęce, oddalone były co najmniej o pół mili od ich siedzib.

Od wielu już stuleci Małe Plemię gnieździło się po skałach, a w ustawicznych rójkach przenosiło się kolejno od szczeliny do szczeliny, pstrząc białe skały wapienne smugami zwietrzałego miodu i lepiąc olbrzymie plastry w czarnej głębi pieczar, gdzie ich dosięgnąć nie mógł ani człek, ani zwierz, ani ogień, ani woda. Obie ściany wąwozu były na całej swej długości obwieszane jakby czarnymi, połyskliwymi kotarami. Mowgliemu słabo się zrobiło, gdy im się przyjrzał dokładniej — były to bowiem, ni mniej, ni więcej, tylko miliony pszczół śpiących w gęstej ciżbie jedna obok drugiej. Widać też było jakowś płachty, girlandy i jakby spróchniałe pnie drzewne, przyćwiekowane<sup>130</sup> niewidzialnym spojeniem do powierzchni opoki.

Były to bądź plastry pozostałe tu z lat dawnych bądź nowe osiedla budowane w ciemnym zaciszu urwiska tudzież zwały śmiecia, które stoczyły się w dół i utknęły wśród drzew i pnączy naskalnych. Czujne ucho chłopca kilkakrotnie rozpoznało szelest ciężkiego miodnego plastra, osuwającego się lub przewracającego kędyś w czarnych lochach kamiennych, potem zaś gniewny pobrzęk pszczelich skrzydeł i senne kapanie zmarnowanego miodu, co rozlewał się z wolna po całej barci, póki dzięki jakiejś bocznej szparze nie znalazł ujścia na zewnątrz i nie zaczął sączyć się ociężale po napotkanych badyłach i gałązkach. Po jednej stronie rzeki widniał pod wantą skalną mały zdiar, szeroki na pięć stóp nieledwie, a zasypany grubym pokładem wszelkiego gruzu, nagromadzonego w ciągu wieków. Leżały tu martwe pszczoły i trutnie, różne odpadki i szczątki, zwietrzałe plastry, pokruszone skrzydła przybłędów chrząszczy i motyli, ugrzęzłych w mazi kuszającego miodu — wszystko to zaś przysłonięte warstwami drobnego, czarnego pyłu.

Sama ostra woń tego śmietnika zdolna była napęlić przerażeniem każdą istotę bezskrzydłą, wiedzącą choćby ze słyszenia, czym było Małe Plemię. Kaa runął znów w górę rzeki, w końcu dobił do wydmy piaszczystej u wnijscia wąwozu.

— Popatrz — rzekł — oto tegoroczne łupy myśliwskie.

Na wydmie leżały szkielety dwóch jelonków i bawołu. Przyjrzał się im Mowgli i stwierdził, że ani wilk, ani szakal nie tknął tej padliny; zniszczała skutkiem naturalnego rozkładu.

— Przekroczyły zakazaną granicę, nie zdając sobie z tego sprawy — mruknął — no i zginęły od żądał Małego Plemienia. Oddalmy się stąd, zanim się te juchy obudzą.

— Nie obudzą się przed świtem — zapewnił go Kaa. — A teraz słuchaj, co ci powiem. Przed wieloma, wieloma porami deszczowymi przybiegł tu z południa kozieł, ścigany przez całą zgraję wilków, a nieznający dżungli. Oszolomiony trwogą, nie zważał, co czyni, i zbiegł z urwiska w dół, a zgraja, rozżarta i oślepią zaciekłością pościgu, pomknęła tuż

<sup>129</sup>krzywiąc nosem — dziś: kręcąc nosem a. krzywiąc nos.

<sup>130</sup>przyćwiekowany — przygwoźdzony.

za nim. Słońce stało wysoko, a Małe Plemię było nader liczne i ogarnięte ogromnym gniewem. Wiele wilków zbiegło również w dół, ale nim dotarły do wód Wajngangi, już nie żył z nich ani jeden. Ale i te, które zatrzymały się nad skalnym zrębem, wyginęły co do jednego. Natomiast kozieł uszedł cało.

— Jakimże sposobem?

— Biegł pierwszy, ratując życie przed pościgiem, przeto nim Małe Plemię się spostrzegło i zebrało się do natarcia, on już dopadł nurtów rzeki. Ścigająca go zgraja wprost zniknęła pod nawałą Małego Plemienia, poruszonego racicami kozła.

— Więc kozieł ocalał? — powtórzył z wolna Mowgli.

— Czy żył długo, tego nie wiem. W każdym razie wówczas nie zginął, mimo że nikt nie czekał nań tam w dole, by siłą swego ciała zabezpieczyć go od prądu wody... jak czekałby na małe Człowieczątko pewien stary, opasły, głuchy, żółty Płaskogłowiec... choćby tam wszystkie *dhole* z całego Dekanu szły jego tropem. Cóż to się z tobą dzieje?

Słowa te Kaa chłopcu syczał do ucha, trzymając łeb na jego mokrym ramieniu. Upłynęła długa chwila ciszy, zanim Mowgli odszepnął mu:

— Wygląda to tak, jakbyśmy chcieli samą śmierć wytargać za wąsy... ale... powiem ci szczerze, mój Kaa, że jesteś najmędrszym ze wszystkich stworzeń dżungli.

— Niejeden mi to już mówił. Ale do rzeczy! Gdy *dhole* będą cię ścigać...

— Na pewno będą mnie ścigać! Ho, ho! Mam ci ja w języku niejedno żądło, którym mogę je rozjątrzyć.

— Jeżeli będą cię ścigały zajadle i na oślep, wpatrując się tylko w twe plecy, wszystkie te, które nie wymrą tu w górze, będą się przeprawiać albo tu, albo nieco poniżej, bo Małe Plemię spadnie na nich całą chmarą. Otóż Wajnganga jest rzeką zachłanną... a żaden Kaa nie przyjdzie im z pomocą... więc wszystkie *dhole*, jakie przy życiu zostaną, będą musiały podążyć aż do brodów koło leż seoneeńskich. Tam zaś powinna czatować twoja szajka i złapać ich za gardło.

— Ehej! Eowawa! Dalibóg, czegoś lepszego nawet pomyśleć nie można... chyba to, by w porze suchej padały deszcze! Tu chodzi tylko o tę drobnostkę, jaką jest ucieczka przed pościgiem, a następnie skok ze skały. Zaraz dam znać o sobie tym rudym psom, by ruszyły za mną.

— Czy przyjrzałeś się tym skalom... od strony łądu?

— Prawda, zapomniałem o tym!

— Idźże więc je obejrzyć. Grunt tam jest zmurszały, pełen jam i rozpadlin. Jedno niezgrabne, nieopatrzone stąpienie może położyć kres gonitwie. Miejsze się więc na baczności. Zostawiam cię tutaj i udam się z meldunkiem do twej drużyny, by wiadano, gdzie należy spodziewać się napaści psów. Czynień to jedynie ze względu na ciebie, nie poczuwam się bowiem do żadnej łączności z wilczą hałastrą.

Gdy Kaa nie lubował sobie w czyjejsz znajomości, potrafił okazać się szorstkim i przykrym jak nikt w całej kniei — z wyjątkiem może Bagheery. Popłynawszy z prądem, wylądował naprzeciwko Skały Narady; tu natknął się na Phaona i Akełę, wsłuchujących się w nocne pogłosy.

— Huzia, pies-ski! — zaśmiał się. — *Dhole* tylko patrzeć, jak podążą w dół rzeki. O ile nie stchórzycie jak ps-s-sy, będziecie mogli rozprawić się z nimi na mieliznach.

— Kiedyż nadejdą? — zapytał Phao.

— A gdzie jest moje Człowieczątko? — dorzucił Akela.

— Przyjdą wtedy, gdy zechcą przyjść — syknął Kaa. — Stójcie w pogotowiu i nie zasypiajcie s-ssprawy!... Co zaś-s się tyczy „twojego” Człowieczątka, od którego nie wahaś-s się wziąć s-słowa, narażając go tym samym na pewną śmierć... co się tyczy, powtarzam, „twojego” Człowieczątka, to jes-s-st ono teraz pod moją opieką... a jeżeli dotychczas-s nie uświerkło nędznie, nie jest to bynajmniej twoją zasługą, ty stara osiwiła sobako! Warujcież tu s-sobie, pieski i suczeta, czekając s-s-spotkania z ruzdzielcami, i czujcie się szczęśliwi, że Ludzkie Szczenię i ja s-s-stoimy po waszej s-s-stronie.

Spróbowałwszy w ten sposób ostrości swego języka, Kaa pomknął z powrotem w górę rzeki i znów przycumował się ogonem u skały pośrodku wąwozu, pilne poglądając wzwyż, ku zrębowi urwiska. Nagle na tle gwiazdnego nieba ujrzał poruszającą się głowę Mowglię, potem coś szurnęło w powietrzu, rozległ się doraźny i wyraźny plusk

ciała ludzkiego, spadającego równymi nogami w wodę, a w chwilę potem już to ciało spoczywało znowu w wielkiej pętli splotów węzowych.

— Sam skok to fraszka dla mnie w nocnej porze — ozwał się Mowgli głosem spokojnym. — Skakałem nieraz dla zabawy nawet z dwa razy większej wysokości. Ale tam w górze grunt jest paskudny, pełen niskich krzaczków i głębokich żlebów, pokrytych ciżbą Małego Plemienia. Koło trzech żlebów ustawiłem kopczyki z dużych głazów. Gdy będę biegł, przewracam je nogą, doprowadzając Małe Plemię do szalonej złości.

— Co to znaczy spryt ludzki! — cmoknął Kaa. — Mądry jesteś, bratku, ale Małe Plemię bywa zawsze pełne złości.

— O, nie! Gdy zapada zmierzch, wszelkie stworzenia skrzydlate układają się do spoczynku. Zabawię się z psami o zmierzchu, bo one lubią polować w dziennej porze. Teraz idą za krwawym śladem Won-tolli.

— Chil nie zostawia zdechłego wołu ani *dhole* krwawego śladu — rzekł Kaa.

— W takim razie zgotuję im nowy ślad krwawy z własnej krwi, jeżeli mi się uda... i nakarmię ich gnojem. Czy będziesz tu na mnie czekał, Kaa, póki nie powrócę z nimi?

— Tak jest, ale co będzie, gdy one zabiją cię w dżungli albo gdy Małe Plemię zabije cię, zanim zdołasz wskoczyć w rzekę?

— O jutrzejszych łowach należy mówić jutro — odrzekł Mowgli, cytując przysłowie puszczańskie, dodał jednak niebawem: — Na odśpiewanie pieśni żałobnej będzie czas, gdy umrę. Szczęśliwych łowów, Kaa!

Uwolnił ze swych objęć szyję pytona i popłynął z wodą niby tram niesiony powodzią, kierując się w stronę wydmy u przeciwnego brzegu. Znalazłszy się na powolnym prądzie, zaczął śmiać się głośno z wielkiej uciechy. Nie było rzeczy, która by Mowgliemu, wedle jego własnego wrażenia, taką sprawiała przyjemność, jak „targanie śmierci za wąsy” i odczuwanie swego władztwa nad puszcza. Już za lat młodszych niejednokrotnie zdarzało mu się wylupiać plastry miodu z drzewnych barci przeto wiedział, że Małe Plemię niczym się tak nie brzydzi, jak wonią dzikiego czosnku. Zebrał więc sobie pęczek tego ziele, przewiązał go łykiem, potem zaś puścił się krwawym śladem Won-tolli, w kierunku południowym od legowisk. Przebiegł tak może z pięć mil, a przez cały ten czas wpatrywał się uważnie w korony drzew, przegiąwszy w bok głowę.

— Byłem już Mowglim-zabą — mówił, śmiejąc się do rozpuku — a sam się podaję za Mowglięgo-wilka. Teraz muszę być Mowglim-małpą, zanim zostanę Mowglim-koźłem. W końcu jednak będę Mowglim-człowiekiem. Ho! Ho!

To rzekłszy, przesunął palcem po osiemnastocalowej klindze swego noża.

Ślad Won-tolli, cały usiany plamami czarnej posoki<sup>131</sup>, biegł wzdłuż kniei gęstego starodrzewu, ciągnącej się zrazu zwartą ścianą w kierunku północno-wschodnim, potem zaś rzednącej stopniowo aż na odległość dwóch mil od Skał Pszczelich. Od ostatniego z tych drzew aż do zarośli ponad skałami była przestrzeń otwarta, gdzie nawet wilk nie miałby się gdzie ukryć. Mowgli biegł wytrwałym klusem wzdłuż drzew, oceniając odległość pomiędzy gałęziami, wdrapując się czasami na ten lub ów pień i próbując skoku z drzewa na drzewo; doszedłszy w końcu do otwartej polany, jął z całą dokładnością i uwagą badać jej teren. Godzinę całą trwało to badanie, po czym Mowgli zawrócił z drogi, podjął przerwany wprawdzie trop Won-tolli, usadowił się na wystającej gałęzi jakie osiem stóp nad ziemią, zawiesił pęczek czosnku na bezpiecznym sęku i czas jakiś siedział spokojnie, ostrząc nóż o podeszwę stopy.

Przed samym południem, gdy słońce przypiekało tęgo, usłyszał tętent wielu stóp i poczłował odrażający cuch<sup>132</sup> zgrai rudyh psów mknących zawzięcie i nieubłagane śladem Won-tolli. Oglądane z góry *dhole* wydają się co najmniej o połowę mniejsze od wilków, ale Mowgli wiedział, jak potężne są ich łapska i szczęki. Wypatrzywszy ostry pysk przodownika, węszącego ślad, ogłosił hasło łowieckie:

— Szczęśliwych łowów!

Zwierz stanął jak wryty i spojrzął w górę. Towarzysze poszli za jego przykładem. Pod drzewo przyciągnęły jedne za drugimi zastępy rudyh psów o chwostach obwisłych, krępych karczyskach, chudych grzbietach i krwawych paszczkach. *Dhole* są z natury wiel-

<sup>131</sup>posoka — krew.

<sup>132</sup>cuch (daw.) — zapach.

kimi mrukami i nawet w ojczystym Dekanie nie odznaczają się zbytnio wytwornością obyczajów. Poniżej Mowgliego zebrały się chyba ze dwie setki tych drapichrustów, on widział jednak, że przodownicy węszyli łapczywie ślad Won-tolli, starając się przynaglic zgrają do dalszego biegu. W ten sposób napastnicy mogliby jeszcze za dnia dotrzeć do wilczych legowisk. Nie na rękę to było Mowgliemu, przeto postanowił przetrzymać ich pod drzewem aż do zmierzchu.

— Kto wam pozwolił tu przechodzić? — huknął na nich z góry.

— Wszystkie dżungle do nas należą! — odpowiedział jeden z psów i błysnął białymi zębami.

Mowgli spojrział z uśmiechem w dół i jął ludząco naśladować przenikliwy zgrzyt zębów, cechujący dekańskiego szczura-skoczek Chikai, przez co chciał zaznaczyć, że stawia *dhole* na równi z owym zwierzątkiem. Zgraja stłoczyła się koło pnia, a herszt jął ujadać zaciekle, przezywając Mowgliego małpą. W odpowiedzi na to Mowgli zsunął nogę w dół i począł wymachiwać bosą stopą tuż ponad zadartym łbem herszta. To już aż nadto wystarczyło, by do bezsilnej wściekłości pobudzić całą zgrają. Kto ma stopy owłosione nawet pomiędzy palcami, oczywiście nie lubi, by w ten sposób pokpiwano z tej jego właściwości. Przeto rudy arcypies podskoczył w górę, pragnąc dopaść stopy Mowgliego, ten jednak cofnął ją w samą porę i cienkim, słodziutkim głosem zaszydził z napastnika:

— Hej, pieski! Rude pieski! A wynocha do Dekanu! Wracajcie pożywiać się jaszczurkami na swych barłogach! Wracajcie do swych braciszków Chikai! Psy! Rude psy! Każdy palec na waszych nogach jest owłosiony!

To rzekłszy, znów zaczął zamaszycie wywijać nogą w powietrzu.

— Zejdź no natychmiast na ziemię, bo cię zamorzemy głodem na tym drzewie, ty dudku, ty bezwłosa, bezogoniasta małpo! — zawyla jak jeden pies cała gromada, skupiając się coraz ciasniej pod drzewem.

Tego właśnie pragnął Mowgli. Położył się całą długością ciała wzdłuż gałęzi, przytuliwszy do kory policzek, i mając wolną rękę prawą, klarował przez parę minut rabusiom wszystko, co wiedział i myślał o nich, o ich zwyczajach i obyczajach, ich sukach i szczeniętach. Nie ma w całym świecie mowy tak złośliwej i kąśliwej jak gwara Plemion Dżungli, gdy chodzi o wyrażenie szyderstwa i wzgardy. Sami po namyśle przyznacie na pewno, że inaczej być nie może. Mowgli (jak słusznie przechwalał się wobec pytona) miał niejedno żądło w języku, przeto posługiwał się tą bronią niezawodnie i wymyślnie, doprowadzając *dhole* z wolna najpierw do dziwu i oniemiaenia, potem do pomruków i skowytów, następnie do wycia przeraźliwego, wreszcie zaś do całkowitego ochrypnięcia spowodowanego zaciekłym, niezmordowanym ujadaniem. Staraly się wprawdzie sprostać mu ciętością wyzwisk, ale był to trud daremny; równie dobrze mogłoby się liche szczeniátko kusić o to, by iść o lepsze z rozwścieczonym wężem Kaa.

Przez cały ten czas Mowgli mocno obejmował stopami gałąź i gotów każdej chwili do czynu, przyciskał do boku pięść ręki prawej. Wielki, kasztanowaty przodownik dał kilkakrotnie susa w górę, mimo to Mowgli hamował się jeszcze w swym zamiarze nie chciał bowiem chybić ciosu. Gdy jednak w końcu napastnik, pobudzony do niepomiernej wściekłości, zdwoił wysiłki i skoczył na siedem albo osiem stóp ponad ziemię, wówczas dłoń chłopca wysunęła się nagle w dół, niby łeb drzewnego węża, i pochwyciła go — jak małego psiaka — za kudłate karczysko. Zatrzęsła się gałąź i zatrzęszczała, przygięta ciężarem, a Mowgli omal nie zsunął się na ziemię. Nie wypuścił jednak zdobyczy, ale windował z wolna na gałąź rudą bestię, oklapniętą teraz i niemrawą niczym zdechły szakal. Lewą ręką domacał się noża i jednym ciachnięciem odciął zwierzowi rudy, puszysty ogon, po czym zrzucił psa na dół z powrotem. Zamiar był w zupełności osiągnięty. Od tam już rude psy porzuciły ślad Won-tolli: postanowiły wpierrw stoczyć z Mowglim bój na śmierć i życie. Widział, jak przysiadły po kilka wraz na ziemi, trzęsąc groźnie pośladkami, co u nich było zapowiedzią krwawego odwetu. Wspiął się przeto na jeden z wyższych konarów, oparł się wygodnie plecami o pień i zasnął najspokojniej w świecie.

Po upływie trzech czy czterech godzin zbudził się, spojrział w dół i przeliczył oczywiście zgrają napastników. Byli wszyscy co do jednego — cała czereda milczących, posępnych, najeżonych drapieźców wpatrujących się weń ostrymi i lśniącymi niby stal ślepiami. Słońce chyliło się ku zachodowi. Za pół godziny Małe Plemię Skalne miało zakończyć całodzienną pracę, a wiadomo, że *dhole* niezbyt tego walczą po ciemku.

— Cóżecie się uwzięli tak warować koło mnie? — huknął, stanąwszy na gałęzi. — Nie potrzeba mi tak licznej straży, w każdym razie zachowam w pamięci waszą wierność i wytrwałość. Zaiste psiska jesteście, rude psiska... ale na mój rozum, to was tu trochę za wiele nalazło z jednego gatunku! Wszystkie jednej maści, ani którego odróżnić! Mając to na względzie, nie oddam ogona grubemu zjadaczowi jaszczurek. Cóż, nie cieszysz się z tego, stary burku?

— Ja ci za to zębami wypruję kiszki! — zawył przodownik, ostrząc sobie owe zębce o pień drzewa.

— No, no, zastanów się dobrze, łebski szczurze dekański! Teraz to się wylęgnie cała kupa małych, kusių, bezogoniastych, rudych psiaków, co sobie poparzą pośladki, gdy siądą na gorącym piasku. Huzia do domu, rudy psie, i ogłoś tam wszystkim, że to jakaś małpa tak cię uszlachciła... czy uszlachtowała! Co, pies nie chce odejść? Chodźże więc, kochasiu, do mnie, to cię nauczę arcymądrych sztuczek!

To rzekłszy, przegibnął się jak małpa na najbliższe drzewo, potem znów na następne, stąd znów na trzecie z kolei — i tak posuwał się coraz dalej i dalej, ścigany przez tłuszcę wrogów, zadzierających bez ustanku łby do góry i wpatrujących się weń uporczywie zjadłymi ślepiami. Od czasu do czasu udawał, że zlatuje na ziemię, a wówczas zgraja cisnęła się jeden przez drugiego, by przyspieszyć jego zgubę. Dziw brał zaiste, gdy było patrzeć na tego chłopaka przemykającego się z nożem lśniącym w pozłocie zachodu, pośród gałęzi drzewnych, i na śledzącą go milczkiem z dołu, ścigającą go niestrudzenie cizbę rudych zwierzaków, których nastroszone kudły gorzały w leśnym ostępie niby żywe płomienie. Gdy dobiegł do ostatniego drzewa, rozwiązał pęczek czosnku i natarł nim starannie całe ciało.

— Małpo o wilczym języku! — zawyły *dhole* szyderczo. — Czy myślisz, że w ten sposób zdołasz omylić nasz węch? My i tak rozpoznamy twój zapach i będziemy cię ścigać zawzięcie aż do samej śmierci...

— Zabierz sobie swoją kite! — krzyknął Mowgli, rzucając ogon w tył poza siebie, w kierunku drogi już przebytej. — A teraz ścigajcież mnie, pieski, ścigajcie... aż do samej śmierci!

Jak można było przewidzieć, zgraja cofnęła się nieco, poczuwszy zapach farby zwierzęcej. Tymczasem chłopak zsunął się chyżo po pnium na ziemię i nim *dhole* się spostrzegły, pomknął na bosaka — jak wiatr nieścigły<sup>133</sup> — ku skałom, kędy gnieździły się dzikie pszczoły.

Rude psy zawyły ponuro i puściły się w pogoń ciężkim, posuwistym klusem, zdolnym doprowadzić do zupełnego wyczerpania wszelką ściganą zwierzynę. Mowgli wiedział, że bieg ich stada jest znacznie powolniejszy od biegu wilków; gdyby nie to, nigdy by się nie odważył biec przez dwie mile po otwartej równi. *Dhole* były pewne, że w końcu dogonią chłopca, on zaś był pewny, że może igrać sobie z nimi do woli, póki zdoła utrzymać je na swym tropie i nie pozwoli im ochłonąć w zawziętości; zależało mu bowiem na tym, by nie pokwapily się z odwrotem. Biegł równo, zręcznie, sprężystym krokiem; kusy przodownik następował za nim w odległości niespełna pięciu sążni, za tym zaś mknęła zgraja rozsypana bodajże na ćwierćmilowej przestrzeni, zaślepiona i obłąkana szaleńczą żądzą mordy. Uchem chwycił każde poruszenie przeciwników, a trzymał się wciąż w jednakowej odległości, zachowując siły na ostatek gonitwy — na cwał i pęd opętany przez rojowiska pszczół skalnych.

Kwiaty w owej porze roku nie na długo otwierały swe kielichy, toteż Małe Plemię Skalne już o wczesnym zmierzchu udało się na spoczynek. Atoli zaledwie stopy Mowgliego trąciły głuchym pogłosem o pełną zagłębien opokę, rozległ się głośny brzęk i szum — jak gdyby ziemia nagle ożyła i poczęła gwarzyć całą swą powierzchnią. Wówczas Mowgli jął biec w dół tak chyżo, jak nie zdarzyło mu się biec nigdy w życiu — a po drodze strącił najpierw jedną, a potem drugą, potem trzecią kupę kamieni w głąb ciemnych, słodkawą wonią zalatujących parowów. Z jakiejś czeluści niewidnej buchnął gwar potężny, podobny do huku bijących o skały, rozszałanych fal morskich — i Mowgli kącikiem oka dostrzegł jakąś czarną chmurę wzbijającą się poza nim w powietrzu. Jednocześnie obaczył hen w dole srebrny nurt Wajngangi i wychylający się z wody płaski, do brylantu podobny

<sup>133</sup>nieścigły — dziś: niedościgły.



leb węża. Zebrał wszystkie siły i wymykając się kusemu przodownikowi, miotającemu się w górę i mierzającemu zębata szczęką wprost w jego plecy, dopadł krawędzi skalnej i skoczył nogami na dół w wodę. Zdyszany był śmiertelnie, ale czuł radość niepomierną z powodu bezpieczeństwa i osiągniętego tryumfu. Ani jedno żądło nie ugrzęzło w jego ciele, bo woń czosnku odpędziła od niego Małe Plemię na ten krótki moment, jakiego potrzebował, by przedrzeć się przez skały.

Gdy wynurzył się z wody, utrzymywany w równowadze splotami węża Kaa, obaczył jakieś dziwa, co staczały się z urwiska w dół — prosto w rzekę, niby ołowianki. Na pierwszy rzut oka wydawały się po prostu kłębowiskiem zbitego gęsto pszczelego roju — atoli gdy który z tych kłębowisk miał już spaść w wodę, pszczoły wzbijały się wzwyż, a po toni rzecznej spływało z prądem, wirując, martwe ciało *dhola*. Znad zrębu przepaści dolatywało zaciekle, urywane poszczekiwanie, zagłuszone jednakże piorunnym hukiem i wrzawą — wrzawą skrzydeł Małego Skalnego Plemienia. Na dobitkę niektóre z psów wpadły do szczelin łączących się z podziemnymi pieczarami, tam dusiły się i szamotały wśród zwalonych na kupę plastrów, kłapiąc bezskutecznie szczękami, aż w końcu martwe ich zwłoki, poniesione bezlikiem rojących się pod nimi pszczół, wysuwały się z jakiejś czeluści skalnej nad rzeką i staczały się na stosy czarnego rumowiska. Niektóre *dhole* dobiegły tylko do drzew nad skałami — i znikły doszczętnie pod chmarą pszczół. Większość jednakże, doprowadzona do szału ukąszeniami żadeł, rzuciła się w rzekę — a Kaa miał słuszność, gdy toń Wajngangi nazwał żarłoczną.

Kaa dzierzył mocno Mowglię, póki chłopak przyszedł zupełnie do siebie.

— Nie możemy tu pozostawać! — syknął jednakże w końcu. — Małe Plemię rozjastrzyło się nie na żarty! W drogę!

Trzymając się tuż przy powierzchni wody i wedle możliwości często nurkując, Mowgli dał się ponieść prądowi, a noża nie wypuszczał z dłoni.

— Wolnego! Wolnego! — hamował go Kaa. — Jeden ząb (o ile to nie jest ząb kobry) nie podola całej setce zębatach stworzeń. Wiele psów zdołało zbiec przed Małym Plemieniem do wody... i wyszły bez szwanku!

— Tym więcej będzie miał do roboty mój nóż!... Ale... o fe! Jak te małe istotki nas ścigają.

I dał znów nurka w wodę, bo powierzchnię rzeki zakryła ławica dzikich pszczół, buczących złowrogo, a tnących wszystko, co napotkały po drodze.

— Na milczeniu jeszcze nikt nie stracił — zauważył Kaa, którego twarde łuski nie zdołało przebić ani jedno żądło — a wszak ciebie czekają jeszcze całonocne łowy! Posłuchaj, jak wyją *dhole*!

Tylne szeregi psiej zgrai — niemal jej połowa spostrzegły od razu pułapkę, w jaką wpadli ich towarzysze, przeto wykonawszy bystry zwrot w bok, rzuciły się ku rzece tam, gdzie wąwóz obrywał się nagle stromą, prostopadłą niemal krzesanicą. Ich wściekłe okrzyki oraz pogroźki, skierowane przeciwko „małpie łążącej po drzewach”, która ściągnęła na nich taką sromotę, mieszały się z wyciem i skowytem współbraci pokąsanych przez pszczoły. Pozostawanie na brzegu groziło śmiercią — z tego zdawał sobie dobrze sprawę każdy z psów. Przeto cała gromada jęła bez namysłu skakać w wodę — i popłynęła z prądem aż hen ku Skale Pokoju. Atoli i tam ścigało je Małe Plemię — i kąśliwym natarciem zmusiło zwierzęta do niejednokrotnego chowania się pod wodę. O uszy Mowglięgo obijał się dyszący wściekłością głos kusego przodownika, zachęcającego towarzyszy, by trzymali się dzielnie i wymordowali wszystkie wilki w Seonee. Ale chłopak nie tracił czasu na podsłuchy, tylko płynął uporczywie coraz dalej.

— Ktoś morduje nas podstępnie w ciemności! — warknął jeden z psów. — Woda zbrukała się krwią.

To Mowgli podpłynął był jak wydra, nurkiem pod wodą, wciągnął jakiegoś *dhola* w głąb topieli, zanim ten zdążył szarpnąć się i pysk rozewrzeć. Za chwilę trup rudego zwierza wychynął z pluskiem na powierzchnię, a wokół Skały Pokoju ukazały się na wodzie smugi ciemnej, kleistej cieczy. Przerażone *dhole* próbowały zawrócić z drogi, ale przemóc nie zdołały wartkiego i silnego prądu; zresztą pszczoły cięły je nadal zawzięcie po szyjach i uszach, na domiar zaś złego w gęstniejącym mroku rozlegało się coraz głośniejsze i wyraźniejsze hasło bojowe Drużyny Seoneeńskiej.

Mowgli znów dał nurka i znów jeden z psów zniknął pod wodą, by w chwilę później wypłynąć — już jako trup — na powierzchnię. Znowu podniosła się wrzawa na tyłach. Rude psy jęły kłócić się z sobą: jedne głośno, że najlepszą rzeczą byłoby wyjść na brzeg, drugie błagały swego przywódcę, by doprowadził je z powrotem do Dekanu, inne wreszcie wzywały Mowglię, by wynurzył się z wody i stanął do otwartej rozprawy.

— Każdy z nich, idąc w bój, ma dwa żołądki i wiele głosów! — zauważył Kaa. — Reszty dokonają twoi bracia na brzegu. Małe Plemię powraca na spoczynek... a ja mam ochotę pójść za jego przykładem. Nie myślę pomagać wilkom.

Nad brzegiem pomykał właśnie jakiś wilk na trzech łapach, co pewien czas w sposób nader dziwny podskakując w górę, następnie kładąc się bokiem na ziemię, wyginając grzbiet i wymachując dwiema łapami w powietrzu, jak gdyby igrał ze swymi szczeniętami. Był to Won-tolla, owdowiały, bezdzietny Wilk Samotnik. Zabawiał się tak w milczeniu przez czas dłuższy, drwiąc sobie w żywe oczy z psów. Te, jako że już czas niemały spędziły w wodzie, płynęły obecnie z wielkim wysiłkiem, nasiąkły jak gąbka wodą od grzbietu aż po końce puszystych ogonów, wlokły się ociężałe, wyczerpane i drżące — i również nie odzywały się ani słowem, wpatrując się jeno bacznie w parę roziskrzonych ślepiów, krążących nieopodal.

— Niedobre to łowy! — przemówił w końcu jeden z nich.

— Dobrych łowów! — rozległ się nagły krzyk ponad wodą.

To Mowgli wynurzył się zuchwale z wody, wpakował owemu psu długi nóż pod piąte żebro i pomknął szybko naprzód, by uniknąć zwierających się szczęk zdychającego zwierza.

— Hola! To ty, Szczenię Ludzkie? — zawołał nań z brzegu Won-tolla.

— Zapytaj się trupów, Samotniku! — odparł Mowgli. — Czy żaden z nich tu nie nadpłynął? Zatkalem tym psom pyski błotem i różnymi paskudztwami i w biały dzień wywiódłem w pole całą ich hałastrę. Sam herszt postradał sromotnie ogon, a bardzo wielu utraciło życie. Ale nie martw się! Zostało ich trochę i dla ciebie! Gdzież mam ci ich przypędzić?

— Zaczekam tutaj — rzekł Won-tolla. — Mam jeszcze długą noc przed sobą, to rozejrzę się należycie.

Coraz bliżej, coraz wyraźniej słychać było nawoływanie wilków seconeeńskich:

— Na bój! W imię Gromady! W imię Plemienia! Na bój!

Silny prąd na zakręcie rzeki poniósł *dhole* wprost na wydmę i płycizny leżące naprzeciw wilczych legowisk.

Poznały omyłkę psy rude. Powinny były wylądować o pół mili wyżej i napaść wilcze stado na suchym łądzie. Teraz było już za późno. Wzdłuż całego wybrzeża jarzył się rząd błyszczących ślepi, a w całej dżungli nie było słychać nic, jeno ów straszliwy *pbeal*, który rozbrzmiewał nieprzerwanie od zachodu słońca. Won-tolla wciąż bawił się niczym mały, laszący się piesek: rzekłbyś, że zaprasza swych wrogów, by zechcieli wyjść na brzeg.

— Front ku brzegowi! Natrzeć na to Wilcze Plemię! — krzyknął nagle herszt psów.

W jednej chwili cała gromada rzuciła się ku wybrzeżu, brnąc z tętentem i chlupotem przez płytką wodę. Powierzchnia Wajngangi rozkołysała się i spieniła na wielkiej przestrzeni, a od brzegu do brzegu rozparły się wielkie fale podobne do szlaku pędzącej łodzi.

Mowgli szedł trop w trop za kłębiącą się i tłoczącą hordą, rąbiąc, wałąc i kłując wszystko, co tylko wpadło mu pod rękę.

Rozpoczął się bój długi i przewlekły. Walczące zastępy wzbierały, przeżyły się, rozbiły się i rozdrabniały w małe gromadki, rzedyły i gęstniały na przemian, niby dwa wielkie zalewiska na wydmach czerwonego piasku, pośród pogmatwanych korzeni drzewnych, skroś zarośli i chaszczki, pomiędzy kępami trawy — boć jeszcze i raz *dhole* były w sile dwóch na jednego. Atoli tym razem wypadła im sprawa z wilkami stającymi w obronie swego stada — i to nie tylko z krępymi, przysadzistymi łowcami, ale — co gorsza — z *labini*, czyli z patrzącymi srogo spode łba matkami-wilczycami broniącymi swych młodych; matkom zasię do pomocy szły małe, ledwo owłosione roczniaki, gotowe już do brania się za gardła i do utarczki. Trzeba wiedzieć, że wilk zwykł chwytać przeciwnika za gardziel albo dochodzić go z boku zębami, natomiast rudy pies woli kąsać po piemu — od brzucha lub po łydkach. Gdy więc *dhole* jęły wylazić z wody, podnosząc

z konieczności lby w górę, przewaga była po stronie wilków. Na suchym gruncie wilki zaczęły ponosić straty, ale nóż Mowgliego sprawiał się równie dobrze w wodzie, jak i na lądzie. Czwórka wilków też ze swej strony dzielnie służyła mu pomocą. Szary Brat warował pomiędzy jego kolanami, osłaniając brzuch chłopca, tamci zaś trzej pilnowali jego pleców i boków i stawali ponad nim, ilekroć zwałił się na ziemię wskutek wstrząsu wywołanego skokiem rozwścieżonego, rozszczekanego *dhola*, rzucającego się wprost na twardą, niezwalczoną klingę... Poza tym na całym placu boju panował zupełny rozgardiasz i zamęt. Zbita, kołysząca się ciżba zapasników posuwała się to w lewo, to w prawo wzdłuż brzegu rzeki, ścierając się przy tym na miazgę w wolnym obrocie wokół swego środka. W jednym miejscu widniało jakby falujące wzniesienie podobne do bańki wodnej na wirującej topieli, które — podobnie też jak bańka wodna — rozpryskiwało się co pewien czas, wyrzucając w górę po cztery lub pięć zduszonych psów, starających się dostać z powrotem do środka. Tam zasię jakiś wilk osamotniony padał na ziemię, stłamszony przez kilka psów cisnących się naprzód. Ówdzie roczny szczeniak tkwił sztorcem w ścisku, jakoby żywy, pomimo że utracił życie jeszcze z początkiem walki, gdy jego matka, ogarnięta wściekłością i rozpaczą, parła naprzód, gryząc wszystko, co nawinęło się pod jej paszczkę. Nierzadko w najgęstszym tłoku walczących wilk z rudym psem walczyły we dwójkę, zмирzając sobie wzajem do gardła, głusi poza tym na wszystko w świecie, póki ich nie rozłączyła fala rozwrzeszczanych przeciwników. Raz Mowgli dojrzał przelotem Akele, do którego boków dobierały się dwa *dhole*, podczas gdy on niepozabawionymi jeszcze zębów szczękami wgryzł się w łydki trzeciego napastnika. Drugim razem zauważył Phaona, który zatopił zębiska w gardzieli jednego z psów, wlokąc bestię pomimo jej woli naprzód, by powierzyć jej zabicie jednolatkom. Atoli przeważna<sup>134</sup> część walki ginęła w czarnych kłębach oślepiającego pyłu: wkoło siebie, poza sobą i ponad sobą Mowgli widział jeno ciosy, starcia, wzajemne obalanie się i kłębienie, słyszał wrzaski, skowyty, szarpaninę, okrzyki bólu i rozpacz.

W miarę jak gęstniała noc, wzmagala się oszałamiająca, wartka bieganina i ruchawka. *Dhole*, zbyt wyczerpane i zestrachane, nie ośmielały się nacierać na silniejsze od nich wilki, ale też nie ważyły się na rozpoczęcie odwrotu. Atoli Mowgli czuł, że zbliża się już koniec rozprawy, i zadowalał się uderzeniem na słabszych jeno, okaleczonych już przeciwników.

Roczniaki z wolna nabrały zuchowatości, przeto starsi mogli sobie od czasu do czasu pozwolić na dłuższy wypoczynek. Zresztą obecnie dość już było błysnąć nożem, aby przeciwnik uciekał zaraz jak niepyszny.

— Dogryźliśmy już mięso niemal do samej kości! — sapnął Szary Brat, obryzgany krwią sączącą się z kilkunastu głębokich ran.

— Tak, ale jeszcze trzeba zgryźć kość samą! — odparł Mowgli. — Aowawa! Tak to my się sprawiamy w dżungli!

Okrwawiony brzeszczot błysnął jak płomień tuż obok psa, którego grzbiet i tylne łapy były przygniecione ciężarem jakiegoś zajadłego wilczura.

— To mój łup! — fuknął wilczur, rozdymając chrapy. — Zostaw mi go!

— Co? Jeszcześ się nie nasycił, Samotniku? — spytał Mowgli.

Won-tolla poharatany był szpetnie, ale chwyt udał mu się znakomicie, albowiem zaskoczony *dhole* — obezwładniony całkowicie — nie mógł ani się odwrócić, ani dosięgnąć napastnika.

— Na Byka, który był okupem za mnie! — krzyknął Mowgli, śmiejąc się gorzko. — Toż to moja kusa psinka!

W rzeczy samej był to nie kto inny, jeno we własnej osobie sam arcypies-przodownik.

— Nieogłędną rzeczą jest zabijać szczenięta i *lahini* — dorzucił Mowgli tonem filozoficznym. — Chyba że zabije się także i ojca legowiska!... Ale ja czuję to... tu w dołku... że ten ojciec ciebie teraz zabije!

Jeden z rudych psów skoczył z pomocą przodownikowi, lecz zanim zdołał wpić zęby w bok Won-tolli, już mu z prawej strony wszedł pomiędzy żebra nóż Mowgliego, a po lewej błysnęły kły Szarego Brata.

— Tak to my się sprawiamy w dżungli! — powtórzył Mowgli.

<sup>134</sup>przeważny — dziś: przeważający.

Won-tolla nie rzekł ani słowa, lecz szczęki coraz bardziej mu się zwierały i coraz bardziej wgrzyzały się w grzbiet przeciwnika — w miarę jak upływało zeń życie. Rudy pies drgnął kurczowo, opuścił w dół głowę i legł bez ruchu, a Won-tolla zwał się bezwładnie na niego.

— Pst! Krwawy dług już spleciony! — syknął Mowgli. — Zanuć pieśń tryumfu, Won-tollo!

— On już nie zapoluje nigdy w życiu — ozwał się Szary Brat. — Ale i Akela jakoś zamilknął już od dłuższego czasu.

— Zgryźliśmy i kość! — huknął Phao, syn Phaona. — Uciekają! Bić ich, bić, o łowcy Wolnego Plemienia!

Rude psy jeden po drugim poczęły wymykać się z mrocznych i okrwawionych wydm to ku wodzie, to w gęstwinę dżungli, to w dół, to w górę rzeki, słowem, gdzie kto widział przed sobą otwartą drogę ucieczki.

— Dług! Dług! — krzyczał Mowgli. — Trzeba spłacić dług! Te psy zabiły Wilka Samotnika! Niech żadnemu z nich nie ujdzie to na sucho!

I ścisnąwszy nóż w dłoni, leciał już nad rzekę, by zatrzymać każdego *dhola*, który by ośmielił się przystąpić do niej, aż tu nagle spod stosu dziewięciu trupów wynurzył się łeb i część kadłuba Akeli. Mowgli zatrzymał się i padł na kolana obok sędziwego Wilka Samotnika.

— Czyż nie mówiłem, że będzie to ostatnia walka w moim życiu? — westchnął Akela. — Udały się łowy! I jakże się czujesz, Mały Bracie?

— Żyję, a zgładziłem wielu nieprzyjaciół.

— To dobrze! Ja... już umieram... a chciałbym... chciałbym umrzeć na twoich rękach, Mały Bracie.

Mowgli wziął na kolana pokaleczoną straszliwie głowę starego wilka i zarzucił ramiona na jego poszarpaną szyję.

— O, ileż to czasu upłynęło od owych dni, gdy żył Shere Khan i gdy małe, голуśkie Ludzkie Szczeniątko tarzało się w piasku! — wykrztusił z siebie Akela.

— No, no, przecież jestem wilkiem! Jestem z tej samej sierści i skóry, co reszta Wolnego Plemienia! — obruszył się Mowgli, płacząc. — Ani mi się kiedy śniło być człowiekiem!

— Ale jesteś człowiekiem, Mały Bracie, przyhołubiony przeze mnie wilczaszku. Jesteś człowiekiem z krwi i kości! Gdyby nie to, nasza Wilcza Gromada pierzchłaby od razu przed natarciem rudych psów. Tobie zawdzięczam me życie, dziś zaś uratowałeś naszą Gromadę, tak jak ja ongi uratowałem ciebie. Czy zapomniałeś? Teraz już jesteśmy skwitowani. Nie masz co tu robić dłużej! Odejdź do swego plemienia, swych bliźnich. Raz jeszcze ci powiadam, żenico mego oka, żeśmy już zakończyli łowy... Wracaj do swego plemienia!

— Nie pójdę tam nigdy. Będę polował w dżungli samopas, na własną rękę. Jużem ci raz to mówił.

— Po lecie przychodzi pora deszczowa, a po niej następuje wiosna. Odejdź, zanim będziesz zniewolony do odejścia!

— Któż mnie zmusi?

— Mowgli przymusi Mowglię. Wracaj do swego plemienia. Wracaj do ludzi!

— Pójdę... gdy Mowgli wygna Mowglię — odrzekł Mowgli.

— Nie będę ci już nic więcej radził. — rzekł Akela. — Teraz chcę przemówić do moich krewniaków. Czy nie mógłbyś postawić mnie na nogi, Mały Bracie? Jam jest przecie również wodzem Wolnego Plemienia!

Powoli, łagodnie, z wielką ostrożnością Mowgli podniósł na nogi Akelę, podtrzymując go oburącz. Stary Wilk Samotnik nabral tchu całą piersią i począł nucić żalosaną pieśń zgonu, jaką winien przed śmiercią odśpiewać Naczelnik Wilczej Gromady. Pieśń ta nabierała mocy z każdą chwilą, krzepła, potężniała, rozchodziła się coraz dalej i dalej — hen, poza rzekę aż na koniec zadzwoniła ostatnim refrenem myśliwskiego wołania: „Szczęśliwych łowów!”.

Wówczas Akela wyszarpnął się na chwilę z rąk Mowglię, skoczył w górę i upadł naznak nieżywy, zakończywszy ostatnie i najstraszniejsze w swym życiu łowy...

Mowgli oparł głowę o kolana i siedział tak nieruchomo, nie dbając zgoła o to, co działo się dokoła. Tymczasem niedobitki rudych psów zostały osaczone i zaatakowane

przez nieubłagane *labini*. Z wolna krzyki ucichły, a wilki jęły jeden po drugim wracać do gromady, ślaniając się od ran, zaskorupiałych już po trosze, ale teraz właśnie dolegających najwięcej. Zaczęło się przeliczanie poległych. Kilkunastu z drużyny łowieckiej oraz ze sześć matek-wilczyc leżało trupem ponad rzeką, a z pozostałych przy życiu uczestników walki mało który nie miał na sobie blizny. Mowgli, nie wracając uwagi na to wszystko, siedział nieporuszenie aż do chłodnego poranku, gdy uczuł na ręce wilgotne dotknięcie okrwawionej paszczęki Phaona. Wówczas Mowgli odsunął się, ukazując oczom Phaona chude zwłoki Akeli.

— Szczęśliwych łowów! — zawołał Phao, jak gdyby miał przed sobą żywego Akele; a potem, obracając się okrwawioną szyją w stronę towarzyszy, rzucił hasło — Zawycie, Wilcy! Wilk, wilk sławny zmarł w noc dzisiejszą!...

Ale ze zgrai dwustu *dbolów*-wojowników, rudych psów dekańskich, szczyjących się tym, iż rzekomo żadne ze stworzeń dżungli nie ośmieliłoby się stawić im czoła — z całej tej zgrai nie ocalał nikt, kto by mógł choć wieść o wypadkach tu opisanych zanieść do Dekanu.

#### PIEŚŃ CHILA

Taką to pieśń śpiewał Chil, gdy drapieżne ptaki jeden za drugim opuszczały się na brzeg rzeki po ukończeniu wielkiego boju. Chil żyje w przyjaźni z wszystkimi, atoli w sercu jego brak gorętszych uczuć — boć wie on dobrze, że prędzej czy później niemal każde w stworzeń dżungli dostanie się w moc jego.

Druhami mymi byli oni, gdy w noc szli na wyprawę —  
(Baczność! Chil idzie! Chil!)

A teraz idę, by mym świstem uciszyć boje krwawe...  
(Ze świtą Chil idzie! Chil!)

Hej! Ślaliż oni mi meldunki o świeżym w polu ścierwie —  
Hej, meldowałem im zwierzynę, nad lasem mknąc w rezerwie...

A teraz nikt się już nie ozwie — i ślad się wszelki przerwie.  
Ci, co łowiecki zew rzucili po rosie, wśród rozłogów —  
(Baczność! Chil idzie! Chil!)

Ci, co jelenie osaczali — niebaczni jego rogów —  
(Ze świtą Chil idzie! Chil!)

Ci, którzy wlekli się za węchem — lub kryli się w gęstwinie,  
Ci, którzy byli rączy w nogach — lub nie mniej rączy w czynie,  
Nie będą odtąd gnać po kniei — i wszelki ślad ich zginie...

Druhami mymi byli oni! Hej, w głośnieżyli chwale!...  
(Baczność! Chil idzie! Chil!)

Ostatnią dziś im dam posługę — i zgonu się użalę...  
(Ze świtą Chil idzie! Chil!)

Wzrok zagaśł, krew im bluzga z boków, a szczęki się nie zwarły!

Bez władną, mdłą, żalosalną kupą za zmarłym leży zmarły...  
Hej, miałyż ucztę sługi moje — i wszelki ślad zatarły...  
(Baczność! Ze świtą Chil idzie! Chil!)

#### HARCE WIOSENNE

Do ludzi wraca człowiek! Rzućcie zew po dżungli!...  
W tym człowieku tracimy druha-pobratyma!  
Słuchajcie i rozważcie, o Plemiona Dżungli!  
Zali<sup>135</sup> go kto zawróci z drogi lub powstrzyma?

<sup>135</sup>zali (daw.) — czy.

Do ludzi wraca człowiek!... Ach, on płacze w dżungli!...  
Nasz kochany pobratym cierpi i narzeka!  
Do ludzi wraca człowiek! Precz odchodzi z dżungli —  
Ścieżką dla nas zamkniętą — ku leżom człowieka!...

W dwa lata po wielkiej bitwie z rudymi psami i po śmierci Akeli, Mowgli liczył już sobie siedemnasty rok życia. Wyglądał na starszego, bo ciągły ruch, wyborne jadło i częsta kąpiel, której zażywał, ilekroć choćby trochę dokuczył mu brud lub upał, uczyniły go nad wiek roslym i krzepkim. Fraszką mu było uczepić się jedną ręką najwyższej gałęzi drzewa i tak wisieć bez odpoczynku przez pół godziny, przepatrując wzrokiem szlaki zielonych rozchwiei. Umiał zatrzymać jelenia pędzącego cwałem i schwyciwszy za rogi, cisnąć go o ziemię. Ba, potrafił bez wielkiego wysiłku zwać z nóg olbrzymie, silne dziki, barłóżące się wśród trzęsawisk na północy. Plemiona Dżungli, które dotąd miały cześć dla jego rozumu i przebiegłości, zaczęły teraz obawiać się jego siły, przeto gdy nawet spokojnie, bez żadnych planów zdradzieckich włóczył się po lesie, rozmyślając wyłącznie o swych osobistych sprawach, biegły przed nim szepto ostrzegawcze i wszystko, co żyło, usuwało mu się skwapliwie z drogi. Wszelakoż oczy jego miały zawsze wyraz łagodny. Nawet podczas walki nie rozjarzały się ogniem, jak oczy Bagheery — jakkolwiek uwydatniało się w nich rosnące podniecenie i zaciekawienie. Było to jedno z wielu zjawisk, których objaśnić nie umiała nawet bywała wśród ludzi — Czarna Pantera Bagheera.

Zwróciła się do Mowgliego z pytaniem w tej sprawie, ale chłopak roześmiał się tylko i rzekł:

— Gdy poszkapię się<sup>136</sup> w łowach, bywam gniewny. Największy jednak gniew mnie ogarnia, gdy mi wypadnie ze dwa dni chodzić z pustym żołądkiem. Czy moje oczy nie mówią ci nic wtedy?

— Usta twoje są wówczas głodne — odrzekła Bagheera — ale twoje oczy nic nie mówią. Czy pożywasz się, czy pływasz, czy twoje bywają zawsze jak głaz... zarówno latem, jak zimą...

Mowgli spojrział na nią ociężale spod długich rzęs — a niebawem Bagheera, jak to zwykle bywało w takim wypadku, spuściła potulnie łeb ku ziemi. Znała mores Czarna Pantera i wiedziała, z kim ma do czynienia.

Leżeli we dwójkę na stoku wzgórza panującego nad brzegiem Wajngangi. U stóp ich snuły się pasma mgły, na przemian białe i zielone. Gdy wstało słońce, mgła zmieniła się w falujące morze złota i czerwieni, następnie wyklarowała się — i rozelane po ziemi promienie musnęły wysoką trawę, na której spoczywał Mowgli wraz z Bagheerą.

Było to pod koniec chłodnej pory, więc liście drzew i ziół obumarły i powiędły, a powiew wiatru budził suche i drażniące szelesty. Szczególnie zaś jeden mały listek łopotał zawzięcie o gałązkę — jakby skarżąc się na swoją samotność. Ocknęła się Bagheera, pobudzona tym szmerem, zachłysnęła się rzeźwym tchnieniem poranku, aż jej w grdyce coś głucho zachrzęściło, po czym przewróciła się na wznak i jęła czterema łapami — kocim obyczajem — potrącać ów listek trzepocący nad głową.

— Nadchodzi zmiana pory roku! — zawołała. — Życie dżungli posuwa się naprzód. Czas Nowej Gwary jest już blisko. Ten liść to wyczuwa. Wszystko to cieszy mnie niezmiernie.

— Trawa jest zeschnięta — odrzekł Mowgli, wrywając całą jej kępkę. — Nawet „oko wiosny” (tak zwie się czerwony kwiatusek o lejkowatym kielichu, snujący się długimi kłaczami pomiędzy trawą)... nawet „oko wiosny” jest jeszcze zamknięte... a zresztą... Bagheero, czy wypada, by Czarna Pantera wywracała się po ziemi i majdała nogami w powietrzu niby nieobyty żbik?

— O-o-o! — ziewnęła Bagheera, najwidoczniej zajęta w tej chwili zgoła inną myślą.

— O, ładnie, ładnie! — zgromił ją Mowgli. — Widziałże kto, by Czarna Pantera otwierała tak szeroko paszczę, kaszlała, wyla i tarzała się jak wariat po ziemi? Pamiętaj, że i ty, i ja jesteśmy dziś władcami dżungli!

<sup>136</sup>poszkapić się — nie podolać czemuś, chybić w czymś, pomylić się.

Bagheera przewróciła się czym prędzej z powrotem i przysiadła na zakurzonej ziemi. Widać teraz było dobrze jej wyliniałe boki — była to bowiem pora, w której zrzuciła z siebie futerko zimowe.

— Owszem, owszem, słucham cię, Ludzkie Szczenię! Masz słuszość! My oboje jesteśmy bezsprzecznie panami dżungli! Kto siłą, kto rozumem dorówna Mowgliemu?

Słowa te wycodziła tak jakoś dziwnie, że Mowgli obejrzał się, chcąc się przekonać, czy pantera przypadkiem nie pokpiwa sobie z niego; albowiem w dżungli mnóstwo jest słów takich, co brzmią inaczej, a inne mają znaczenie.

— Powiadam ci, że bezsprzecznie my oboje jesteśmy panami dżungli! — powtórzyła Bagheera. — Czy postąpiłam niewłaściwie? Nie wiedziałam, że Ludzkie Szczeniętko już nie lubi tarzać się po ziemi. Zapewne więc nauczyło się latać?

Mowgli siedział, wsparłszy łokcie na kolanach, i patrzył w dolinę zalaną już światłem dziennym. Kędyś poniżej, w głębi lasów, jakiś ptak głosem jeszcze niewprawnym i schrypniętym dobywał pierwszych tonów wiosennej piosenki. Był to ledwie cień owego hucznego hejnału, który niebawem miał rozbrzmiewać z ptasiego gardła — ale Bagheera i tak posłyszała to preludium.

— Mówiłam ci, że zbliża się Czas Nowej Gwary — zamruczała, wymachując ogonem.

— Słyszę — odpowiedział Mowgli. — Bagheero, powiedz mi, czemuś tak zadrzała? Przecież słońce już grzeje!

— To Ferao, szkarłatny dzięcioł — odrzekła wymijająco Bagheera. — On nie zapomnia! Teraz i ja muszę sobie przypomnieć moją śpiewkę.

To rzekłszy, poczęła pomiaukiwać i mruzczyć coś z cicha, nad słuchując co pewien czas z widocznym niezadowoleniem.

— Ależ ja tu nigdzie nie czuję zwierzyny! — skrzywił się Mowgli obojętnie.

— Ej, Braciszku, czy żeś już ogłuchł na oba uszy? Przecież to nie hasło łowieckie, tylko moja śpiewka, która wnet może mi się przydać... ćwiczę się więc w niej na wszelki wypadek.

— Zapomniałem o tym — odrzekł Mowgli z pewną opryskliwością w głosie. — Zresztą ja i tak poznam, kiedy nadejdzie Czas Nowej Gwary, bo wówczas ty i reszta towarzyszy uciekniecie precz i każecie mi chodzić samopas.

— Ależ, Braciszku! — zaczęła Bagheera — przecież my nie...

— Mówię ci, że tak jest! — burknął Mowgli gniewnie, wyrzucając przed siebie palec wskazujący. — Tak! Wy odchodźcie sobie precz, a ja, pan dżungli, muszę chodzić samopas! A jak to było w zeszłym roku, gdy przyszła mi oskoma na trzcinę rosnącą na polach ludzkiej gromady? Posłałem cię jako gońca do Hathiego, rozkazując mu, by przybył w oznaczoną noc i trąbą swą nazrywał dla mnie tej słodkiej trawy...

— Przybył przecie, tylko się spóźnił o dwie noce — odrzekła Bagheera, pochylając z lekka łeb ku ziemi. — Tylko o dwie noce... A co się tyczy tej długiej, słodkiej trawy, którą tak lubisz, toż przyniósł ci jej o wiele więcej, niżby potrafiło spożyć małe Ludzkie Szczeniętko przez wszystkie noce pory deszczowej. Ja tu nie byłam nic winna...

— Rzecz cała w tym, że on nie stawiał się na me wezwanie w ową noc, którą mu oznaczyłem, ale biegał jak szalony po wertepach górskich, trąbił, dudnił i hałasował. Wiedziałem go przy świetle księżycowym, jak tańczył nieopodal domów ludzkich. Nie potrafił ukryć się pośród drzew, bo ślady jego były jako ślady trzech słońi. Jam go widział, a jednak on do mnie nie przybył, mimo że przecie jestem panem dżungli!

— Był to właśnie Czas Nowej Gwary — tłumaczyła pantera z pokorą. — A może, Mały Bracie, nie przywołałeś go Czarnoksiężskim Zaklęciem?... Ale słuchaj, co tam nuci Ferao!

Mowgli — jakby już ochłonął z gniewu — położył się wygodnie na wznak, podparł głowę rękami i zamknął oczy.

— Nie rozumiem... a zresztą nie obchodzi mnie to wcale — rzekł sennym głosem. — Prześpijmy się, Bagheero. Coś mi tak cięży w żołądku... Przygotuj mi oparcie pod głowę!

Pantera legła potulnie na ziemi, ale westchnęła głęboko, bo z głębi kniei raz po raz dolatywał ją głos dzięcioła Ferao, ćwiczącego się w piosence na powitanie wiosny, czyli tak zwanego Czasu Nowej Gwary.

Pory roku w dżungli tak spływają się z sobą, że trudno dostrzec pomiędzy nimi jakieś granice. Na pozór istnieją tylko dwie — mokra i sucha, ale kto umie przeniknąć wzrokiem tumany kurzu, kłęby dymu i strugi ulewy, przekona się, że wszystkie cztery pory roku płyną najzupełniej normalnym trybem. Najdziwniejsza jest wiosna, gdyż zamiast okrywać nagie pola nowymi kwiatami i liśćmi, usuwa i uprzęta obwisłe — ledwo ocalałe przy życiu — szczątki zieleni, oszczędzone przez łagodną zimę, odmładzając i odświeżając zaschlą, skąpo odzianą ziemię.

Pod tym względem żadna wiosna na świecie nie może się równać z wiosną w dżungli.

Jest taki dzień jeden, w którym wszystko jest ogarnięte znużeniem, gdy nawet wonie płynące w ciężkim powietrzu są jakby stęchłe i zwietrzałe. Każdy to czuje, ale wytłumaczyć nikt nie potrafi. A potem nadchodzi drugi dzień — na pozór nieróżniący się od poprzedniego — gdy wszystkie wonie tchną świeżością i rozkoszą, gdy wąsy zwierząt puszczańskich drgają aż po same korzonki, a zimowe uwłosienie osypuje się długimi kłakami z kosmatych grzbietów. Potem zazwyczaj mży drobny deszczyk, a wszystkie drzewa, krzewy, bambusowe oczerety, szare mchy i soczyste zioła budzą się do nowego, szumnego życia — niemal słysząc, jak żyją i rosną.

Poszumowi temu wtóruje dniem i nocą buczenie jakieś głuche, gładzenie niewytłumaczone. Gwar ci to jest wiosenny — ni to pobrzęk pszczół, ni pogrzmot siklawy<sup>137</sup>, ni szemranie wiatru w drzew koronach — ale gaworzenie szczęśliwe, pomruk radosny zadowolonego, ogrzanego świata.

Po inne lata<sup>138</sup> Mowgli zawsze cieszył się nawrotem pór roku. On to pierwszy umiał wypatrzeć małe „oko wiosny” schowane głęboko w trawie oraz ławicę obłoków wiosennych, z którymi nic w dżungli nie daje się porównać. Jego to głos rozbrzmiewał przy blasku gwiazd na ukwieconych mokradłach, wspomagając śpiewkę żabich zespołów lub przedrzeźniając hukanie puszczyków, psujących nastrój srebrnej, księżycowej nocy. Jak dla wszystkich podległych mu plemion, tak i dla niego wiosna była ulubioną porą harców. Niewysłowioną uciechę sprawiał mu ruch i przebywanie wśród ciepłych blasków słońca, przeto hasał niezmordowanie od jutrzni do wieczora, aż w końcu, przebiegłszy trzydzieści, czterdzieści lub nawet pięćdziesiąt mil, wracał do domu, sapiąc i śmiejąc się jednocześnie, przystrojony równiankami<sup>139</sup> dziwnego kwiecia. Czwórka wilczków nie towarzyszyła mu w tych dzikich hulankach, ale zmykała kędyś w głąb maceznika i wyla w zawody z innymi wilkami. Plemiona Dżungli ożywiają się niezmiernie z wiosną — przeto<sup>140</sup> do uszu Mowgliego dochodziły wciąż to wrzaski, to jęki, to poświstywania. Każdy gatunek zwierza innym wabił się głosem. W owym czasie głosy te bywają zgoła inne niż w innych porach roku — to zaś jest jedną z przyczyn, że wiosnę przezwano Czasem Nowej Gwary.

Ale owej wiosny, jak zwierzył się Bagheerze, coś mu się odmieniło na wnętrzu<sup>141</sup>. Odkąd łodygi bambusa upstrzyły się w cętki brunatne, Mowgli z utęsknieniem wyczekiwał poranka, który inne wonie rozniesie po kniei. Skoro jednak nadszedł ów poranek... a paw Mao, mieniący się barwą złotą, brązową i błękitną, głośnym krzykiem obwieścił go po omglonych kniejach, Mowgli otwarł usta, by podać dalej okrzyk — słowa uwięzły mu w gardle i jakieś dziwne uczucie owładnęło nim całym od koniuszków nóg po koniuszki włosów. Czuł się bardzo, bardzo nieszczęśliwy, więc obejrzał dokładnie całe swe ciało, by przekonać się, czy nie wbił gdzie sobie jakiego ciernia. Mao ogłaszał wieść o nowych woniach, co szły w przestworzu. Podjęły ją inne ptaki i niosły dalej, a od skał nad Wajngangą rozległo się miauczenie Bagheery — przypominające po trosze skwir orla i rżenie konia; w górze, wśród pączkujących gałęzi, słysząc było wrzaski i szamotanie się plemienia *bandar-log*. Mowgli stał i stał, pragnąc z głębi wezbranej piersi odpowiedzieć na zew pawia Mao i nie mogąc się zdobyć na nic więcej jak na ciche westchnienie — gdyż dech mu zatamowało owo nagłe poczucie nieszczęścia.

Stał i rozwierzał oczy szeroko, ale widział jedynie szydercze twarze małpiąt barszkujących wśród drzew oraz rozpostarty w pełni blasku ogon pawia Mao, pływający w wąwozie.

<sup>137</sup>siklawka (gw.) — wodospad.

<sup>138</sup>po inne lata — dziś: w inne lata; w poprzednie lata.

<sup>139</sup>równianka — wianek.

<sup>140</sup>przeto — więc.

<sup>141</sup>na wnętrzu — dziś: wewnątrz.



— Świeża woń nadciąga! — krzyknął paw. — Pomyślnych łowów, Braciszku! Nie raczysz mi odpowiedzieć?

— Szczęśliwych łowów, Mały Bracie! — zaświstali razem ścierwnik Chil ze swoją samicą, spadając na ziemię tak blisko, że otarli się pękiem puszystych białych skrzydeł o nos Mowglięgo.

Lekki deszczyk wiosenny, zwany deszczem słońca, przebiegł przez półmilowy skrawek puszczy, zrosił i rozkołysał świeżo rozwinięte liście i skonał, rozbity w dwa łuki tęczy oraz stłumione warczenie grzmotu. Rozhowor wiosny wzmagał się na chwilę, to cichł znowu; wszystko, co żyło w kniei, dawało znać o sobie, przekrzykując się wzajem.

Wszystko — z wyjątkiem Mowglięgo.

„Cóż to mi się stało? — rozmyślał. — Wszak pożywiałem się nieźle, nie brak mi jada i napoju. Gardło mi nie zaschło i nie skurczyło się jak wtedy, gdy skosztowałem owego korzenia w sine kropki, który zdaniem żółwia Oo nie zawierał w sobie trucizny. Ale w dołku mnie coś ściska, a bez najmniejszej po temu przyczyny odezwałem się bardzo niegrzecznie do Bagheery i do innych mieszkańców puszczy, a moich ziomeków. Na domiar złego robi mi się na przemian zimno i gorąco... to znów ani zimno, ani gorąco, tylko coś mnie tak złości... sam nie wiem co! Hu-hu! Nadszedł czas biegów. Dziś nocą przebiegnę cały ostep. Tak jest, urządzę wiosenny wyścig ku północnym żuławom i z powrotem! Dość już długo, dość już długo wiodłem lada jakie łowy! Czwórka mych braci pójdzie za mną, bo tak obrośli sadłem, że wloką się powoli jak pędraki!”

Jął hukać po lesie — ale żaden z czterech wilczków nie dał mu odpowiedzi. Przebywały bowiem daleko, kędy już nie sięgało wołanie, i wmieszawszy się w tłum wilków, śpiewały pieśni wiosenne — pieśń księżycy i pieśń sambhura — albowiem o wiosnie<sup>142</sup> zwierzęta puszczańskie niemal nie czynią różnicy między dniem i nocą.

Mowgli zaszczekał donośnie, ale jedyną odpowiedzią było szydercze miauczenie cętkowanego żbika, uwijającego się wśród gałęzi w poszukiwaniu gniazd ptasich. Oburzyło to Mowglięgo; drgnął gniewem i wysunął nóż z pochwy. Schował go jednakże zaraz, odął się i choć nie mógł tu zwracać na siebie niczyjej uwagi, jednakże stąpał dumnie z miną srogą, ściągawszy brwi i zadarłszy w górę podbródek. Szedł i szedł po stoku góry, ale nikt go nie zagadnął po drodze, bo wszyscy byli nazbyt zajęci własnymi sprawami.

— Aha! — rzekł do siebie, choć w głębi serca czuł, że nie ma racji. — Niech no rude psy nadciągną z Dekanu lub Czerwone Kwiecie pocznie hasać wśród bambusów... a już cała dżungla z płaczem przybiega do mnie o pomoc i obdarza mnie wielkimi jak słonie tytułami. Ale teraz, że tam gdzieś zabyło „oko wiosny”, a Mao (wielkie mi rzeczy!) podkasał sobie nogi do jakiegoś tam wiosennego tańca, to już cała dżungla szaleje niczym Tabaqui!... Na Byka, który był okupem za mnie! Czy jestem jeszcze panem dżungli, czy nie? Hej, uciszyć się tam! Cóż to was napadło?

Na ścieżkę wypadły naraz dwa młode wilczki, szukające dogodnego miejsca na stoczenie walki. (Zapewne pamiętacie, że Prawo Dżungli zabrania wilkom pojedynkować się wobec stada). Sierść na karku zjeżyła się im jak zgrzebło i poczęły ujadać zaciekłe, gotując się do skoku. Już miały rzucić się sobie do gardła, gdy Mowgli skoczył pośrodek, schwytał każdego z napastników jedną ręką za grdykę, spodziewając się, że roztrąci ich w dwie strony, jak to nieraz był czynił w czasie igrzysk lub wielkiej oblawy. Tym razem jednak się przeliczył — boć nigdy dotąd nie miał do czynienia z bójką wiosenną. Wilczki wyrwały się, obaliły Mowglięgo na ziemię i nie tracąc ani słowa, jęły w zwartym uścisku tarzać się po ziemi.

Mowgli zerwał się na równe nogi, błyskając brzeszczotem noża i wyszczerzonymi, białymi zębami. W chwili tej pragnął zabić obu zapaśników — ot, po prostu dlatego, że walczyli, gdy chciał ich uciszyć — jakkolwiek każdy wilk ma zupełne prawo walczyć wedle przepisów. Biegał przeto dokoła nich, podawszy się naprzód i wywijając nożem, gotów zadać cios obu naraz wilczkom, skoro ochłoną z pierwszej zażartości boju. Ale gdy czekał na sposobną chwilę, uczył, że ciało mu słabnie, a ręka zbrojna nożem opada bezsilnie. Włożył więc nóż do pochwy i jął patrzeć przed siebie.

— Ani chybi, jestem otruty — rzekł w końcu. — Od czasu gdy mocą Czerwonego Kwiecia rozpędziłem wiec wilków, od czasu gdy zabiłem Shere Khana, żaden z wilków

<sup>142</sup>o wiosnie — dziś: wiosną a. na wiosnę.

nie zwałił mnie z nóg... aż dopiero teraz dokonały tego dwa takie fryce, młokosy, łaziki wilczego stada! Odeszła ode mnie siła moja... umrę już chyba. Ach, Mowgli, Mowgli, czemu nie zabiłeś tych dwóch chłystków?

Bójka trwała jeszcze jakiś czas. W końcu jeden wilk uciekł, a drugi puścił się za nim w pogoń. Mowgli został sam. Usiadł na wytłamszonej i okrwawionej ziemi, spoglądając to na nóż, to na swoje nogi i ramiona, a rozgoryczenie, jakiego nigdy wpierw nie zaznawał, ogarnęło go całego, jak powódź zagarnia zwałony pień drzewny.

Do polowania wziął się jeszcze przed zmierzchem. Wieczerzał sam tylko, bo wszystko, co żyło w dżungli, wyruszyło gdzieś w dal, śpiewając i staczając bójki po drodze. Jadł zresztą niewiele, by nie utracić zwinności potrzebnej mu do wiosennego biegu. Noc była jasna, biała nocka, jak mawiają w puszczy. Wszędy zieleń rozwinęła się bujnie, a od rana tyle jej narosło, co kiedy indziej przez cały miesiąc. Gałązka, która jeszcze dnia poprzedniego była odziana żółklymi liśćmi, teraz, gdy Mowgli ją ułamał, puściła sok obfity. Stopy tak mile grzęzły w ciepłym i głębokim mchu, świeżo porośla trawa nie miała kłujących naroży, a wszystkie głosy dżungli zgodnym akordem brzęczały niby jedna basowa struna jakowejś harfy czarnoksięskiej, trącana światłością księżycy — jasną księżycową pełnią Czasu Nowej Gwary, rozlewając swe blaski po skałach i wodach, wkradając się pomiędzy pnie i łodygi i przesiewając się przez milionową gęstwą liści. Pomimo wszelkich strapięń Mowgli rozśpiewał się pieśnią zachwytu, gdy ruszył na włóczęgę.

Nie włóczęga to raczej była, lecz lot, albowiem chłopak obrał sobie za kierunek drogi długie, pochyle zbocze, wiodące ku żuławom północnym skroś matecznika, którego prężne, miękkie ścielisko tłumilo wszelki odgłos kroków. Człowiek wychowany wśród ludzi byłby się przedzierał z trudnością przez ten ostep i nieraz by się potknął lub poblądził w złudnej księżycowej poświatli, natomiast Mowgli, dzięki gibkości swych mięśni zaprawionych wieloletnim ćwiczeniem, mknął chyżo i lekko niczym piórko. Gdy jakiś pień zmurszały lub ukryty kamień wymknął mu się spod nóg, on nawet nie zwalniał kroku, ale bez najmniejszego wysiłku — bez myśli niemal — uchylał się od niebezpieczeństwa. Ilekroć znużył się stąpaniem po ziemi, czepiał się oburącz, jak małpa, grubych zwojów pnących i raczej płynął niż wspinał się hen ku najwyższym gałęziom, po czym wędrował sobie zielonymi gościńcami, póki mu to nie zbrzydło — a wówczas zjeżdżał z powrotem na ziemię po długiej liściastej krzywiźnie. Były tam ciche liściaste jamy, opasane wilgotnymi skałami, gdzie ledwie można oddychać wskutek ciężkiego zapachu nocnych kwiatów oraz rozwijającego się pąkowania. Były i ciemne aleje, gdzie światło miesięczne słało się pasmami przypominającymi prążkowane marmury w nawie kościelnej. Były i gąszcze, których rosiste młode podszycie zakrywało go do piersi i jakby ramion mnóstwem przytrzymywało go w pasie. Były i wzgórciki wieńczone złomem skalnym, gdzie przeskakiwał z kamienia na kamień ponad kryjówkami strwożonych lisiąt. Nieraz doleciało go z dala — ledwo dosłyszalne — zgrzytliwe szast-prast klów dzicych, ostrzonych o pień drzewny; wnet zaś ukazywał się przed nim sam zwierz — knur odyniec, łyskający krwawymi ślepiami, a spienionym ryjem szarpiący w kawały zdartą z drzewa korę. Kiedy indziej Mowgli zbaczał z drogi, słysząc znany mu pochrzest rogów i świszczące chrapanie — i przemykał się koło dwóch rozwścieczonych jeleni, co chwiejnym krokiem szły wzajem na siebie, nachylając czoła rogate, obryzganę posoką<sup>143</sup> jakoby czarną na tle miesięcznego blasku. To znowu koło jakiegoś szemrzącego brodu słyszał ryczący — iście byczy głos krokodyla Jacali; kiedy indziej zasię uwadził o kłębowisko żmij jadowitych, ale zanimby zdążyły cios mu zadać, czmychał czym prędzej przez zdiary błyszczących kamyków i zaszywał się w kniei.

Tak biegł, to hukając, to pośpiewując sobie — jakby był najszczęśliwszą w dżungli istotą — aż dotarł do miejsca, gdzie z woni kwiatów wymiarkował, że znajduje się w pobliżu moczarów — hen daleko poza krańcem znanego mu obszaru łowieckiego.

Tu znów człek po ludzku wychowany już by się zapadł po czuprynę, uszedłszy ledwie parę kroków. Wszelakoż Mowgli miał oczy nie tylko w głowie, ale i w nogach, więc dzięki nim skakał i dyrdał od krzaczką do krzaczką po listeczku, z kępki na kępkę po kamyczku, nie wytrzeszczając swych źrenic po próżnicy. Zapucił się na sam środek moczaru, wypłaszając po drodze stada dzikich kaczek — aż w końcu zmęczony biegiem, przysiadł na

<sup>143</sup>posoka — krew.

omszalej kłodzie, sterczącej z czarnego rozlewiska. Wszędy wokoło przebudziły się mokradła, bo na wiosnę ptactwo ma sen nader lekki; całe chmary skrzydlate latały przez noc to w jedną, to w drugą stronę. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na Mowgliego, który siedział wśród kępy wysokich trzciny i nucąc pod nosem jakąś melodię nieokreśloną, oglądał ogorzałe stopy, by z nich powyciągać niezauważone dotąd zadry i ciernie. Wszelkie smutki, wszelkie strapienia precz gdzieś odeszły od niego, jakby je pozostawił w rodzinnej kniei. Już miał rozpocząć pieśń jakąś, alic naraz powróciło doń poprzednie usposobienie gorsze, dziesięćkroć gorsze niż przody. Na domiar złego księżyc zaczął właśnie chować się na skraj niebios.

Mowgli zatrwożył się.

— Więc ono jest i tutaj! — rzekł półgłosem. — Przyszło za mną!

Obejrzał się, chcąc sprawdzić, czy „ono” nie stoi poza nim.

— Ależ tu nie ma nikogo!...

W moczarach wciąż słychać było nocne krzyki, gwary i swary, ale żaden ptak, żaden zwierz nie odezwał się doń głosem wyraźnym. Napływ smutku niedoli spotężniał w sercu Mowgliego.

— Tak, spożyłem truciznę — rzekł głosem zdławionym od lęku. — Nie inaczej! Wskutek nieostrożności zjadłem jakąś truciznę i odeszła ode mnie moja moc. Bałem się... a jednak nie jam się bał... Mowgli bał się, gdy dwa wilczki wiodły z sobą bójkę! Akela, ba, nawet Phao zmusiłby je bez trudności, by zamknęły jadaczkę... ale Mowgli się bał. To dowód oczywisty, że spożyłem truciznę... Ale cóż to oni tam wyrabiają w dżungli?! Śpiewają, wyją, biją się i biegają gromadkami w świetle księżyca, a ja... *haimai!*... ja tu ginę wśród bagnisk... otruty spożyta niebacznie trucizną!

Rozzalił się nad swą dolą i był bliski płaczu.

— A wkrótce — mówił dalej — znajdą mnie tutaj nieżywego... unurzanego w czarnej wodzie. O, nie! Wolej<sup>144</sup> powrócę do rodzinnej kniei i skonam na Skale Narady... a kto wie... może Bagheera, którą tak ukochałem... może Bagheera, o ile nie miłsze jej są miaukoty w dolinie... zechce przez czas pewien strzec mych szczątków, by Chil nie postąpił ze mną tak jak z Akelą.

Wielka, ciepła łza spłynęła z oka i rozprysnęła się na kolanie. Pomimo całego strapienia Mowgli (rzecz do pojęcia trudna) czuł się nader szczęśliwy właśnie dlatego, że się trafił.

— Jak ścierwnik Chil postąpił z Akelą w ową noc, gdy ocalił stado przed hordą psów rudych...

Uspokoił się nieco, rozważając ostatnie słowa Wilka Smotnika, które niewątpliwie macie w pamięci.

— Ej, nabajał mi Akela wiele niestworzonych rzeczy, zanim skonał, bo gdy ktoś umiera, to zawsze umie się żołądkować... jakoś na inny sposób. Mówił... ale wszystko furda<sup>145</sup>! Ja i tak należę do dżungli!

Wspomnienie bitwy nad brzegami Wajngangi tak go podnieciło, iż ostatnie słowa wykrzyknął na całe gardło, przeraźliwie.

Jakaś bawolica, wylegująca się wśród oczeretów, zerwała się na nogi i wykrztusiła z siebie jęk trwogi:

— Człowiek!

— My-y-ylisz się! — zaryczał dziki bawół Mysa, obracając się z chlupotem. i chrzęstem w swym legowisku. — To nie człowiek! To nieowłosiony wilk z Gromady Seeoneńskiej. W takie noce, jak dzisiejsza, on zawsze biega sobie tędy-owędy.

— A ja my-y-yślałam — odrzyczała bawolica, pochylając znowu łeb nad paszą — że to jakiś człowiek nieznajomy-y-y!

— Mó-ó-wię ci, że nie. Ach, Mowgli? Czy komu-u-u grozi niebezpieczeństwo? — zaryczał Mysa.

— Ach, Mowgli! Czy komu-u-u grozi niebezpieczeństwo? — jął go przedrzeźniać chłopak. — Ten Mysa nie umie myśleć o niczym innym, jak tylko to tym, czy zagraża mu niebezpieczeństwo. Ale czemu wtrąćcie się do spraw Mowgliego, który chodzi tędy-owędy po dżungli, nie śpiąc nocą?

<sup>144</sup>wolej (starop.) — lepiej; już raczej; niech już.

<sup>145</sup>furda (daw.) — rzecz błaha; głupstwo.

— Cóż on tak krzyczy głośno? — zapytała bawolica.

— Zawdy<sup>146</sup> tak krzyczą ci, którzy wydarłszy z ziemi kępę trawy, nie wiedzą, jak ją zeżreć — odrzekł Mysa ze wzgardą.

— Ej, gdyby to było w zeszłą porę deszczową — jęknął Mowgli — to za mniejszą, daleko mniejszą zniewagę wydzgałbym Mysę z legowiska i pojeździłbym na nim przez moczary, zarzuciwszy mu na szyję powróż z sitowia!

Wyciągnął rękę, by ułamać badyl strzępiastej trzciny, ale natychmiast cofnął ją z westchnieniem. Mysa nawet się nie poruszył, ale najspokojniej w świecie przeżuwał zjedzony pokarm, a bawolica pasła się niefrasobliwie, rwąc pęki bujnej trawy.

— O, nie myślę tutaj umierać — zachnął się Mowgli. — Mysa, który jest spokrewniony z dziką świnią i Jacalą, urągałby mi na pewno. Wyjdę za obręb bagniska, a wtedy zobaczę, co mnie czeka. Nigdy jeszcze w życiu nie miał takich harców wiosennych... jednocześnie gorących i przejmujących zimnem. Wstawajże, Mowgli!

Opanowała go nieodparta pokusa, by podkraść się przez zarośla do Mysy i ukłuć go końcem noża. Bawół, ociekając wodą i bryzgając błotem, wypadł z kałuży jak bomba. Widok był tak zabawny, że Mowgli ze śmiechu aż przysiadł na ziemi.

— Opowiedzże wszystkim, ty byku, że bezwłosy wilk z Gromady Seeoneeńskiej pognał cię raz, aż miło! — huknął za nim.

— Co? Wilk? Mo-o-że to ty jesteś tym wilkiem? Ha! Ha! — fuknął Mysa, wierzgając racicami w błocie. — Cała puszcza wie, że byłeś pastuchem domowego bydła... jednym z tych ludzkich stworów, co bawią się w piasku, wzniesają kurz i robią ciągły harmider tam koło łąnów zboża... Ty tu nam będziesz mydlkował, że urodziłeś się w puszczy?! Czyż prawdziwy my-y-yśliwiec przemykałby się tak po kryjomu-u-u, jak wąż wśród pijawek, by dla głupich żartów... godnych szakala... ośmieszać mnie w oczach mojej krowy? Chodźno na ubitą ziemię, smy-y-ku jeden, a ja... ja ci pokażę!

Nie dokończył, bo już mu się pysk cały pokrył pianą. Mysa należał do najbardziej gniewliwych stworzeń w całej dżungli.

Mowgli utkwiał w nim nieruchomo oczy, nic sobie nie robiąc z jego fumów i dąsów. Gdy zdołał już zapanować głosem ponad mlaskliwą chlapaniną błotnych rozbryzgów, zapytał:

— Czy w pobliżu tych trzęsawisk jest jakie ludzkie osiedle, mój Myso? Ta połać kniei jest mi nieznana.

— Idźże sobie na północ! — ryknął rozjuszony bawół, bo Mowgli kolnął go nożem dość dotkliwie. — Tylko chamy ostatnie, gołe pastuchy-obdartusy zdobyć się mogą na tak głupie żarty! Idźże sobie do nich, do osady poniżej trzęsawisk, i opowiedz wszystkim, jakiś ty zmy-y-yślny!

— Ludzie nie lubią leśnych opowieści, a przy tym wydaje mi się, Myso, że jedna bliźna więcej czy mniej nie zaszkodzi zbyttnio twjej grubaśnej skórze. Ale nie ma co, pójdę przyrzec się tej wiosce. Tak jest! Pójdę! A teraz, Myso, uspokój się! Wolnego! Nie w każdą noc spotka cię to szczęście, by sam Władca Dżungli miał być twym poganiaczem!

Pobrnął grząskim szlakiem, wiodącym ku brzegowi trzęsawiska, wiedząc doskonale, że Mysa nie poważy się natrzeć w tym kierunku. Biegając, śmiał się do rozpuku na samą myśl o wściekłości bawołu.

— Nie całkiem jeszcze odeszła mnie siła — mówił sobie w duchu. — Być może, że trucizna nie weszła mi w kości... Tam w dole... niziusko... migoce sobie jakaś gwiazdka...

Złożył ręce i przez ich szczelinę ją przyglądać się onemu światelku.

— Na Byka, który był okupem za mnie! Toż to Czerwone Kwiecie... to Czerwone Kwiecie, przy którym spoczywałem... zanim... zanim... przystałem po raz pierwszy do Gromady Seeoneeńskiej! Skorom je obaczył, to już ukończę mą gonitwę!

Mokradła przeszły w wielką, rozległą równinę. Stamtąd to mrugało doń owo światelko. Jakkolwiek Mowgliemu od dawna wszystkie ludzkie sprawy stały się najzupełniej obojętne, to jednak w tę noc blask Czerwonego Kwiecia wabił ku sobie i nęcił, niby jakaś nowa, nieoczekiwana zdobycz myśliwska.

— Przyjrę się im tylko — mówił sobie — i przekonam się, czy wiele się zmieniło w Ludzkiej Gromadzie od czasu, gdy mą opuścił.

<sup>146</sup>zawdy (daw.) — zawsze.

Zapomniawszy, że nie znajduje się już w ojczystej kniei, gdzie wolno mu było robić, co mu się żywnie podobało, biegł nielękliwie przez obciążone rosą trawiaste łąny, póki nie dobiegł do chaty, skąd biło światło. Rozległo się naszczekiwanie trzech czy czterech psów podwórzowych. Widocznie znalazł się na skraju jakowejś ludzkiej osady.

Mowgli zmusił do milczenia kundysy, odpowiadając na ich psie głosy prawdziwym wilczym wyciem, ponurym i złowrogim.

— Ho-o! — rzekł do siebie, siadając z wolna na ziemi. — Co będzie, to będzie. Mowgli, Mowgli! Cóż to ciebie znów pociągnęło ku siedlisku Ludzkiej Gromady?

Przetarł usta, szukając znaku owego kamienia, który zranił go był dawno, dawno temu, wówczas gdy Ludzka Gromada — nie ta, lecz inna — chciała go się pozbyć, precz go odegnąć...

Rozwarły się drzwi chaty i stanęła w nich jakaś kobieta, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Z izby doleciał nagły płacz dziecięcy. Kobieta odwróciła się w tamtą stronę i rzekła:

— Luli, luli, dziecineczko. To jakiś szakal pewno pobudził nam psiska! Rychło dzionek już zaświta.

Mowgli, przysłonięty trawą, zaczął trząść się jak w febrze... O, jakże dobrze... o, jakże dobrze znał ten głos!... Żeby jednak się upewnić, zawołał wabnie i tkliwie, sam nie wiedząc, kiedy mu się przypomniały nagle ludzkie słowa:

— Messuo!... Ach, Messuo!...

— Kto mnie woła? — spytała kobieta, ale jakieś wzruszenie zadrgało w jej głosie.

— Czy zapomniałaś? — odkrzyknął Mowgli, a w gardle czuł spiekę nieznośną.

— Jeśli to ty jesteś, to powiedz... o, powiedz: jakie nadałam ci miano?

Przymknęła drzwi do połowy, a rękę złożyła kurczowo na piersi.

— Nathoo! Ohé Nathoo! — odpowiedział Mowgli, bo (jak sobie przypominacie) takie imię nadała mu Messua, gdy po raz pierwszy zawitał do Ludzkiej Gromady.

— Chodź, chodź, synusiu! — wezwała go ku sobie.

Mowgli postąpił ku światłu i przyjrzał się Messui — tej kobiecie, która była dlań tak dobra i którą ocalił był z rąk ludzkiej hałastry.

Postarzała się i włosy miała już siwe, ale głos jej i oczy pozostały te same co dawniej. Wzniosła teraz te oczy w górę, wodząc nimi w zdumieniu i zakłopotaniu po barczystej postaci przybyłego, od rozrosłej piersi aż do głowy, co dotykała górnego węgara dźwierzy. Messua wyobrażała sobie zawsze — iście po kobiecemu — że jeżeli będzie jej dane oglądać Mowglię, ujrzy go takim, jakim widziała niegdyś w chwili pożegnania.

— Mój synu! — wyjąkała i upadła mu do nóg. — Ależ to nie mój synaczek! Toć to jakowyś bożek leśny! *Ahai!*

Gdy tak stał w jaskrawym świetle kaganka, wysoki, krzepki i urodziwy, przystrojony jeno grzywą czarnych włosów spływających mu na barki, migotliwym brzeszczotem wiążącym mu u szyi oraz wieńcem jaśminowym, zdobiącym mu głowę, mógł być snadnie wzięty za jakieś dzikie półbożę, o jakich mówią leśne legendy. Dziecko, leżące na tapczanie, zerwało się w półśnie i jęło płakać ze strachu. Messua odwróciła się, by je utulić. Mowgli wciąż stał nieporuszenie i cicho, przyglądając się stągwiom i garnkom, worom ze zbożem i innym sprzętom ludzkim, których wspomnienie odżyło w nim nagle tak wyraźnie.

— Chciałbyś coś zjeść albo wypić? — wybełkotała nieśmiało Messua. — Wszystko, co tu widzisz, jest twoje. Zawdzięczamy ci życie! Ale powiedz mi szczerze, szczerą prawdę: czyś ty jest ten, na którego wołała Nathoo... czy też może jakiś bożek?

— Jestem Nathoo — odparł Mowgli. — Oddaliłem się bardzo od mych pieleszy. Ujrzałem światło i zaszedłem tutaj, aż pod tę chałupę. Nie wiedziałem, że ty tu mieszkasz.

— Jak przyszliśmy do Kanhiwary — zaczęła z lękiem opowiadać Messua — Anglicy mieli nam dać pomoc przeciw naszym wioskowym sąsiadom, co to chcieli nas spalić. Czy pamiętasz, jak to było?

— Jakżeż mógłbym o tym zapomnieć!

— A jak już to angielskie prawo było gotowe, poszliśmy do onej wioski, gdzie żyli ci źli ludziska... Ale na próżnośmy tam szukali... Znikła kędyś i ani śladu z niej nie zostało...

— I to sobie przypominam — odrzekł Mowgli, a nozdrza jakoś rozdęły mu się dziwnie.

— Wówczas mój chłop wziął się do roboty... Przynajął się za parobka, służywał w różnych miejscach, uprawiał rolę, aż w końcu, że to mój chłop był człek silny i nie ułomek, dorobiliśmy się kawałka własnego gruntu. Nie taki to jest znów dostatek, jaki był w dawnej naszej wiosce, ale co tam wiele potrzeba... na nas dwoje!...

— Gdzież jest on... ten człowiek, co to grzebał w brudnej ziemi w ową noc pełną trwogi?

— Zmarło mu się... już przed rokiem...

— A ten? — zapytał Mowgli, wskazując na dziecko.

— To mój synaczek... urodził się dwie wiosny temu... Jeżeli jesteś bożkiem, to go obdarz łaską kniei, żeby był bezpieczny pośród twego... pośród twego ludu... jakeśmy byli bezpieczni za twoją sprawą w oną noc pełną trwogi...

Mówiąc to, wzięła na ręce dziecko, które zapomniawszy lęku, pochyliło się naprzód, by pobawić się nożem wiszącym na piersiach Mowgliego. Mowgli przezornie chwycił je za rączkę, odsuwając drobne paluszki od tej niebezpiecznej zabawki.

— Jeżeli to ty jesteś Nathoo, którego mi porwały tygrysy — mówiła dalej Messua, łkając — to on jest twoim młodszym braciszkiem. Dajże mu więc błogosławieństwo jako brat starszy.

— Hej-mej! Czy ja wiem, co to wy nazywacie błogosławieństwem? Nie jestem ani bożkiem, ani bratem tego malca... a przy tym... O matko, matko!... Jakże mi ciężko na sercu...

— Cóż! — westchnęła Messua, krzątając się wśród garnków. — Wszystko to poszło z tego, że biegła w nocy po mokradłach. Ani chybi, to febra wlała ci w kości!

Mowgli uśmiechnął się na samą myśl o tym, że cokolwiek w dżungli mogłoby mu zaszkodzić.

— Zaraz rozniecę ognisko, to się napijesz ciepłego mleka. Wyrzuć precz ten wianek jaśminowy, bo zaduch idzie od niego na całą izbę.

Mowgli usiadł, mrużąc coś do siebie, i zakrył twarz dłońmi. Owładnęła nim cała nawała najprzeróżniejszych, dziwnych jakichś uczuć, nigdy dotąd nieznanych. W głowie mu się mąciło, zrobiło mu się jakoś słabo — jakby istotnie był otruty. Łapczywie wychlipał podane mu ciepłe mleko. Messua od czasu do czasu głaskała go po łopatkach, niezupełnie jeszcze upewniona, jestli<sup>147</sup> to jej rodzony syn Nathoo, od tylu lat niewidziany, czy też jakaś puszczańska zjawka, czy odmieniec. Ostatecznie uspokoiło ją i po cieszyło to, że stwierdziła w nim istotę namacalną, z krwi i kości.

— Synu! — odezwała się w końcu, patrząc nań wzrokiem pełnym dumy. — Czy już ci kto powiedział, że jesteś piękniejszy nade wszystkich ludzi?

— He? — odmrugnął Mowgli półgębkiem, boć istotnie nie zdarzyło mu się nigdy posłyszeć czegoś podobnego. Messua zaśmiała się łagodnie i radośnie. Wyraz jego twarzy starczył za wszelką odpowiedź.

— Więc ja pierwsza ci to mówię? Niech będzie... chociaż rzadko się zdarza, by dopiero matka miała o tym mówić swemu synowi... Oj, pięknyś ty, piękniuszki, mój synku. Jeszczem nie widziała młodzieńca tak urodziwego!

Mowgli na próżno kręcił głową, usiłując przyjrzeć się swym krzepkim, rozrośniętym łopatkom, do których odniósł całą powyższą pochwałę. Messua znów zaniósła się śmiechem tak głośnym i serdecznym, że Mowgli, sam nie wiedząc czemu, jął zaśmiewać się wraz z nią do rozpuku. Dziecko krążyło pomiędzy nimi i również śmiało się, ile siły starczyło w gardziółku.

— O, nie! Nie rób sobie drwinek ze starszego brata! — skarciła malca Messua, przyciskając go jednakże do piersi. — Jeżeli będziesz choć w połowie taki ładny jak on, to cię ożenimy z młodą, piękną królowną i będziesz paradował na wielkich słońiach, na jakich jeżdżą królowie...

Z całej tej gadaniny Mowgli rozumiał ledwie piąte przez dziesiąte. Gorące mleko razem ze zmęczeniem po czterdziestogodzinnej uganiaczce zrobiło swoje. Rozciągnął się na ziemi — i już w chwilę później spał jak zabity. Messua odgarnęła mu z czoła czarne włosy, okryła go derką i czuła się nad wyraz szczęśliwa. Obyczajem dżungli chłopak przespał resztę nocy i cały dzień następny, gdyż czujny zawsze głos wewnętrzny napelnił go przeświadczeniem,

<sup>147</sup> *jestli* — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy jest.

że nie ma czego się lękać. Zbudził się w końcu i skoczył z takim rozmachem, aż cała chata się zatrzęsła. Derka, zakrywszy mu część twarzy, tamowała mu oddech we śnie — przeto trapiły go przez noc całą ciężkie sny o pułapkach i niewoli. Stał więc, gotów do walki, z ręką na główicy noża, ale morzony jeszcze snem ciężkim, widniejącym w kątach błędnych oczu.

Messua zaśmiała się i postawiła przed nim wieczerzę. Złożyło się na nią jedynie kilka placków z praśnej mąki, upieczonych na dymiącym ogniu, odrobina ryżu i garstka kwaśnych owoców tamaryndy — wszelakoż można było o tym jako tako wytrzymać aż do czasu, gdy Mowgli zdecydował się wyruszyć na wieczorne łowy. Woń rosy wśród trzęsawisk obudziła w nim głód i niepokój. Rwał się do ukończenia wiosennego biegu — atoli dzieciak uparł się, że chce siedzieć w jego ramionach, a Messua uważała za rzecz konieczną uczesać i przyprowadzić do porządku bujną, czarną czuprynę swego Nathoo. Cesała go i cesała, śpiewając przy tym niedorzeczne dziecięce piosenki, w których to nazywała Mowgliego swym synem, to znów prosiła go, by raczył jej malca obdarzyć częścią swej władzy nad knieją.

Drzwi chaty były zamknięte — atoli w pewnej chwili Mowgli posłyszał dobrze sobie znany głos i obaczył, iż Messua otworzyła szeroko usta w wielkim przerażeniu. Spod drzwi wysunęło się wielkie szare łapsko, a tuż poza drzwiami rozległ się stłumiony i potulny skowyt, znamionujący niepokój i trwogę.

— Wynosić mi się stąd natychmiast... i warować pokornie! Nie chcieliście przyjść, gdy was wołałem!... — przemówił Mowgli językiem dżungli, nie odwracając nawet głowy. Wielka szara łapa znikła natychmiast.

— Nie... nie przyprowadzaj... z sobą... z sobą... swych... swych... podwładnych! — jękała się Messua. — Ja... ja... to jest my... żyliśmy w zgodzie z całą dżunglą... zostawialiśmy je w spokoju...

— Toż właśnie chodzi o ten spokój — odpowiedział Mowgli, powstając. — Przypomnij sobie noc spędzoną w drodze do Kanhiwary. Wówczas to całe gromady takich stworzeń szły przed tobą i za tobą... Ale widzę, że nawet na wiosnę plemiona dżungli nie tracą doszczętnie pamięci. Bywaj mi zdrowa, matko!

Messua z pokorą usunęła mu się z drogi — pewna już, że on naprawdę jest bóstwem leśnym. Ale gdy Mowgli dotknął drzwi, w niej naraz zbudziło się z nieprzemожoną siłą uczucie macierzyńskie. Zarzuciła mu ręce na szyję, tuliła, przygarniała.

— Wróć, wróć, syneczku! — szeptała. — Czyś ty syn mój, czy nie syn, zostań ze mną, bo ja cię miłuję... Patrz, i on się też zasmucił...

Dziecko zaczęło płakać, widząc, że człowiek z błyszczącym nożem chce wyjść z chaty.

— Powróć tu jeszcze! — powtórzyła Messua. — Drzwi te dniem i nocą stoją otworem dla ciebie.

Grdyka Mowgliego poruszała się z trudem, jak gdyby prężyły się w niej wszystkie mięśnie, a głos wydarł mu się z niej niemal przemocą.

— Przyjdę, przyjdę z pewnością! — zapewnił chłopak Messuę, po czym odepchnął głowę wilka, łaszącego się pod progiem.

— Mam ja z tobą na pieńku, Szary Bracie. Czemuście nie przybyli we czwórkę na moje wezwanie? Wołałem was przecie tak dawno!

— Tak dawno? Ależ to było w noc zeszlą! Ja... to jest my... śpiewaliśmy nowe pieśni wśród kniei, boć to przecie Czas Nowej Gwary! Czyżes zapomniał?

— Owszem! Owszem! Przypominam sobie.

— A ledwośmy odśpiewali pieśni — ciągnął Szary Brat poważnym głosem — poszedłem w trop za tobą. Prześcignąłem wszystkich, bom mknął, co sił w nogach. Ej, ej, Braciszku, ale cóżes ty zrobił najlepszego... iżeś jadł i spał z Ludzkim Plemieniem?

— Nigdy by do tego nie doszło, gdybyście przyszli na moje wezwanie — odrzekł Mowgli, przyspieszając biegu.

— A co teraz będzie? — zapytał Szary Brat.

Właśnie Mowgli miał odpowiedzieć, gdy na ścieżynce, wiodącej z końca wsi, ukazała się jakaś dziewczyna w białej odzieży. Szary Brat zszedł jej z oczu natychmiast, a Mowgli schował się cicho w łan młodego, choć już bujnego zboża. Mógł nieomal tknąć ją ręką, gdy ciepłe, zielone łodygi zwarły się przed jego obliczem, tak że zniknął poza nimi niby

cień. Dziewczyna krzyknęła, jakby ujrzała widmo, potem westchnęła głęboko. Mowgli rozgarniał dłońmi zboże i przyglądał się jej, póki nie zesła mu z oczu.

— Teraz ja nie wiem, co się ze mną dzieje — rzekł, odpowiadając westchnieniem. — Och, czemuście nie przyszli, gdy was wołał?

— Przecież idziemy za tobą... idziemy za tobą... — bełkotał Szary Brat, liżąc piętę Mowgliemu. — Idziemy za tobą zawsze, z wyjątkiem Czasu Nowej Gwary.

— A poszlibyście ze mną do Ludzkiego Plemienia? — szepnął Mowgli.

— Czyż nie poszedłem za tobą w ową noc, gdy nasza dawna drużyna odepchnęła ciebie? Któż to cię obudził, śpiącego wśród sterty zboża?

— Tak, tak! Ale czy pójdziecie raz jeszcze?

— Czyż nie poszedłem za tobą w noc dzisiejszą?

— Tak... ale jeszcze raz... i jeszcze raz... i może raz drugi... i trzeci... Co, mój Szary Bracie?

Szary Brat milczał czas jakiś, potem warknął:

— Czarrna Panterra mówiła prawdę!

— Cóż mówiła?

— Że człowiek w końcu odejdzie do ludzi. Nasza matka Raksha powiadała...

— Tak samo mówił Akela w noc ową, gdyśmy się potykali z rudymi psami — mruknął Mowgli.

— To samo mówił i Kaa, który jest mędrszy od nas wszystkich.

— A co ty powiesz, Szary Bracie?

— Oni już raz cię wypędzili, łącz plugawymi słowy. Rozcięli ci usta kamieniem. Wysłali Buldea, żeby cię zgładził. Chcieli wtrącić cię do Czerwonego Kwicia. Ty, a nie ja, mówiłeś, że oni są źli i głupi. Ty, a nie ja (boć ja mam na głowie własne, plemienne sprawy), podbechtałeś przeciw nim całą dżunglę. Ty, a nie ja, ułożyłeś przeciw nim pieśń zjadliwszą niż nasze pieśni o rudych psach.

— Pytam ciebie, co ty o tym sądzisz?!

Rozmowę tę prowadzili biegnąc. Szary Brat przez chwilę kłusował w milczeniu, a potem jął między jednym skokiem a drugim rzucać takie oto słowa:

— Szczenię Ludzkie... Władco Dżungli... synu Rakshy... mój Bracie i towarzyszu legowiska... wiedz, że chociaż... na wiosnę... trochę ci czasem skrewię... to jednak... twój ślad jest moim śladem... twój barłóg moim barłogiem... twój łów moim łowem... a twoja walka moją walką na śmierć i życie. Mówię to w imieniu moim i trzech moich braci. Ale co ty zamierzasz powiedzieć dżungli?

— Mądrześ to przemyślał. Nie ma co zwlekać z łowami, gdy zdobycz już upatrzona. Pobiegnij naprzód i zwołaj wszystkich na Skalę Narady, a oznajmię im, co leży mi na sercu. Ale może nikt się nie zjawi... w Czasie Nowej Gwary na pewno wszyscy o mnie już zapomnieli...

— A ty... czyś nie zapomniał niczego? — rzucił mu zapytanie Szary Brat, obejrawszy się poza siebie, po czym pomknął wyłożonym cwałem. Mowgli podążył za nim, pogrążony w zadumie.

W innej porze roku wieść rozniesiona przez Szarego Brata poruszyłaby od razu całą dżunglę i zwołałaby na jedno miejsce wszystkich jej mieszkańców, zjeżywszy im sierść na grzbietach. Teraz jednak wszyscy byli zajęci łowami, walką i śpiewaniem. Szary Brat biegał od jednego do drugiego, oznajmiając:

— Władca Dżungli wraca do ludzi! Przybądźcie na Skalę Narady!

Ale szczęśliwie, rozhasane zwierzęta odpowiadały spokojnie:

— E, wróci, wróci podczas upałów letnich! Deszcze przypędzą go do naszych legowisk. Biegaj i śpiewaj wraz z nami, Szary Bracie!

— Ależ Władca Dżungli powraca do ludzi! — powtarzał z uporem Szary Brat.

— E!... Owa!... — odpowiadano. — Czyż Czas Nowej Gwary straci przez to dla nas swój urok?

Toteż gdy Mowgli z ciężkim sercem przybył poprzez dobrze znajome mu skały do miejsca, gdzie go przyjęto przed laty w poczet wilczej drużyny, znalazł tu jeno czwórkę przybranych swych braci-wilczków, niedźwiedzia Baloo, niemal ośleplego od starości, oraz ciężkiego, zimnokrwistego pytona Kaa, owiniętego wokół opuszczonego siedliska Akeli.



— A więc tutaj kończy się twój trop, Człowieczątko? — spytał Kaa, gdy Mowgli rzucił się na ziemię, zakrywając twarz dłońmi. — O, tak, wypłacz się, wypłacz do woli!... Ja i ty... wąż i człowiek... jesteśmy z jednej krwi!...

— Czemuż nie zginąłem pod pazurami rudych psów? — jęczał chłopak. — Odeszła ode mnie siła, chociaż nie jestem otruty. Dniem i nocą słyszę podwójny chód na mym tropie. Gdy odwracam głowę, wydaje mi się, jakby w tej chwili ktoś chował się przede mną. Wracam się i zaglądam za drzewa, ale nie mogę go tam znaleźć. Wołam i nikt nie odpowiada, ale wydaje mi się, że ktoś nadśluchuje i wstrzymuje się z odpowiedzią. Kładę się, ale nie zaznaję spoczynku. Urządzam harce wiosenne, ale i one nie mogą uciszyć mej tęsknoty. Kąpię się, ale kąpiel mnie nie chłodzi. Brzydzę się łowami, ale nie mam odwagi walczyć, gdy nie poluję. Czerwone Kwiecie jarzy się w mym ciele, kości moje stały się jako woda... i sam nie wiem, czego mi trzeba.

— Co tu gadać? — rzekł Baloo z wolna, zwracając łeb w stronę Mowgliego. — Akela powiadał... tam nad rzeką... że Mowgli wygna Mowgliego z powrotem do Ludzkiej Gromady. Ja to też mówiłem... ale kto teraz słucha starego Baloo? Bagheera (gdzież ona się wałęsa w noc dzisiejszą?) również wie o tym. Takie jest Prawo.

— I ja też-ż wiedziałem o tym, Człowieczątko, gdyś-ś-śmy się s-spotkali przy Chłodnych Legowiskach — rzekł Kaa, rozkręcając nieco swe potężne sploty. — Człowiek musi w końcu wrócić do ludzi, chociażby dżungla wcale go nie wypędzała.

Czwórka wilcząt poglądała to wzajem na siebie, to na Mowgliego, zmieszana i potulna jednocześnie.

— A więc dżungla mnie nie odpędza od siebie? — wyjąkał Mowgli.

Szary Brat i trzech jego bracia warknęli ze wściekłością i już zaczęli:

— Póki żyjemy, nikt nie odważy się...

Ale Baloo im przerwał, mówiąc:

— Ja uczyłem cię Prawa, więc mnie teraz głos się należy... bo choć nie widzę nawet tych skał przed sobą, to jednak wzrok mój daleko sięga. Żabuchno moja, idź teraz własnym tropem... załóż sobie legowisko wśród własnych krewniaków, własnego plemienia i drużyny... A jeżeli będzie ci potrzeba bądź naszych nóg, bądź zębów, bądź oczu, bądź szybkiego przeniesienia wieści nocą... pamiętaj, Władco Dżungli, że dżungla służy ci na każde zawołanie!

— To samo tyczy i Średniej Dżungli — dodał Kaa. — A przemawiam w imieniu dość znacznego plemienia...

— Hej-mej, bracia moi! — zawołał Mowgli, wznosząc wśród głośnego szlochania ręce w górę. — Nie chcę odchodzić, ale coś mnie ciągnie za obie nogi... Jakże rozstanę się z wami w nocę tak szczęsną?

— O, nie, Braciszku! Głowa do góry! — jął powtarzać niedźwiedź Baloo. — Nie przynoszą wstydu takie łowy. Wyjadłszy wszystek miód, pozostawiamy przecie barć pustą.

— Zrzuciwszy skórę, nie możemy w nią wleźć z powrotem. Tak głosi Prawo.

— Słuchaj, o najulubieńszy! — mruczał Baloo. — Niczyje słowa, niczyja wola nie zdoła cię powstrzymać! Głowa do góry! Zastanów się tylko... kto będzie się dopytywał o Władcę Dżungli?... Ja widziałem, jak bawiłeś się... o tam opodal... białymi kamykami, gdy byłeś jeszcze małą żabką... Widziałem cię takim... jak i pantera Bagheera, która wykupiła cię za cenę świeżo ubitego byczka. Z czasu owych wilczych oględzin pozostaliśmy jeno my dwaj, bo twoja przybrana matka Raksha pomarła wraz z twoim ojcem. Dawna gromada wilcza też powymierała różnymi czasami. Wiesz sam, co się stało z Shere Khanem! Akela poległ wśród rudych psów, gdzie wyginęłaby również i druga Drużyna Seoneńska, gdybyś jej nie uratował swą przebiegłością i siłą. Nic już się nie ostało, jeno stare gnaciska. Ty zasię nie jesteś szczeniędziem, co rozstaje się ze swoją gromadą; jesteś Władcą Dżungli, który obrał sobie nowy trop. Kto będzie stawiał Człowiekowi zawady w jego drogach?

— Ale co powie Bagheera... i ten Byk, co był za mnie okupem?... — zatroskał się Mowgli. — Nie chcę.

Słowa jego przerwał nagły ryk i chrzęst w zaroślach... Pod skałą ukazała się Bagheera, zwinną, mocną i straszliwą jak zawsze.

— Oto powód, dla którego nie przybyłam wcześniej! — odezwała się pantera, wyciągając prawą łapę, z której sączyła się świeża krew. — Polowanie trwało długo... ale

powiodło się na koniec... i oto w zaroślach leży zabity dwuletni byczek... ten właśnie byk, który zwalnia cię od zobowiązań! Wszystkie długi zostały spłacone! Co się zaś tyczy innych spraw, to przyłączam się do głosu Baloo!

I polizała stopę Mowglięgo.

— Pamiętaj, że Bagheera kochała cię zawsze! — wykrzyknęła w końcu i oddaliła się w podskokach. U podnóża góry zatrzymała się i jęła wołać znowu, przeciągle i donośnie:

— Szczęśliwych łowów na nowym szlaku, Władco Dżungli! Pamiętaj, że Bagheera kochała cię zawsze!

— Słyszałeś?... — rzekł Baloo. — Już się skończyło! Czas ci odejść... ale wpierw podejdź ku mnie!... O mała, mądra Żabuniu, podejdź ku mnie na chwilę!

— Trudno i ciężko jest zrzucić s-s-skórę! — zauważył Kaa, gdy Mowgli zanosił się rzewnym płaczem, tuląc głowę do boku oślepego niedźwiedzia i obejmując mu rękami szyję, a Baloo z trudnością usiłował lizać jego stopy.

— Gwiazdy już bledną — ozwał się Szary Brat, wciągając w siebie dech poranku. — Gdzież urządzimy dziś dzienne legowisko?... Od dziś przecie będziemy chodzili innym tropem!

\*

Na tym się kończy ostatnia opowieść o Mowglim.

#### PIEŚŃ POŻEGNANIA

Taką to pieśń słyszał Mowgli poza sobą w dżungli, gdy zdązał ku chacie Messui.

BALOO

Przez wzgląd na tego, co od lat wczesnych  
wiódł ciebie drogą mądrych praw leśnych —  
przez wzgląd na twego starego Baloo —  
słuchaj praw ludzkich, drogi synalu!...  
Czyć one pachną, czy może cuchną,  
słuchaj praw ludzkich, mądra Żabuchno!  
I dniem, i nocą bądź na ich tropie  
i nie schodź z drogi, o miłe chłopię!  
Przez wzgląd na ślepcę, który cię zowie  
oczcu swym światłem, swym oczkiem w głowie;  
gdy brać ci twoja da się we znaki,  
mawiaj: „To wyje szakal *Tabaqui!*”  
A gdy brać twoja cię napastuje,  
mów: „Shere Khana wnet upoluje!”  
Gdy klingę noża dobyto srogą,  
trzymaj się Prawa — i idź swą drogą.  
Niech miód, korzonki, drzewa, jagody  
chronią cię, Szczęnię, od krzywd i szkody.  
Niech wiatr i woda, i łaska kniej  
zawsze się jawią na drodze twej!

KAA

Z gniewu, jak z jajka, s-s-strachy się lęgną,  
oczy bez powiek — wszędy dosięgną!  
Zginiesz, gdy jadęm wąż-kobra bryźnie,  
lecz s-s-słowa kobry — równe truciźnie...  
Oznaką siły jest mowa szczera,  
a grzeczna mowa siłę tę ws-s-spiera.  
Więc wszelkie dąs-s-sy miej na uwięzi —  
a po s-s-spróchniałej nie łaż gałęzi!  
Nim połkniesz kozła, zmierz go oczyma —  
bo nuż on w gardle ci się zatrzyma?

A gdyś-ś-ś już s-s-syty, ś-ś-pijże, nieboże,  
ale w us-s-stronnej i s-s-skrytej norze,  
by jakiś s-s-smarkacz lub gad plugawy  
nie przywiódł na cię zradnej obławy!  
Myj czę-s-sto s-s-skórę, by była ś-ś-śliska,  
a nie rozwieraj daremnie pys-s-ka!  
Obyś miał zawsze w dniach swej wędrówki  
bezpieczne jamy, s-s-skalne kryjówki!  
Niech wiatr i woda, i łaska kniej  
zawsze się jawią na drodze twej!

#### BAGHEERA

W klatce się moje zaczęło życie,  
więc ludzkie sprawy znam wyśmienicie.  
Na ową Kratę, którą na ścieżaj  
wyrwałam, ludziom ty nie dowierzaj!...  
Gdy skrzy się rosa, w gwiazd świetle bladym  
nędnego żbika nie chadzaj śladem!  
W stadzie czy w radzie, w łowach czy leżach,  
z człkiem-szakalem nie bądź w przymierzach!  
Gdy ci się łaśić zacznie ten rakarz,  
ty mu natychmiast milczenie nakaż!  
Każ mu też milczeć, gdy będzie judził,  
byś krwią słabszego ręce swe brudził!  
Niech się kiep-bandar zręcznością chelpi,  
ty nie naśladowaj próżności małpiej!  
W ciszy podążaj myśliwskim szlakiem,  
nie daj się zmylić krzykiem ni znakiem!  
Niechaj ci służą Stróże Zwierzyny:  
szare mgły ranne i rozbrzask siny!  
Niech wiatr i woda, i łaska kniej  
zawsze się jawią na drodze twej!

#### WSZYSCY TROJE

Na tej rozstajnej drodze ostatniej,  
która cię wiedzie do strasznej matni,  
tam, kędy Krwawy Kwiat się szkarłatni —  
  
w nocie, gdy oczu sen ci nie skleji,  
bo będziesz płakał, próżen nadziei,  
słyszac nęcące odgłosy kniei —  
w ranki, gdy będziesz z marzeń się budzić,  
ażeby ciężką pracą się trudzić,  
tęsknym wspomnieniem puszczy się łudzić —  
  
niech wiatr i woda, i łaska kniej  
zawsze się jawią na drodze twej!

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kipling-druga-ksiega-dzungli>

Tekst opracowany na podstawie: Kipling Rudyard, Druga księga dżungli, tłum. Józef Birkenmajer, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: [cliffio66™@Flickr](https://www.flickr.com/photos/cliffio66/), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](https://www.nowoczesnapolska.org.pl/) na stronie Fundacji.